

Kate Hewitt

Zoe

Tłumaczenie:

Małgorzata Dobrogojska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Max Monroe wpatrywał się w kwiaty wiśni za oknem kliniki na Park Avenue. Świeżo rozkwitłe pączki przypominały różowawe purchaweczki, ale kiedy zamrugał, zlały się nagle w falującą masę. A może tylko to sobie wyobraził? – zastanowił się.

Odwrócił się do lekarza, który uśmiechnął się ze współczuciem.

– A więc? Jak długo to potrwa? Pół roku? Rok? – zapytał.

– Trudno powiedzieć. – Lekarz zerknął w dokumentację pacjenta, w kilku suchych, klinicznych określeniach opisującą dramat utraty wzroku.

– Choroba Stargardta jest nieprzewidywalna. Często bywa zdiagnozowana już w dzieciństwie, w pana wypadku stało się to później. Być może ma pan przed sobą miesiące nieostrego widzenia, stopniową utratę widzenia centralnego, a nawet chwilowe przerwy w widzeniu... – Zamilkł wymownie.

– Albo? – zapytał Max.

– Albo w ciągu kilku tygodni straci pan wzrok całkowicie.

– Tygodni... – powtórzył Max z pozoru obojętnie i przeniósł wzrok na obsypane kwieciem drzewa.

Zatem bardzo prawdopodobne, że nie zobaczy już, jak blad różowe płatki brązowieją i opadają, pomyślał.

– Max?

Gest dłoni był wymowniejszy niż słowa. Max nie chciał słuchać, jak przykro jest lekarzowi i jak bardzo on nie zasługuje na taki wyrok. To nie służyło niczemu.

– Pański przypadek jest szczególny. Uraz głowy wskutek wypadku mógł spowodować nasilenie objawów. Wiele osób z tym schorzeniem funkcjonuje zupełnie sprawnie... choć to poważne wyzwanie...

Max parsknął śmiechem.

Utrata wzroku to nie wyzwanie. To perspektywa wiecznej ciemności. Już kiedyś doznał tego uczucia, ale wolał nie zagłębiać się we wspomnieniach.

– Mógłbym pana skontaktować z grupą wsparcia... Proszę...

– Nie. – Max nie przyjął podanej broszury, tylko spojrzał lekarzowi w oczkę kątem oka, bo w ten sposób widział najlepiej.

Mruganie niczego nie zmieniało. Świat tracił ostrość, kontury rozmywały się i ciemniały jak na starych fotografiach. Max już zaczynał sobie zdawać sprawę z nieuchronności tego, co go czekało. Zastanowił się, czy po utarciu wzroku wspomnienia realnych barw zblakną, staną się rozmyte i odległe, coraz trudniejsze do przywołania, a z czasem coraz bardziej nieokreślone? Jak można żyć w całkowitej ciemności? Już kiedyś doznał czegoś podobnego i był pewien, że nie potrafi znów stawić temu czoła. Niestety, nie miał wyboru.

– Nie potrzebuję grupy wsparcia – powiedział. – Dam sobie radę. Ale dziękuję panu.

Wstał z wysiłkiem. Bolała go głowa. Doznał wrażenia, że traci grunt pod nogami, zachwiał się i próbował złapać róg biurka. Nie trafił, wyciągnięta dłoń przecięła powietrze i Max zaklął głośno.

– Max...

– Już w porządku. – Wyprostował plecy i wysoko podniósł głowę, ukazując długą, cienką bliznę, biegnącą od wewnętrznego końca prawej brwi, wzdłuż nosa aż do wyokrąglenia wargi. – Dziękuję – powtórzył i opuścił gabinet, ostrożnie odmierzając kroki.

Za oknem pojedynczy, jedwabisty płatek niefrasobliwie wirował w powietrzu.

Zoe Balfour podała swój połyskliwy, jedwabny szal szatniarce i musnęła dłonią artystycznie potargane włosy. Przez chwilę stała w gwarnym wejściu do galerii Soho, czekając, aż jej pojawienie się przyciągnie wystarczająco dużo uwagi. Wciąż łaknęła zainteresowania i pochlebstw, chociaż zaledwie trzy tygodnie wcześniej w prasie ukazały się doniesienia o jej nieprawym pochodzeniu, a świat, do którego należała sercem i duszą, wydał zbiorowe, zdumione sapnięcie. Sama Zoe natomiast doznała obezwładniającego poczucia utraty tożsamości.

Odetchnęła głęboko i weszła do galerii. Od razu sięgnęła po kieliszek szampana i upiła duży łyk. Przepadała za cierpkim smakiem na języku i lekkim szumem w głowie. Zarejestrowała wzmożone zainteresowanie swoją osobą, ale trudno byłoby rozstrzygnąć, czy przyczyną była jej uroda, czy demaskatorskie artykuły prasowe.

Upiła jeszcze łyk w nadziei, że alkohol poprawi jej nastrój, bo miała szczerzy zamiar zapomnieć o problemach i świetnie się bawić. Odkąd prasa nagłośniła jej wstydliwą przeszłość, miała wrażenie, że stoi na krawędzi przepaści. Przed trzema dniami przyleciała z Anglii do Nowego Jorku z zamiarem odnalezienia swojego biologicznego ojca, który tu właśnie mieszkał.

Dopiero tego popołudnia zebrała się na odwagę, by stanąć przed lśniącem wieżowcem na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy i czekać na mężczyznę, z którym chciała pomówić. Spacerowała. Wypiła trzy kawy. W końcu zaczęła ogryzać paznokcie. Kiedy po dwóch godzinach wciąż się jeszcze nie pojawił, zrezygnowała i wróciła do apartamentu Balfourów na Park Avenue.

Przez dwadzieścia sześć lat żyła w przekonaniu, że jest jedną z dziewcząt Balfour, członkiem jednej z najstarszych i najzamożniejszych rodzin w Anglii. Potem dowiedziała się z pierwszych stron brukowców, że w jej żyłach nie ma ani kropli ich szlachtetnej krwi.

Była nikim. Zwykłą przybłądą.

– Zoe!

Karen Buongornimo, organizatorka uroczystości, smukła i bardzo elegancka w małej czarnej, przycisnęła do jej twarzy upudrowany policzek.

– Wspaniale wyglądasz! Gotowa zabłysnąć?

– Jasne. Jak wiesz, jestem w tym najlepsza.

– Zgadzam się w zupełności.

Zoe zmusiła się do uśmiechu.

– Kiedy pomyślę o tym, co mnie czeka... – kontynuowała Karen. – Będę musiała podziękować naszym sponsorom, przede wszystkim Maksowi Monroe. – Przewróciła oczami, a Zoe usiłowała sprawiać wrażenie, że zna to nazwisko. – Najlepsza partia w mieście, ale co z tego.

Zoe upiła łyk szampana. Choć usiłowała sobie wmówić, że świetnie się bawi, wcale tak nie było.

– Zawsze jest okropnie nadąsany i nieprzystępny, ale za to bardzo seksowny... ta blizna jeszcze dodaje mu uroku, nie sądzisz?

– Nie przyglądałam mu się...

– Trudno go nie zauważyć. – Karen wzruszyła ramionami. – Wciąż ma niezadowoloną minę. Miesiąc temu uległ wypadkowi, który zmienił go nie do poznania. – Odstawiła pusty kieliszek i ucałowała powietrze obok policzków Zoe.

– Muszę wracać do moich obowiązków. – Obciągnęła sukienkę, odsłaniając rowek między piersiami.

Zoe uśmiechnęła się blado i, popijając szampana, obserwowała przyjaciółkę, żeglującą przez tłum. Zwykle to ona bywała gwiazdą takich imprez, ale dziś zupełnie nie miała ochoty na pogawędki czy flirty. Wciąż stały jej przed oczami upokarzające nagłówki w brukowcach: „Nieślubny skandal w rodzinie Balfourów! Błękitna krew okazuje się nie taka błękitna!”.

Nigdy nie zdoła zapomnieć tych słów. Że też wężący dziennikarz musiał podsłuchać sprzeczkę jej sióstr na dorocznym balu dobroczynnym Balfourów! Siostry dowiedziały się o wszystkim z zapomnianego dziennika jej matki. Dlaczego musiały go znaleźć? – wciąż zadawała sobie to pytanie, choć nic już nie mogło tego zmienić.

Pozostało jej tylko ignorować wstyd i ból. Przyjmowała więc zaproszenia, chodziła na przyjęcia i spotykała się z przyjaciółmi, udając, że nic jej to wszystko nie obchodzi. Przez dwa tygodnie, dzień po dniu, wracała do domu o świcie i przesypiała całe dnie.

Oscar Balfour początkowo tylko się temu przyglądał, w końcu jednak poprosił ją na rozmowę do swojego gabinetu, urządzonego w polerowanym mahoniu i miękkiej skórze, w którym niemal zawsze unosił się zapach dobrego fajkowego tytoniu. Od dzieciństwa uwielbiała to miejsce, tak męskie, przepełnione wspomnieniami niedzielnych wieczorów, kiedy

skulona w wielkim skórzanym fotelu ojca, zagłębiała się w jego starych atlasach i encyklopediach, marząc o dalekich podróżach, egzotycznych miejscach i zwierzętach. Nigdy nie była wzorową uczennicą, ale kochała wynajdywać w tamtych starych księgach ciekawostki, którymi potem zaskakiwała rodzinę i znajomych.

Tego wieczoru jednak nawet na nie nie spojrzała, tylko stała przy drzwiach, obojętna, wciąż czując skutki wypitego wczorajszego wieczoru alkoholu.

– Zoe. – Ojciec patrzył na nią ze współczuciem, ale miała wrażenie, że są sobie zupełnie obcy. – Nie możesz dłużej tak się zachowywać... Musisz z tym skończyć.

Z trudem przełknęła przez zaciśnięte gardło i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Zoe – powtórzył bardziej stanowczo, a jej przypomniał się dzień, kiedy będąc ośmiolatką, pomalowała się kosmetykami macochy. Zużyła większość szminki i cieni do powiek za jednym zamachem. – Przez ostatnie dwa tygodnie spędziłaś poza domem wszystkie noce, Bóg jeden wie z kim i jak...

– Mam dwadzieścia sześć lat – wtrąciła nadąsana – i mogę postępować, jak mi się podoba...

– Nie w moim domu i nie za moje pieniądze. – Mówił spokojnie, ale ostrość w jego spojrzeniu kazała jej spuścić wzrok. – Rozumiem, że jesteś przygnębiona tą całą historią, ale...

– Nie o to chodzi. – Popatrzyła na niego wyzywająco, jak krnąbrne dziecko. – Chodzi o prawdę.

Oscar milczał przez dłuższą chwilę.

– Och, Zoe – powiedział ze smutkiem. – Naprawdę myślisz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Oczywiście – odparła ostrym tonem. – Przynajmniej dla mnie.

– Cóż, mogę cię tylko zapewnić, że dla mnie nie ma żadnego. A jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, podejrzewałem to jeszcze przed twoim urodzeniem...

– Jak to? – Aż drgnęła z wrażenia. – Wiedziałaś?

– Podejrzewałem – odparł ze spokojem. – Twoja matka i ja... no cóż, od jakiegoś czasu nie byliśmy już razem szczęśliwi...

– I nic mi nie powiedziałaś? – Potrząsnęła głową, przełykając łzy.

– Dlaczego miałbym ci mówić? – spytał łagodnie. – Jesteś i zawsze byłeś moim ukochanym dzieckiem.

Nie potrafiła wyrazić słowami kłębiących się w jej wnętrzu emocji, czuła jednak, że Oscar nie miał racji. Czuła w głębi serca, że nie należy do rodziny.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. W krótkim czasie straciłaś macochę i dowiedziałaś się, że masz jeszcze jedną siostrę... – powiedział łagodnym, współczującym tonem.

– Przecież z Mią nie łączą mnie więzy krwi.

Wspomnienie Mii zabolalo. W ciągu kilku minionych tygodni to właśnie ona odkryła, że, jeszcze przed ślubem z Lilian, Oscar miał krótkotrwały romans, który zaowocował narodzinami córki. W ten sposób wyszło na jaw, że w żyłach Zoe nie płynie błękitna krew Balfourów.

– Nie chodzi o więzy krwi – rzucił ostrzej, niż się spodziewała. – Może popełniłem błąd, utrzymując cię w nieświadomości, ale wiesz doskonale, że bardzo cię kocham.

Odwróciła głowę, próbując powstrzymać łzy.

– Ale nie należę do rodziny.

Oscar milczał na tyle długo, że poczuła się lekceważona.

– Rozumiem – powiedział w końcu, a w jego głosie brzmiało rozczarowanie. – W gruncie rzeczy chodzi ci o nazwisko i opinie znajomych. Obawiasz się ich ocen?

Zarumieniła się po korzonki włosów i pospiesznie odwróciła plecami.

– A jeżeli tak? To nie twoje zdjęcia pojawiły się na pierwszych stronach brukowców.

– Owszem, niestety i moje, i twoich sióstr – westchnął. – Moje błędy ujawniono przed całym światem i mogę się tylko starać trzymać głowę wysoko. Mam nadzieję, że ciebie też na to stać.

Nie odpowiedziała.

Dorastając, zawsze czuła się inna, jakby obca w swoim środowisku. Bella i Oliwia były bliźniaczkami i łączyła je nierozzerwalna więź. I tylko ona jedna zupełnie nie pamiętała matki, bo Aleksandra zmarła przy porodzie. Emily miała kochaną przez wszystkich Lilian; Kat, Sophie i Annie miały swoją matkę, także uwielbianą przez wszystkie dziewczęta, Tilly.

Tylko Zoe żadnej z matek nie mogła nazwać swoją.

Teraz zrozumiała, dlaczego wtedy czuła się taka inna. Po prostu nigdy nie należała do rodziny.

– Chciałbym, żebyś pojechała do Nowego Jorku. – Oscar wyciągnął z szuflady skórzany portfel, w którym był bilet lotniczy pierwszej klasy. – Możesz zostać w naszym tamtejszym apartamencie, jak długo będziesz chciała.

Wzięła portfel i pogładziła miękką skórę.

– Dlaczego?

Oscar westchnął i potarł zmęczone oczy.

– Przeczytałem dziennik twojej matki i chyba trafnie domyśliłem się, kto jest twoim biologicznym ojcem.

– Wiesz, kto to jest?

Wskazał portfel.

– Szczegóły znajdziesz w środku. Mieszka w Nowym Jorku i zapewne zdołasz go odnaleźć. – Uśmiechnął się smutno. – Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje, Zoe.

Jakoś wcale nie czuła się silna. Nie umiała się nawet zdobyć, by odnaleźć tamtego mężczyznę. Nie miała odwagi zagadnąć kogokolwiek na tym przyjęciu i z każdym dniem coraz mocniej odczuwała żal.

Max spoglądał na tłum okupujący galerię, ale widział jedynie mnóstwo jasnych, nieokreślonych kształtów. Czy jego wzrok pogorszył się w ciągu ostatnich godzin, czy to tylko reakcja na stres? – zastanowił się.

Upił łyk szampana i rozejrzał się po ścianach galerii, na których wisiały płótna współczesnych artystów. Szczegóły na szczęście były dla niego niedostrzegalne.

Przyszedł tu tylko z obowiązku, bo to jego firma, Monroe Consulting, była głównym sponsorem tej wystawy. Nie miał pojęcia, dlaczego wydali ćwierć miliona dolarów na wystawienie czegoś tak paskudnego, ale skoro ktoś z rady nadzorczej podjął taką decyzję, podpisał się pod nią, bo w sumie niewiele go to obchodziło.

– Max. – Dwie kobiece dłonie zacisnęły się na jego rękę, nozdrza podrażnił przesłodzony i duszący zapach perfum. – Miło, że przyszedłeś. – Zniżyła głos do szeptu. – Tym bardziej, że... – Przerwała, ale Max nie zamierzał jej niczego ułatwiać.

Nie widział dokładnie jej rysów, ale dusząca woń perfum i charakterystyczny szept odsłoniły tożsamość kobiety. Letitia Stephens, jedna z najbardziej znanych nowojorskich bywalczyń, starzejąca się, wybitnie złośliwa i notoryczna plotkara.

Uniósł brew, błyskając zębami w uśmiechu.

– Tym bardziej, że co, Letitio?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Och, Max. – To zabrzmiało niemal jak wymówka, ale Monroe uśmiechnął się tylko i czekał. -Wszyscy tak bardzo martwiliśmy się o ciebie...

Chwila lepszego nastroju prysła jak bańka mydlana. Wciąż bronił się przed wspomnieniami o wypadku... Tak bardzo starał się o tym nie myśleć.

– Niepotrzebnie – odparł, prostując się.

To była wyraźna odprawa i Letitia Stephens okazała się na tyle rozsądna, by ją zaakceptować.

Szczęśliwie nie dostrzegł morderczego spojrzenia, jakim go obdarzyła, ani zabójczo przesłodzonego uśmiechu.

Pozostawiony sam sobie dopił szampana i zaczął myśleć o wyjściu. Nie było jeszcze dziewiątej, a organizatorka imprezy, atrakcyjna Karen Buongornimo o sztucznie wybielonym uśmiechu, który nawet on dostrzegł, właśnie zamierzała przemówić i zapewne złożyć mu oficjalne podziękowania. Postanowił, że ostatni raz uczestniczy w podobnym cyrku. Nawigowanie pośród morza zamazanych twarzy i ciał sprawiało mu coraz więcej trudności i nie zamierzał dłużej tego ciągnąć.

Zoe torowała sobie drogę przez tłum, unikając znajomych twarzy. Usłyszała, jak Karen prosi zebranych o uwagę i wygłasza płomienne przemówienie o konieczności wspierania młodych artystów i chlubnym udziale Monroe Consulting w tej chwalebnej misji. Monroe Consulting... to zapewne firma Maksa Monroe, tego słynnego ponuraka. Zoe poczuła lekkie zaciekawienie i dopiła swojego szampana. Ta noc nie nadawała się na refleksje czy wspomnienia. Dobra zabawa powinna jej pozwolić o wszystkim zapomnieć.

– A teraz, jestem przekonana, pan Monroe zechce powiedzieć kilka słów...

W sali zapadła krępująca cisza, a wszystkie głowy odwróciły się w stronę mężczyzny w rogu.

Zoe wyciągnęła szyję i stanęła na palcach, ale tłum był zbyt gęsty, a kolumny zasłaniały widok, więc nie zdołała go zobaczyć.

W końcu, kiedy cisza zdawała się nieznośna, Karen sprawiała wrażenie zarówno poirytowanej, jak i zakłopotanej, a ludzie zaczęli chrząkać znacząco, mężczyzna odezwał się niskim, suchym tonem.

– Tylko dwa słowa – powiedział. – Na zdrowie.

Znów zapadła cisza, a potem ktoś zawołał:

– Brawo! Brawo!

Wokoło rozległ się śmiech i napięcie zelzało.

– Na zdrowie! – powiedziała Zoe głośno, sięgając po następny kieliszek.

Choć rozpoznawała większość osób, знаła tylko kilkoro i była z tego zadowolona. Dziś nie chciała rozpamiętywać przeszłości. Dziś chciała się tylko dobrze bawić.

– Topimy swoje smutki, co, kochanie?

Zoe zamarła. Znała ten głos i nienawidziła go. Odwróciła się wolno i stanęła twarzą w twarz z Holly Mabberly, jej koszmarem ze szkoły z internatem. Choć większość ich wspólnych znajomych sądziła, że się przyjaźnią. Publicznie całowały powietrze obok swoich policzków, gawędziły, wybuchały perlistym śmiechem i przynosiły sobie nawzajem drinki. Pewnego wieczoru Holly pożyczyła jej nawet swój najładniejszy ciuszek i Zoe do dziś nie była pewna, czy jej go wtedy oddała.

Pomimo to nie nazwałaby Holly przyjaciółką. Wciąż pamiętała, jak na czwartym roku w Westfields ich koleżankę ze szkoły złapano na kradzieży

szminki z perfumerii w miasteczku i wydalono ze szkoły. Holly uśmiechnęła się wtedy zimno.

– Co za ulga – powiedziała cicho do siebie.

Ten zimny uśmiech zmroził ją do szpiku kości, a bezduszna uwaga zraniła do głębi. Zapewne wyczuła w Holly osobę, która chętnie widzi bliźniego pognębianego i upokorzonego. A teraz ona sama mogła zostać jej ofiarą, pomyślała Zoe.

Wysączyła swojego drinka do ostatniej kropelki i odstawiła kieliszek.

– Co masz na myśli, Holly? – spytała słodko. – Dawno się tak nie bawiłam.

Kąciki ust Holly opadły lekko w dół w geście udawanego współczucia. Ścisnęła nagie ramię Zoe, wbijając długie paznokcie w delikatną skórę.

– Przede mną nie musisz udawać. Dobrze wiem, jak się czujesz...
zawstydzona, zagubiona.

Stwierdzenie było zaskakująco wnikliwe i trafne. Zoe tak się właśnie czuła. Zagubiona, opanowana wrażeniem, że ziemia osuwa jej się spod nóg. Przed oczy wypłynęła jej złośliwie uśmiechnięta twarz pseudoprzyjaciółki.

– Zagubiona? Strasznie to melodramatyczne. Czułam się tak, kiedy wracaliśmy na piechotę z regat Oxford – Cambridge, pamiętasz? – Roześmiała się perliście. – Cztery bite godziny z Putney Bridge do Mayfair. Ależ byliśmy pijane!

– Kochanie. – Holly mocniej ścisnęła ramię Zoe, a paznokcie głębiej wbiły się w ciało.

Zoe przygryzła policzek od wewnątrz, żeby się nie skrzywić.

– Przy mnie nie musisz udawać. – Holly zniżyła głos do szeptu. – Czy było aż tak strasznie, że musiałaś przyjechać tutaj, do Nowego Jorku? Uciec od tych wszystkich plotek, szeptów i spojrzeń? – Wyraz fałszywego współczucia na jej twarzy przyprawił Zoe o dreszcz.

– Czuję się świetnie – powiedziała obojętnym tonem.

Od ukazania się informacji w prasie upłynęły trzy tygodnie, ale dopiero Holly odważyła się tak otwarcie zabrać głos na ten temat. Na tym świecie nie brakowało ludzi podobnych Holly, okazujących pogardę pod przykrywką współczucia. Zoe strząsnęła jej dłoń z ramienia i uśmiechnęła się lodowato.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam. Zapewne wolałabyś mnie widzieć w strugach łez. Nic z tego, moja droga.

Holly tylko potrząsnęła głową.

– Kochanie, naprawdę nie powinnaś odgrywać się na mnie – odparła Holly z udawanym współczuciem w głosie i poklepała ją po policzku. – Mogę sobie tylko wyobrazić, jak ogromnie jest to dla ciebie trudne... Spojrzeć w oczy ludziom w Anglii, prawda? Przynajmniej tym, którzy się liczą. – Cmoknęła językiem i głos zabrzmiał mocniej. – To bardzo, bardzo smutne.

Zoe nie była w stanie powstrzymać łez. Zdawała sobie sprawę, że uwagi Holly miały wbić jej szpilę, ale ta świadomość w niczym nie pomagała. Wcale nie czuła się tak silna, jak sądził o niej Oscar.

– Och, Zoe – zaszeptała Holly, wyciągając do niej rękę, ale Zoe cofnęła się.

– Zostaw mnie, Holly, po prostu zostaw mnie samą. – Ostatnie słowa utonęły w szlochu, dopełniając miary upokorzenia.

Odwróciła się na pięcie i sięgnęła po szampana. Upije się, zrobi wszystko, co pozwoli jej zapomnieć o tej koszmarnej chwili i jej całym, okropnym, sfalszowanym życiu.

Na wpół ukryta za kolumną, lustrowała wzrokiem tłum, świadoma ukradkowych spojrzeń i cichych komentarzy. Czy wszyscy ją obserwowali, czy tylko to sobie wyobraziła? Czy będzie to wyglądało na ucieczkę, jeżeli teraz wyjdzie?

Utkwiła spojrzenie w mężczyźnie opartym nonszalancko o kolumnę w rogu sali. Był bardzo przystojny, z ciemnymi, krótko przyszyzonymi włosami i oliwkową cerą. Spoglądał w dal, najwyraźniej znudzony imprezą. Oto ktoś, kto na pewno nie będzie próbował jej zranić, o ile w ogóle zechce z nią rozmawiać. Jak na razie, jeszcze jej nie zauważył.

Poprawiła uczesanie i z uśmiechem ruszyła w stronę jednego mężczyzny w tym towarzystwie, który kompletnie nie był zainteresowany Zoe Balfour... Może więc zaciekawi go zwykła Zoe, pomyślała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie widział jej, ale wyczuł nagłą zmianę w atmosferze i instynktownie zacisnął palce na kieliszku.

– Dobry wieczór. – Usłyszał słowa wypowiedziane miłym głosem z wyraźnie brytyjskim akcentem. – Odnoszę wrażenie, że jest pan znudzony imprezą.

– Nawet bardzo – odparł szorstko.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Burza złocistych włosów, gładki, blady policzek, błysk zielonych oczu. Pachniała delikatnie wodą różaną i niespodzianie ogarnęła go fala pożądania.

– Och, to straszne. – Zaśmiała się z dziewczęcym urokiem. – Czy następny drink mógłby temu zaradzić?

– Już było ich zbyt wiele – odparł równie szorstko jak poprzednio.

Przeciąganie tego flirtu nie miało sensu. Gdyby tylko wiedziała...

– Cóż, mnie to nie dotyczy.

Uniosła ramię i natychmiast pojawił się kelner. Sięgnęła po kieliszek, odwróciła się do niego i upiła łyk.

– Skoro jest aż tak źle, dlaczego pan tu w ogóle przyszedł?

– Ponieważ to moja firma wydała ćwierć miliona dolarów na wystawienie tych koszmarów.

Zaskoczona zawahała się, ale po chwili wybuchnęła serdecznym śmiechem. Pogorszenie wzroku spowodowało uwrażliwienie innych zmysłów. Delikatny zapach róż pochodził zapewne z perfum, a może mydła? Dolatywał go z każdym jej ruchem, ledwie wyczuwalny, a jednocześnie sugestywny.

– Och, oczywiście – powiedziała ze śmiechem. – Pan Gradowa Chmura.

– Pierwsze słyszę – odparł cierpko.

Po raz pierwszy od tygodni zaczynał się dobrze bawić, a przynajmniej był tego bliski.

– No cóż, raczej nie wygląda pan na duszę towarzystwa.

Lekko wzruszyła ramionami, a Max miał wrażenie, że słyszy ocieranie się jedwabiu o jej nieskazitelną skórę. I chociaż widział już tylko właściwie zamazane kształty, jego ciało przeczuwało coś więcej i każda jego cząstka pulsowała tęsknotą.

Już tak dawno nie był z kobietą. Od wypadku doświadczał tylko dotyku chłodnych rąk lekarzy i teraz zapragnął, by to się zmieniło. Chciał znów przeżyć bliskość drugiej osoby, poczuć zapach i dotyk jej skóry. I pragnął jeszcze czegoś – być z kimś bardziej niż blisko, wypełnić pustkę, pozbyć się uczucia osamotnienia.

Nawet gdyby to miała być tylko jedna noc. Nawet gdyby jego towarzyszką miała się okazać płytka, bogata trzpiotka, jaką zapewne była ta dziewczyna.

Dobrze znał ten rodzaj kobiet, pięknych i pewnych siebie, zdolnych zaczepić nieznajomego i przymówić się o drinka. Zawsze go pociągały.

– Akurat dzisiaj nie czuję takiej potrzeby – wyjaśnił.

Zoe upiła szampana.

– A ja lubię się bawić – odparła lekko.

– I dobrze się pani bawi?

Roześmiała się wystudiowanie.

– Nie. Nudzę się tak samo jak pan, tylko lepiej to ukrywam.

– Właśnie. Dlatego „pan gradowa chmura”. – Uniósł pytająco brew. – A co to właściwie miało oznaczać?

– Moja przyjaciółka, Karen, która zorganizowała dzisiejszy wieczór, powiedziała, że poznam pana po minie ponurej jak chmura gradowa. I, oczywiście... – przerwała nagle, a Max zmrużył oczy, jak gdyby naprawdę mógł ją widzieć.

– I? – zapytał miękko.

– Po bliźnie.

Uniosła dłoń i przez chwilę sądził, że go dotknie. Nie poruszył się, ale jej dłoń, blada i smukła, zawisała na chwilę w powietrzu, zanim opadła z powrotem do jej boku. Odniosł wrażenie, że wszystko się nagle zmieniło. Przekomarzanie, dotychczas na krawędzi flirtu, stało się zbyt intymne. Nie chciał jej współczucia, ale pragnął jej dotyku.

– Miał pan wypadek?

– Tak – uciął szorstko.

Bardzo niewiele osób umiało z nim teraz szczerze rozmawiać. Na ogół ludzie starali się mówić dokładnie to, co sądzili, że chciał usłyszeć.

Lekarze przynajmniej nie kłamali.

– Przykro mi – powiedziała Zoe i czuł, że naprawdę tak myśli.

Łatwiej byłoby, gdyby rzeczywiście okazała się płytką lalunią. Szukał towarzyszki do łóżka, a nie empatii i zrozumienia.

Przez chwilę oboje milczeli. Max odszedłby, ale bał się, że wpadnie na kolumnę, kelnera czy cokolwiek. Zresztą, czy tego właśnie chciał? Ta dziewczyna była piękną, beztroską trzpiotką. Mógłby z nią przeżyć miłą przygodę...

– Rozumiem – powiedział, zniżając głos do zmysłowego pomruku, a jego nozdrza znów podrażnił zapach wody różanej – że jest pani znudzona przyjęciem tak samo jak ja. – Podtekst pytania nie pozostawiał cienia wątpliwości.

– Owszem – odpowiedziała miękko po chwili.

– W takim razie – zaproponował, odstawiając pusty kieliszek – może wyjdziemy?

Zoe obserwowała Maksa, poruszającego się ostrożnie odmierzanymi krokami. Po krótkiej chwili zawahania ruszyła za nim.

Nie miała zwyczaju wychodzić z imprez z nieznanymi przystojniakami. Przygody na jedną noc nie były w jej stylu. Owszem, lubiła tańce i flirty, ale do domu wolała wracać sama.

Przeczuwała, że tym razem jednak tak nie będzie. Wyczuwała w Maksie Monroe to samo co w sobie... Bolesne pęknięcie. Czuła, że pociągają się wzajemnie i nie zamierzała z tym walczyć.

Odebrała w szatni swoje zwiewne okrycie, a Max wyjął telefon i wypowiedział do niego kilka słów.

– Mój samochód zaraz tu będzie.

Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, co zamierza zrobić. Czy to aby na pewno był dobry pomysł? – zastanowiła się.

– Jeżeli ma pani wątpliwości... – powiedział, jakby wyczuwając jej nastrój.

– Cokolwiek pan myśli, to nie jest moje normalne zachowanie.

Uniósł brew w udawanym zdumieniu. Najwyraźniej już ją osądził.

– W takim razie, jakie jest pani normalne zachowanie? Kim pani jest? – spytał po chwili milczenia.

No cóż. Tym właśnie próbowała nie zawracać sobie głowy w ciągu ostatnich trzech tygodni. Stała przed nim, nie znajdując odpowiedzi.

– Proszę chociaż zdradzić swoje imię.

– Zoe.

– Po prostu Zoe?

– Tak. Po prostu Zoe.

Podjechała limuzyna i ruszyli ku otwartym przez szofera drzwiom.

Powietrze było balsamiczne, a ciemność niemal namacalna.

– Rozmyślałaś się? – Max pochylił się do jej ucha, a jego oddech, przesycony zapachem mięty i szampana, połaskotał jej policzek.

Uśmiechnęła się, on odpowiedział tym samym i napięcie zelżało.

– Jesteś piękną kobietą, Zoe. – Leniwym gestem odgarnął jej z ramienia pasmo włosów, chłodnymi palcami muskając nagą skórę. – Zapewne każdy z dzisiejszych gości chciałby być w tej chwili na moim miejscu.

– Zapewne – zgodziła się lekko.

Serce waliło jej mocno i nagle uświadomiła sobie, że nie może się już doczekać tego, co ma nastąpić. Lekkie muśnięcie jeszcze nigdy nie doprowadziło jej do podobnego stanu.

Wsiadli do limuzyny, w której panował mrok rozprasany jedynie światłami mijających taksówek.

Usadowiła się wygodnie i oddała rozmyśleniom. Czy naprawdę wsiadła do samochodu z nieznanym mężczyzną?

– Dokąd jedziemy?

Chociaż Max siedział obok, zapatrzony w ciemność za oknem wydał się jej bardzo daleki.

– Mieszkam w TriBeCa^[1].

Nie rozmawiali więcej, pozwalając się otoczyć ciszy, przepełnionej niewypowiedzianymi myślami i oczekiwaniami.

W końcu limuzyna stanęła i oboje wysiedli. Stali na kamienistej ścieżce przed czymś przypominającym opuszczony magazyn na nadbrzeżu. Max przez chwilę wyglądał, jakby nie wiedział, dokąd iść albo bał się poruszyć.

– Max? – spytała łagodnie.

– Tędy – odparł i długimi, zdecydowanymi krokami podążył ścieżką w stronę budynku.

Kiedy podeszli bliżej, zobaczyła, że budynek został gruntownie przebudowany. To, co wcześniej sprawiało wrażenie wybitych okien, okazało się namalowane. Frontowe drzwi, wykonane z grubego, barwionego szkła miały chromowane klamki. Max wszedł do środka, Zoe podążyła za nim do foyer z polerowaną podłogą z czarnego marmuru i dalej do windy. Max przebiegł palcami po przyciskach i wcisnął najwyższy z literkami PH.

Apartament Balfourów na Park Avenue także mieścił się w penthousie.

Z windy wchodziło się bezpośrednio do mieszkania. Wrażenie było oszałamiające. Z każdej strony okna sięgały od podłogi do sufitu, rzeka

Hudson wydawała się być na wyciągnięcie ręki, a w oddali lśniły oświetlone mosty na Manhattanie.

Po stronie przeciwnej zobaczyła iglicę wieńczącą Empire State Building, a za nim las wieżowców sięgający po horyzont.

Obróciła się wolno, smakując niezwykle widoki i w końcu spojrzała na Maksa, który zdjął marynarkę i właśnie rozluźniał krawat, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co wzbudziło jej podziw.

– Przepiękne. – Nie kryła entuzjazmu. – Szczęściarz z ciebie.

– Chyba tak – odparł zaskakująco beznamiętnym tonem.

Zapalił lampy, których światło zalało pokój ciepłym blaskiem. Zoe rozglądała się po surowo urządzonej wnętrze. Była to luksusowa kawalerka samotnika, ze skórzanymi sofami i niewygodnymi, chromowanymi krzesłami, stolikiem do kawy pokrytym czasopismami i kuchnią sprawiającą wrażenie nieużywanej.

Dopiero teraz zauważyła w pozornie jednolitej szklanej tafli drzwi. Wystarczyło przekręcić małą, chromowaną gałkę, by wyjść na szeroki taras.

Max stanął tuż za nią i bardzo powoli uniósł ręce. Zoe zastygła w bezruchu, a kiedy w końcu oparł je na jej nagich ramionach żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Dłonie powędrowały w dół, jak gdyby chciały się zapoznać z krajobrazem jej ciała. Odwrócił ją i przyciągnął bliżej, splatając jej palce ze swoimi.

W ciepłym oświetleniu jego oczy wydawały się ciemne i niezgłębione, a twarz surowa. Przyciśnięta plecami do szklanej tafli czuła ciepło jego ciała. Serce Maksa biło nieśpiesznym, miarowym rytmem i zrobiło jej się słabo. Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się zareagować na mężczyznę w ten sposób. A przecież on jeszcze jej nawet nie pocałował.

Wyczuwała jednak, że zamierza to zrobić. Chciała tego, choć jednocześnie ledwo mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że rzeczywiście go spotkała i znalazła się tutaj. Próbowwała powiedzieć coś, co przełamałoby napięcie, ale nie zdążyła, bo zamknął jej usta pocałunkiem. W tej samej chwili smutek ostatnich tygodni ulotnił się. Odwzajemniła pieśczętę. Przeżycie zaskoczyło ją i przeraziło jednocześnie swoją intensywnością. Wygięła się w tył i spojrzała mu w oczy.

– Czy my się gdzieś spieszymy? – spytała drżąc.

Wsunął jej palce we włosy i zaczął masować skórę głowy.

– Po co marnować czas? – mruknął, ale nie zaprotestował, kiedy wysunęła się z jego ramion. – Chcesz porozmawiać? – spytał z uśmiechem.

Zoe opadła na chromowane krzesło.

– Na to liczyłam.

Zaproponował jej drinka, a kiedy odmówiła, podszedł do barku i oszczędnym, precyzyjnym ruchem nalał sobie sporą porcję whisky.

– A więc – bardziej stwierdził, niż zapytał – przyjechałaś z Anglii.

– Tak.

– W odwiedziny czy na stałe?

– W odwiedziny. Tak sędę.

– Brak konkretnych planów?

Uśmiechnęła się promiennie.

– Robienie planów nie leży w moim charakterze. – A ty?

– Co ja?

– Jesteś biznesmenem. Ale czym się konkretnie zajmujesz?

– Interesami.

Przewróciła oczami.

– Cóż za konkretna odpowiedź.

– Inwestuję, gram na giełdzie. – Wzruszył ramionami. – Zarabiam pieniądze.

– Rozumiem. To bardzo ciekawe... A skąd masz tę bliznę? – Pytanie wysnęło jej się niezamierzenie. Było za późno, kiedy uświadomiła sobie, że może w ten sposób obudzić przykre wspomnienia.

– Rozbiłem się moim samolotem – wyjaśnił na pozór beznamiętnie, ale wyczuwała buzujące w nim emocje. – Tak czasem bywa.

– Leciałeś sam?

– Tak. – Mówił obojętnie, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Przez chwilę szukała odpowiednich słów.

– Szczęście, że żyjesz – powiedziała w końcu i wydało jej się to najbardziej bezsensowną z możliwych odpowiedzi.

– Och, tak – zgodził się ponuro. – Szczęściarz ze mnie.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie dał jej czasu. Podeszedł szybko i, ku jej zdumieniu, opadł na kolana, tak że ich głowy znalazły się na jednym poziomie. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. Czuła, jak budzi się w niej namiętność.

Max nie odrywał od niej wzroku, jakby czekał na jej ruch. Instynktownie wyciągnęła dłoń i czubkiem palca musnęła jego bliznę, zaskakująco gładką, niemal jedwabistą. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Przymknął oczy i poddał się jej dotykowi. Posłuszna instynktowi, pochyliła się i pocałowała zranione miejsce, wdychając upajającą mieszankę zapachów mięty i piżma.

Max drgnął, otworzył oczy i popatrzył na nią z nieskrywanym pożądaniem. Teraz on objął jej twarz obiema dłońmi i przyciągnął bliżej, szykując się do pocałunku. Kiedy to w końcu zrobił, zaskoczyła ją delikatność pieczyoty.

Nie miała pojęcia, jak długo tak trwali, ale słodycz tej chwili miała pozostać w niej na zawsze. W końcu jednak Max uniósł ją w ramionach, przytulił i zaniósł do sypialni.

Podobnie jak w salonie, także i tutaj okna sięgały od podłogi do sufitu. Światło z zewnątrz przenikające przez przymknięte żaluzje zalewało pomieszczenie delikatną poświatą. Max posadził ją na wielkim łożu

obleczonym w ciemnoniebieską satynową pościel. Patrzył na nią poważnie. Zoe czekała.

Powolnym gestem odgarnął jej z policzka nieposłuszny kosmyk, a potem obrysował palcami kolejno kontur jej brwi i nosa. Wtedy opuścił dłoń i zaczął rozpinać koszulę.

Zoe nie była w stanie oderwać wzroku od jego nagiego ciała. Zafascynowana pomogła mu się rozebrać.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, jakby bojąc się zepsuć magiczny nastrój. Jedyńm dźwiękiem był szelest rozpinanych i opadających na podłogę ubrań. W końcu, nadzy, legli w satynowej pościeli i przez dłuższą chwilę przypatrywali się sobie nawzajem. Zoe bardzo chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Pragnęła wyznać Maksowi, że czuje z nim wyjątkową więź. W końcu ich dotychczasowe życie legło w gruzach i nie wiedzieli, czy uda się im je odbudować.

Nic jednak nie powiedziała. Kiedy Max znów ją pocałował, zamrugła, żeby powstrzymać niespodziewane łzy. Poddała się słodkiemu zapomnieniu, pozwalając, by słowa, myśli i lęki odpłynęły daleko, przynajmniej na najbliższe godziny...

Max leżał na plecach, a Zoe spała, wtulona w zagłębienie jego ramienia. Kosmyk jej włosów łachotał go w nos. Odetchnął głęboko, wdychając

znajomy już zapach wody różanej i uśmiechnął się szeroko i po raz pierwszy od tak dawna prawdziwie. Nie pamiętał, kiedy czuł się równie dobrze.

Od wypadku, który zniszczył jego świat, czuł się czegoś boleśnie pozbawiony i desperacko za tym tęsknił. Teraz miał wrażenie, że to odzyskał i znów może żyć pełnią życia. Słyszał oddech śpiącej Zoe i czuł słodki ciężar jej głowy na ramieniu. On sam nie miał zamiaru spać.

Ostrożnie wysunął się spod niej i usiadł na brzegu łóżka. Ich skłębione ubrania leżały na podłodze i przez dłuższą chwilę poszukiwał bokserek. Wciągnął je w końcu i przeszedł sześć kroków dzielących go od drzwi na taras. Powietrze na zewnątrz było chłodne i wilgotne. Dziesięć kroków do barierki. Zanotował w pamięci, by zlecić usunięcie z tarasu wszystkich mebli, których i tak prawie nie używał.

Przypomniawszy sobie komentarz Zoe, zachwyconej widokiem. Taki z niego szczęściarz, że utracił ten i podobne widoki na długo przed tym, zanim zdołał się nimi nacieszyć. To, co się z nim działo, mniej przypominało życie, a bardziej powolne umieranie.

Chociaż to, co przeżył z Zoe, wcale nie przypominało umierania. To było życie w najczystszej, najbardziej ekscytującej formie. Nigdy wcześniej nie doświadczył tak pełnego zespolenia, choć przecież nie stronił od kobiet.

A może tylko próbował uwznioślić coś bardzo zwyczajnego, próbując nadać tej nocy większe znaczenie, bo wiedział, że nie będzie kolejnej? Nie

mógł w nieskończoność ukrywać swojej postępującej ślepoty. To była kwestia miesięcy, jeżeli nie tygodni. Już teraz z trudem rozpoznawał poszczególne budynki pośród zamglonego pejzażu Manhattanu.

Co stanie się potem? – pomyślał z niepokojem. Jak będzie wyglądała jego przyszłość? Dopóki widział światło, był w stanie zachować jasność umysłu.

Odwrócił się od widoku, którego tak naprawdę nie mógł wyraźnie zobaczyć. Pozwoli Zoe spać do rana, ale w końcu będzie musiała odejść. Przeciąganie rozstania byłoby bezcelowe. Zresztą zapewne nawet by tego nie chciała. Oboje wiedzieli, że to tylko przygoda na jedną noc.

Przeszedł dziesięć kroków do drzwi i jeszcze sześć do łóżka. Przy świetle z zewnątrz widział złocisty krąg jej włosów na poduszce i blade ramię na atramentowo niebieskiej pościeli.

Jeżeli słusznie ją ocenił, takie noce musiały być dla niej codziennością. Dlaczego więc myśl o tym, że wkrótce odejdzie, była dla niego tak bardzo bolesna?

Delikatnie wsunął się obok niej i drgnął, kiedy muskając palcami jej policzek, natrafił na wilgoć. Łza? Dlaczego miałyby płakać?

Musiał ją odesłać. Uwierzyć, że mogłaby stać się dla niego kimś więcej, byłoby niebezpieczne i bezcelowe. Dla nich obojga nie ma wspólnej przyszłości.

Odsunął się trochę, próbując nie dotykać kusząco ciepłego ciała, i leżał spokojnie, w oczekiwaniu na sen. Pragnął go i nienawidził jednocześnie, bo choć dawał ukojenie i zapomnienie, przynosił też ciemność i koszmary.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zoe obudziły promienie wschodzącego słońca. Leżała, rozkoszując się ich ciepłem. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, gdzie jest. Czuła się szczęśliwa, serce i umysł miała spokojne.

Ta noc była cudowna.

Otworzyła oczy. Słoneczny blask wlewał się do wnętrza przez szklane tafle i oświetlał cały pokój.

Szczelnie owinęła się prześcieradłem, wstała i przeszła nad swoim zmiętym ubraniem. Przez chwilę chciała je włożyć, ale nie umiała się na to zdobyć. Miała wrażenie, że to zredukowałoby tę noc do czegoś niskiego, tymczasowego, podczas gdy ona oceniała ją zupełnie inaczej.

Poprzedniego wieczoru pragnęła znaleźć w ramionach Maksa zapomnienie, tymczasem czuła się wolna i szczęśliwa.

Cicho uchyliła drzwi do salonu, ale Maksa tam nie było. Zajrzała do kuchni i dwóch innych sypialni, gabinetu, biblioteki i jadalni. Czyżby wyszedł?

Stała pośrodku biblioteki, otoczona półkami wypełnionymi tomami w skórzanych oprawach. W jednym rogu tkwiło masywne mahoniowe

biurko. W powietrzu unosił się zapach skóry i fajkowego tytoniu, co przywołało wspomnienie domu i ojca.

Dopiero teraz zauważyła, że taras otaczał cały apartament, a Max był po drugiej stronie. Ruszyła ku niemu, ciągnąc za sobą prześcieradło. Otworzyła drzwi, prowadzące na zewnątrz.

– Tu jesteś... Dzień dobry.

Siedział przy stoliku z kutego żelaza, trzymając w obu dłoniach gruby, ceramiczny kubek z kawą. Sprawiał wrażenie zagubionego w myślach i spojrzał na nią dopiero, gdy stanęła tuż obok.

– Tu jestem – odrzekł beznamiętnie.

– Zaparzyłeś kawę! – ucieszyła się. – Marzę o kubku...

– Stoi tu od kilku godzin i jest zupełnie zimna. – Jego ton był przerażająco obojętny.

– Och. – Rozczarowana, mocniej owinęła się prześcieradłem. – Może zaparzę świeżą. Czy pożyczylbyś mi jakąś koszulę? – Odrzuciła włosy na plecy, starając się wyglądać na pewniejszą siebie.

– To chyba nie najlepszy pomysł.

Kurczowo zacisnęła palce na materiale, ale śliska satyna wysuwała się z jej uchwytu. Max patrzył na nią z tak chłodną obojętnością, że zaschło jej w gardle, a pod powiekami zapiekły łzy.

– Dlaczego? – spytała z wymuszonym uśmiechem. – Zabrakło ci kawy?

– Nie. Po prostu uważam, że powinnaś już iść.

Poczuła się, jakby ją spoliczkował. Otworzyła usta, ale nie umiała się zdobyć na ciętą ripostę.

– Nie powiem, żebyś grzeszył gościnnością – wykrztusiła w końcu przez ściśnięte gardło.

– Nie grzeszę – powiedział chłodnym tonem.

– Czy ta noc nic dla ciebie nie znaczyła? – spytała niepotrzebnie, krzywiąc się na samo brzmienie tych słów.

Przecież chyba nie mógłby okazać tego wyraźniej. Nie było sensu domagać się wyjaśnień.

– Nie – powtórzył. – I nie sędzę, by znaczyła cokolwiek dla ciebie.

Z przykrości zagryzła wargi, ale duma kazała jej uśmiechnąć się chłodno.

– Nawet jeżeli tak jest, nie zasłużyłam, byś tak mnie traktował.

– Przykro mi. – Jego ton wcale na to nie wskazywał.

– No cóż. – Mocniej zacisnęła prześcieradło. – Może powinieneś uprzedzać przyszłe kochanki o swoich nietypowych porannych obyczajach – powiedziała, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

– Już prawie dziewięta – rzucił znudzonym tonem. – Ale pomyślę o tym.

– Łajdak – syknęła.

Wolała to, niż się rozpłakać.

Max odwrócił się i po raz pierwszy tego dnia spojrział jej w oczy.

– Wiedziałaś, na co się decydujesz – powiedział zimno. – Mieliliśmy spędzić ze sobą jedną noc. Już po wszystkim. Ja muszę się zabrać do pracy, a ty powinnaś już iść.

Wróciła do sypialni i ubrała się pospiesznie, a potem dźgnęła wściekle guzik windy. Cały czas czuła na plecach wzrok Maksa, chociaż odkąd kazał jej wyjść, nie spojrzała na niego ani razu.

Weszła do kabiny i odwróciła się na pięcie.

– Idź do... – słowa uwięzły jej w krtani na widok Maksa, który stał przy drzwiach na taras, z zamkniętymi oczami przyciskając do twarzy prześcieradło, którym była owinięta.

Z całą pewnością jej nie widział i zanim zdążyła zareagować, kabina ruszyła w dół.

Prześcieradło pachniało słabo wodą różaną. Max wchłaniał tę woń i próbował odtworzyć w pamięci twarz Zoe i kształty jej ciała.

Wkrótce te upajające przeżycia staną się wyblakłym wspomnieniem.

Westchnął. Upuścił prześcieradło i zaklął. To już skończone. Nigdy więcej nie zobaczy Zoe. Dlatego właśnie zachował się tak bezwzględnie. Co prawda nigdy nie spędził z kobietą więcej niż kilka dni czy tygodni, ale zawsze traktował swoje partnerki z dużo większym szacunkiem, niż okazał Zoe.

Tym razem nie miał wyboru. Rozstanie nie mogło pozostawiać cienia wątpliwości. Musiało być ostateczne.

Ostrożnymi krokami skierował się do gabinetu. Przynajmniej miał swoją pracę. Jeszcze. A co, kiedy i to zostanie mu odebrane? Jak mógłby doradzać czy inwestować, jeśli nie będzie w stanie przeczytać gazety czy spojrzeć na ekran komputera? Już teraz zaczynał mieć z tym trudności....

Wobec tej perspektywy czuł się kompletnie bezsilny. Nie mógł znieść bezradności, ale też nie chciał, by ktokolwiek oglądał go w takim stanie.

Dlatego odesłał Zoe.

Przypomniawszy sobie, jak go nazwała. Tak, on był łajdakiem, a ona rozrywkową dziewczyną. Z pewnością oboje bardzo szybko o sobie zapomną. Ze swej strony życzył sobie, by stało się to jak najprędzej.

Idź do diabła, dodała jeszcze. Uśmiechnął się ponuro.

Zoe wróciła do apartamentu Balfourów taksówką, ledwie świadoma otaczającej ją rzeczywistości. Jej ciało i umysł były obolałe i czuła się kompletnie wyczerpana.

Próbowała nie pozwolić rozhulać się wspomnieniom. Poranne słońce znikło pod chmurami i pogoda doskonale pasowała do jej nastroju.

Dlaczego wyszła z Makssem poprzedniego wieczoru? Lubiła przyjęcia, ale zawsze była wybredna, jeśli chodzi o towarzystwo, i nie zwykła wskakiwać do łóżka byle komu.

Ta noc jednak była inna. Max był inny. A może tylko jej się tak wydawało. Skrzywiła się na wspomnienie fali optymizmu, jaka ją ogarnęła po przebudzeniu w powodzi słonecznego blasku. Uwierzyła w nowy początek, a tymczasem nic się nie zmieniło. Max Monroe był łajdakiem, który ją bezwzględnie wykorzystał.

Weszła do pustego i ciemnego apartamentu, rzucając klucze na marmurowy stolik przy drzwiach. Oscar Balfour zatrudniał gospodynię, ale tylko w ciągu tygodnia. Zoe była z tego zadowolona, bo dziś nie zniosłaby niczyjej obecności. Zrzuciła ubranie i przygotowała sobie gorącą kąpiel. Siedziała w wodzie dopóki jej palce nie zaczęły przypominać suszonych śliwek, a woda nie wystygła. Dopiero wtedy niechętnie się wytarła, włożyła znoszoną, szarą piżamę i skuliła się pod kołdrą.

Wokoło było cicho, ciemno i pusto. Zoe nigdy nie czuła się bardziej samotna. Zawieszona w wielkiej pustce niepewności i bezradności. W jednej chwili rozplakała się gwałtownie. Łzy, które powstrzymywała całymi tygodniami, ściekały jej po twarzy, a szlochanie rozsadzało płuca.

Czuła się żałośnie słaba. Utrata nazwiska była równoznaczna z utratą tożsamości, a to było bardzo upokarzające. Przez chwilę sądziła, że Max mógłby jej być pomocny, że przy nim byłaby w stanie znów się odnaleźć.

Do tej pory zajmowało ją wyłącznie kupowanie strojów i wybór rozrywek. Wracała do apartamentu tylko, by się przespać i przebrać, uparcie ignorując milczącą dezaprobatę gospodyni.

Znów zajmie się tym samym i nie będzie rozmyślać o Maksie.

Rzuciła się znowu w wir spotkań. Z każdym kolejnym przyjęciem docierało do niej coraz wyraźniej, że nie może w ten sposób przeżyć życia. Powinna dorosnąć, nawet jeżeli nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Trzy tygodnie po nocy spędzonej z Maksem zadzwonił do niej Oscar. Może nawet nie odebrałaby, bo wcale nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale telefon zadzwonił, kiedy spała, i odruchowo sięgnęła po słuchawkę.

– Zoe? – Ostry ton jego głosu sprawił, że usiadła.

– Tato? – Cmoknięciem przesłała mu całusa i usłyszała w słuchawce westchnienie ulgi.

– Nie odzywasz się, więc chciałem wiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku. Czy cię obudziłem?

– Tak, spałam.

– Jest pierwsza po południu.

– Wczoraj późno wróciłam.

Chwila nerwowego milczenia zdradziła jego niezadowolenie.

– Rozumiem, że nawet nie próbowałaś odnaleźć swojego ojca?

– On nie jest moim ojcem.

– Doprawdy... – Ton Oscara złagodniał. – Wiesz, o kim mówię i...

– Nawet jeszcze nie wiem, czy chcę go odnaleźć – ucięła. – Nie interesował się mną przez tyle lat...

– Wątpię, czy wiedział o twoim istnieniu.

– Myślisz, że mama mu nie powiedziała?

Kim właściwie była jej mama? Wiedziała tylko, że zmarła przy jej urodzeniu.

– Wątpię – powtórzył Oscar. – A nawet gdyby, jego sytuacja była wystarczająco trudna. W końcu była już wtedy moją żoną...

– Wiem – odparła z rozdrażnieniem. – Ale nie wiem, czy chcę go odnaleźć.

– W takim razie powinnaś wrócić do domu.

Do domu... Kiedyś czuła, że to naprawdę jej dom, urządzone ze smakiem, otoczony wspaniałym ogrodem. Dom o niezaprzeczalnej godności i bogatej tradycji. Gdyby tylko potrafiła żywić do niego te same uczucia...

– Zoe? – odezwał się znów Oscar, a ona potrząsnęła głową, chociaż nie mógł jej widzieć.

– Nie mogę.

Nie potrafiłaby znieść współczucia i ciekawości tabloidów, które bez wątpienia wróciłyby do jej historii, oraz niby-przyjaciół, którzy odwrócili się od niej na pierwszy sygnał skandalu. Nie mogła tam wrócić, chociaż jakaś jej część ogromnie tęskniła za domowym ciepłem i bezpieczeństwem.

– Skoro nie możesz wrócić – powiedział Oscar z uśmiechem w głosie – ruszaj do przodu. Po to tam jesteś, a nie tylko po to, żeby wydawać moje pieniądze.

Chociaż ciepłe brzmienie głosu pozbawiło te słowa ostrości, i tak zarumieniła się w poczuciu winy.

– Dobrze – odparła w końcu niechętnie i Oscar odetchnął z ulgą.

– Kocham cię, Zoe.

Łzy napłynęły jej do oczu. Myślała, że wypłakała już wszystkie, tymczasem wciąż tam były, gotowe wypłynąć. Mrugała przez chwilę, z całych sił próbując je powstrzymać.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała.

Kiedy odłożyła słuchawkę, wygrzebała się z łóżka, przeszła przez ciche pokoje i usiadła na tarasie, podciągając kolana pod brodę.

Dzień był przepiękny, bladobłękitne niebo, drzewa w Central Parku żywo zielone. Nawet w mieście pachniało świeżością.

Musiała zrobić to, po co przyjechała do Nowego Jorku. Musiała odnaleźć biologicznego ojca.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jeszcze raz objęła wzrokiem lśniący wieżowiec, najwyższą i najbardziej imponującą budowlę na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy. Mosiężna tabliczka na frontowych drzwiach, strzeżonych przez odźwiernego w granatowej liberii ze złotymi szamerunkami, mieściła tylko dwa słowa: Anderson Finance.

Thomas Anderson, założyciel i dyrektor generalny firmy, był mężczyzną, z którym przyszła się spotkać. Stremowana, wzięła głęboki oddech i weszła śmiało do holu, pozdrawiając odźwiernego władcym skinieniem głowy i stukając obcasami po czarnej marmurowej posadzce.

– W czym mogę pani pomóc? – zwróciła się do niej mocno umalowana recepcjonistka o zaczesanych do góry włosach.

Zoe, która była już w połowie drogi do rzędu lśniących wind, stanęła i obdarzyła ją radosnym uśmiechem.

– Przyszłam na spotkanie z panem Thomasem Andersonem.

Kobieta nawet nie mrugnęła.

– Jest pani umówiona?

Zoe roześmiała się perliście.

– Nie. To ma być niespodzianka. – Zatrzepotała powiekami, co wywołało wyraz niesmaku na twarzy recepcjonistki.

– Pan Anderson nie lubi niespodzianek. – Uwadze towarzyszył lodowaty uśmiech. – I przez cały poranek jest zajęty kolejnymi spotkaniami...

– Więc proszę do niego zadzwonić – przerwała jej Zoe.

Uśmiechnęła się słodko, chociaż wewnątrz dygotała.

– I powiedz mu... – Wzięła głęboki oddech. – Że chce się z nim zobaczyć
Zoe Balfour. – Odetchnęła raz jeszcze. – Córka Alexandry Balfour.

Kobieta zasznurowała wargi i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Zoe nie mogła słyszeć, co powiedziała. Serce biło jej mocno. Potrzebowała całej siły woli, by stać pewnie z chłodnym uśmiechem na twarzy.

Kobieta odłożyła słuchawkę i spojrzała na nią krzywo.

– Pan Anderson spotka się z panią. Dwudzieste szóste piętro.

Zoe odpowiedziała uśmiechem i pomaszerowała do windy, a stukot jej obcasów rozległ się echem w holu. Z łomoczącym sercem wcisnęła przycisk.

Cichy dźwięk oznajmił przybycie do celu. Drzwi windy otworzyły się wprost na rozległą recepcję, nieskończone metry miękkiego, kremowego dywanu, zastawioną skórzanymi sofami, o ścianach obwieszonych nowoczesnym malarstwem. Zoe popatrzyła na barwne plamy i przypomniała sobie słowa Maksa: „Moja firma wydała ćwierć miliona dolarów na wystawienie tych koszmarów”.

Wspomnienie wywołało uśmiech. Teraz jednak Max Monroe należał do przeszłości i powinna o nim zapomnieć.

Czarno ubrana asystentka wstała zza lśniącego biurka i podeszła do niej.

– Zoe Balfour?

– Tak.

– Pan Anderson spotka się z panią, obawiam się jednak, że ma tylko kilka minut. Przez cały poranek...

– ...jest zajęty kolejnymi spotkaniami – wtrąciła Zoe. – Już to słyszałam.

Asystentka rzuciła jej zdziwione spojrzenie i Zoe uświadomiła sobie, że zachowała się niegrzecznie i spróbowała uśmiechem zatuszować niemiłe wrażenie. Po chwili została zaproszona do dużego, elegancko urządzonego gabinetu. Na końcu bezkresnego, puszystego dywanu czekał za biurkiem mężczyzna, odwrócony plecami do wejścia. Spoglądał przez sięgające od podłogi do sufitu okno na tętniącą życiem ulicę poniżej i rozciągające się po horyzont wieżowce.

Zoe rozpoznała go ze zdjęcia, które wycięła z „New York Timesa”. Grzywa szpakowatych włosów, szerokie ramiona – nie musiała nawet widzieć jego twarzy, żeby wiedzieć, że to on. Jej biologiczny ojciec.

Odwrócił się i spojrzała w oczy tak intensywnie zielone jak jej własne. Zawsze inna od swoich niebieskookich sióstr, nareszcie wiedziała, skąd się wzięła barwa jej oczu.

– Panna Balfour? W czym mogę pomóc?

Nie wiedział, dlaczego tu przyszła, czy tylko dobrze udawał? – zastanowiła się Zoe.

– Przypuszczam, że dobrze znał pan moją matkę, Alexandrę Balfour?

Przez krótką chwilę znać po nim było wielkie zmieszanie.

– Nie... Tak... Dawno temu. Któregoś lata załatwiałem interesy w Londynie i zapewne spotkaliśmy się wtedy. – Uniósł brwi. – Proszę mi wybaczyć, sądziłem, że przysłała pani w sprawie jakiejś kampanii dobroczynnej. Mam wiele takich próśb...

– Powód mojej wizyty jest inny – powiedziała oficjalnie. – Mam wrażenie, że doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę.

Naprawdę tak sądziła.

– Skoro jest pan finansistą – kontynuowała chłodno – umie pan liczyć. W czerwcu mija dwadzieścia siedem lat, odkąd poznał pan moją matkę. – Przerwała, obserwując go uważnie. – Ja urodziłam się dwudziestego szóstego kwietnia.

Pełna napięcia cisza trwała stanowczo zbyt długo. Thomas Anderson odpowiedział lodowatym spojrzeniem.

– Obawiam się, panno Balfour, że nie wiem, o czym pani mówi.

Zoe patrzyła na niego, usiłując nie poddać się rozczarowaniu. Trudno byłoby oczekiwać, że zaakceptuje bez sprzeciwu fakt posiadania dorosłej córki, otworzy ramiona i przyjmie ją do rodziny. Nie chciałyby zresztą tego.

Zacisnęła dłonie tak mocno, że aż zabolęło i dumnie uniosła podbródek.

– Nie wiem, jak dużo z tego dotarło do tutejszej prasy, ale miesiąc temu na balu dobroczynnym Balfourów w Londynie wybuchł skandal. – Przerwała, ale on wciąż obserwował ją beznamiętnie. – Tabloidy wyciągnęły historię dotyczącą romansu mojej matki, Alexandry Balfour, sprzed dwudziestu siedmiu lat, owocem którego były narodziny córki.

– Obawiam się, panno Balfour, że nie czytuję tego rodzaju historii.

– To oczywiste. Skoro je pan tworzy...

Jad w jej słowach zaszokował oboje, ale Zoe nie widziała powodu, by przeproszać.

– Matka opisała ten epizod w swoim dzienniku. Zgodnie z tym opisem jest pan moim ojcem.

Otóż to. Słowa padły. Nie była to cała prawda, bo Alexandra nie wymieniła jego nazwiska, ale ilu zielonookich, amerykańskich biznesmenów zaproszono tamtego lata do rezydencji Balfourów?

Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że Thomas Anderson potwierdzi, coś wyjaśni, usprawiedliwi... A przede wszystkim zaakceptuje. Ale przez jego twarz jedynie przemknął cień żalu, a potem znów odwrócił się do okna.

– Przykro mi, panno Balfour – powiedział ze spokojem – ale nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Chce pan powiedzieć, że nie miał pan romansu z moją matką? – zapytała z niedowierzaniem.

– Znałem pani matkę tylko towarzysko i trwało to bardzo krótko – odpowiedział po krótkim zawahaniu.

– Miałaby fałszować swój pamiętnik?

– Przykro mi – powtórzył raz jeszcze niskim głosem, wciąż odwrócony do niej plecami.

– Dlaczego panu przykro? – spytała Zoe. – Bo nie potrafi się pan przyznać, że jest moim ojcem? Mogłabym zażądać badania DNA.

– To doprowadziłoby do sprawy w sądzie – odparł ostro. – A chyba żadne z nas nie chciałoby się tam znaleźć.

Jeszcze większy skandal, jeszcze większy wstyd, pomyślała Zoe.

– Dlaczego po prostu nie powiesz prawdy? – szepnęła.

Łzy wciąż kłuły ją pod powiekami i musiała powstrzymać je mruganiem.

– Mamy takie same oczy – dodała urywanym głosem. – Nikt w mojej rodzinie takich nie ma.

Kiedy się do niej odwrócił, na jego twarzy nie było już śladu współczucia czy zrozumienia. Zdecydowanym gestem wcisnął jakiś guzik w telefonie.

– Mój strażnik, Hans, odprowadzi panią do wyjścia. Uważam naszą rozmowę za zakończoną – oznajmił beznamiętnie. – Ostrzegam, że jeżeli dojdzie do rozprzestrzenienia tych insynuacji, nie zawaham się wytoczyć sprawy o oszczerstwo.

Zoe nie wierzyła własnym uszom.

– Grozisz mi?

– Jedynie ostrzegam.

Potrząsnęła głową i jej wzrok padł na dużą srebrną ramkę, ustawioną na biurku. Odwróciła ją do siebie, żeby zobaczyć zdjęcie. To była fotografia rodzinna. Siwa kobieta około pięćdziesiątki uczesana w stylowy kok, dwóch chłopców i dziewczyna mniej więcej w jej wieku. Chłopcy byli młodsi, mniej więcej nastoletni.

Patrzyła na swoje przyrodnie rodzeństwo, którego nigdy nie pozna. Nie należała ani do nich, ani do Balfourów. Była sama.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i silna dłoń ujęła ją pod łokieć.

– Proszę pozwolić, bym panią odprowadził – powiedział strażnik tonem grzecznym, ale nie znoszącym sprzeciwu.

Strząsnęła z siebie jego rękę.

– Proszę mnie nie dotykać.

Zwróciła się do Thomasa Andersona, który usiłował na nią nie patrzeć.

– Możesz zaprzeczać – powiedziała powoli – ale oboje znamy prawdę. – Hans znów ujął ją za ramię. – Oboje wiemy. Nigdy o tym nie zapomnę!

Ostatnie słowo utonęło w szlochu, a ona jeszcze raz strząsnęła rękę strażnika i ruszyła do drzwi.

Nie zauważyła zdumionego spojrzenia asystentki ani kilku biznesmenów, którzy wchodzili do windy. Bez słowa minęła recepcjonistkę i portiera, który otworzył przed nią drzwi.

Zagłębiona we własnym bólu, widziała tylko wyraz ostatecznego odrzucenia na twarzy ojca. To była jej najgłębsza obawa, najgorsza zmora, która właśnie stała się faktem.

Nagle zakręciło jej się w głowie, a w ustach poczuła gorycz. Wzięła głęboki oddech, próbując wrócić do równowagi, ale żołądek podszedł jej do gardła. Zgięła się w pół, a czoło zrosił zimny pot.

Z torebki dobiegł ją dźwięk telefonu. Ogarnięta irracjonalną nadzieją, szybko sięgnęła po aparat.

Karen.

– Zoe! Chciałam się upewnić, że wychodzisz z nami dziś wieczorem. W Village otwierają nowy klub...

Zoe oparła się o ścianę budynku i zamknęła oczy. Pociła się, w ustach miała metaliczny posmak. Ledwo mogła zrozumieć sens słów koleżanki.

– Masz dziwny głos. – Karen wahała się pomiędzy niecierpliwością a niepokojem. – Na pewno dobrze się czujesz?

Zoe oparła głowę o ceglana ścianę budynku. Przez chwilę zapragnęła przyznać, jak się naprawdę czuje, ale Karen nie była osobą, która chciałaby

słuchać podobnych wynurzeń. Zresztą Zoe w ogóle nie miała prawdziwych przyjaciół.

– Więc przyjdiesz wieczorem?

Potwierdziła, z trudem opanowując słabość.

Poszła do nowo otwartego klubu z Karen i grupą nowojorskich znajomych, zdecydowana zapomnieć o Thomasie Andersonie i Maksie Monroe. Wciąż jednak prześladowało ją wspomnienie szyderczego uśmiešku, niemal identycznego na twarzach obu mężczyzn. Próbowwała zagłuszyć udrękę, tańcząc, śmiejąc się i flirtując, ale wysiłek okazał się ponad jej siły. Po niecałej godzinie od dudniącej muzyki rozbolała ją głowa, a ledwie napoczęty koktajl pozostawił kwaśny smak w ustach. Zostawiła go przy barze i ruszyła szukać łazienki.

Widok własnej twarzy w lustrze przeraził ją, ale nie miała siły, by się tym przejąć. Czekając na wolną kabinę, mimochodem słuchała rozmowy dwóch kobiet w kusych sukienkach i na niebotycznie wysokich obcasach.

– Ależ się przeraziłam w zeszłym tygodniu – powiedziała jedna z nich, nie odrywając wzroku od swojego odbicia.

– Aha? – przeciągnęła druga znudzonym tonem. – I co?

– Wyobraź sobie. – Pomalowała wargi i schowała szminkę do torebki. –

Okres opóźnił mi się o trzy dni, ale na szczęście to nie...

– Ciąża? – Dokończyła przyjaciółka, także chowając szminkę. – Co za koszmar.

Zoe obserwowała, jak wychodzą, a w głowie wciąż kłębiły jej się strzępy rozmowy.

„Przeraziłam się... Trzy dni opóźnienia... Ciąża...” – Te słowa wciąż kołatały się jej w głowie. Nawet w tym stanie otępienia była w stanie dokonać obliczeń. Miesiączka powinna się pojawić już cztery dni temu, zawsze była bardzo regularna... Ale przecież Max użył prezerwatywy. Kochali się tylko ten jeden raz. Nie, nie mogła być w ciąży. Złe samopoczucie to tylko wina stresu, uspokajała się.

Nie mogła już dłużej wytrzymać w klubie, więc wyszła, bez słowa pożegnania. Na dworze padało. Przywołała taksówkę i pojechała do domu, wstępując po drodze do całodobowej apteki.

Dwadzieścia minut później patrzyła na dwie różowe kreski i czytała ulotkę z wyjaśnieniem wyniku. Znowu przyjrzała się kreskom, jeszcze raz przeczytała ulotkę.

Była w ciąży z Maksem Monroe.

Na tę myśl serce ścisnęło jej się boleśnie. Po wspólnej nocy brutalnie się jej pozbył. Jak zareaguje na wiadomość o dziecku? Pomimo wszystko była zdecydowana powiedzieć mu prawdę.

Potrzebowała trzech dni, żeby znaleźć w sobie odwagę do spotkania z Maksem. Nie chciała nachodzić go w mieszkaniu, więc znalazła w Internecie adres Monroe Consulting i tam właśnie skierowała swoje kroki.

Z mdlącym uczuciem *deuja vu* przestąpiła próg, stanęła przed stanowiskiem ochrony i poprosiła o spotkanie z Maksem Monroe.

Strażnik podniósł słuchawkę telefonu. Zoe z trudem przychodziło jej uwierzyć, że po zaledwie trzech dniach znów znalazła się w tak samo nieprzyjemnej, upokarzającej sytuacji. Ponownie miała stanąć przed nieprzyjaźnie nastawionym mężczyzną i podzielić się z nim niechętnie przyjmowaną nowiną. A tym razem wszystko miało być jeszcze trudniejsze.

Strażnik spytał ją o nazwisko.

– Zoe – odparła, a widząc, że czeka na ciąg dalszy, dodała ponuro. – Po prostu Zoe. Pan Monroe będzie wiedział, o kogo chodzi.

Strażnik wzruszył ramionami i powiedział coś do słuchawki, po czym odłożył ją na widełki, a wyraz znudzenia w jego oczach zastąpiło chorobliwe zainteresowanie.

– Nie jest pani umówiona.

– Nie dzwoniłam wcześniej. – Uśmiechnęła się wdzięcznie. – Mam nadzieję, że pan Monroe lubi niespodzianki.

– Chyba niekonieczne. W każdym razie, nie chce pani widzieć. – Odczekał chwilę i sięgnął po czytaną poprzednio gazetę. – Przykro mi.

Zoe patrzyła na niego z niedowierzaniem. Max nawet nie wpuścił jej do biura. Zakręciło jej się w głowie i zebrało na mdłości, więc pośpiesznie podziękowała strażnikowi i ruszyła do wyjścia.

Przystanąła na chodniku, a bryza znad rzeki potargała jej włosy. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że Max nie dał jej możliwości powiedzenia mu o dziecku. Nie zamierzała jednak pozwolić mu uciec od odpowiedzialności.

Max nie mógł przestać myśleć o Zoe i nie czuł się z tym dobrze. Dlaczego do niego przyszła? Przecież aż nazbyt wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie zamierza kontynuować tej znajomości. Mimo to wytropiła go tutaj i usiłowała się do niego dostać. Dlaczego?

Ze swej strony zrobił wszystko, by o niej zapomnieć. Okazało się to niełatwe – nie umiał nie myśleć o zapachu jej włosów, jedwabistej skórze, chropawym, dziewczęcym śmiechu... Tęsknił do jej delikatnego dotyku, który wtedy wydawał mu się dotykiem miłości. Wciąż pamiętał muśnięcia jej warg na ciele i swoje ogromne pragnienie, by to trwało.

Nie! – upomniał się. Dla nich dwojga nie mogło być nadziei na wspólną przyszłość. Szkoda jego czasu na spotkania z tak nieciekawą osobą. Tamtego ranka, kiedy ją odesłał, była zła, bo zranił jej dumę. Nie mogło chodzić o nic głębszego.

Prawdopodobnie wolałaby zdecydować o rozstaniu jako pierwsza. Chciał wierzyć w takie właśnie wytłumaczenie jej zachowania.

Podszedł do okna, by nasycić się widokiem, który zbyt szybko stawał się dla niego niedostępny. Słońce – wielka złocista kula – oświetlała malowniczo budynki pod nim i cały otaczający świat.

Kilka godzin wcześniej miał wizytę u okulisty, który uznał, że sytuacja jest na razie stabilna. Powtórzył też, że momenty lepszego widzenia będą się przeplatać z krótkotrwałą utratą wzroku. Max uważał to za kpinę losu. Podobnie jak fakt, że Zoe przyszła go szukać. Bardzo pragnął ją znów zobaczyć i wziąć w ramiona, ale uważał, że mu tego zrobić nie wolno. Bał się odrzucenia, kiedy nasilały się objawy jego choroby.

Słońce było coraz niżej, rzeka Hudson skąpana w blasku zachodu zachwycała złocistym lśnieniem, a Zoe wciąż siedziała na ławce przy wejściu do siedziby firmy Maksa.

Zesztywniała z zimna i była przeraźliwie głodna, ale nie ruszyła się z miejsca od ponad trzech godzin. Odkąd zobaczyła wynik testu ciążowego, była przekonana, że Max musi się dowiedzieć o swoim dziecku. O tym, jak miałby wyglądać jego udział w życiu maleństwa, na razie wolała nie myśleć. Była tylko zdecydowana nie skazywać dziecka na to, co przeszła sama – dorastanie bez wiedzy o swoich korzeniach.

Ale czy Max będzie miał na ten temat podobne zdanie? Miała nieodparte wrażenie, że nie.

W końcu go zobaczyła. Wychodził z budynku, stawiając kroki wolno i ostrożnie, w sposób, który poruszał ją do głębi. Sprawiał wrażenie człowieka przytłoczonego bagażem życia. Wstała, kiedy był w połowie drogi między budynkiem a jej ławką. Zatrzymał się gwałtownie i stali tak oboje, przyglądając się sobie, podczas gdy ludzie mijali ich pospiesznie.

Max szedł uważnie, bo ulica była pełna pędzących gdzieś osób. Dlatego zobaczył Zoe dopiero w ostatniej chwili, kiedy już wstała z ławki. Była tak blisko, że doleciał go słaby zapach wody różanej, a po chwili zobaczył złociste włosy, zielone oczy i usłyszał słodki głos.

– Max.

– Uparta jesteś. – Nie udało mu się zabrzmieć tak odpychająco, jakby chciał.

– Raczej zdeterminowana.

– Jak chcesz. – Odetchnął głęboko, powstrzymując się od wypowiedzenia słów, które cisnęły mu się na wargi: „Wróciłaś. Pachniesz wiosną. Dotknij mnie”.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia, Zoe. – Zaczął ją wymijać, kierując się do czekającej limuzyny.

– Owszem, mamy. – Zbyt szybko, by mógł ją minąć, znalazła się przed nim i omal na nią nie wpadł.

– Ja w każdym razie nie mam ci nic do powiedzenia.

Uśmiechnęła się smutno.

– Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

– Nie zamierzam...

– Jestem w ciąży.

Max zamarł.

Dziecko. Jego dziecko...

– Tak jak mówiłem, nie mam ci nic do powiedzenia.

Odszedł. Tak po prostu. Niedowierzenie Zoe ustąpiło miejsca determinacji.

– Nawet nie chcesz o tym porozmawiać?

Odwrócił się sztywno.

– Ułynęło zbyt mało czasu, żeby to mogła być prawda. – Kiwnął jej głową i zaczął się oddalać.

– Nigdy nie byłam mocna w rachunkach – krzyknęła do jego szerokich pleców – ale kilka tygodni to aż nadto, skoro test można zrobić już po dziesięciu dniach!

Zatrzymał się. Milczał, jakby zastanawiając się, co zrobić. Po chwili odezwał się.

– Proszę.

Dopiero teraz zobaczyła czekającą limuzynę, więc wsiadła, nie zaszczycając go spojrzeniem. Podążył za nią, ale nie odezwał się, dopóki kierowca nie włączył się do ruchu.

– Nie miałaś żadnych objawów, a ja użyłem kondomu. Skąd ci przyszło do głowy, żeby zrobić test? – Zwrócił na nią uważne spojrzenie szarych oczu. – Bo rozumiem, że go zrobiłaś?

– Przypadkiem usłyszałam rozmowę dwóch kobiet i uświadomiłam sobie, że spóźnia mi się okres. Dodałam dwa do dwóch...

– I wyszło nieprzyjemne trzy.

A więc dziecko oznaczało dla niego niewygodę, powód do irytacji.

– Nie kryjesz swoich uczuć – rzuciła z goryczą.

– A czego się spodziewałaś? – spytał z niedowierzaniem.

Wpatrzona tępo w ulicę za oknem, rozważała sensowność swojej decyzji. Początkowo uważała, że koniecznie musi mu powiedzieć. Dziecko powinno mieć ojca, ale Max z pewnością niełatwo wejdzie w tę rolę. Przecież w ogóle się nie znali.

– Co chcesz zrobić? – zapytał neutralnym tonem. – Nie sądzę, żebyś potrzebowała pieniędzy, ale jeżeli o to chodzi...

Odwróciła się od okna i spojrzała wprost na niego.

– Będiesz ojcem. Sądziłam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Teraz to Max odwrócił się do okna i nie mogła widzieć wyrazu jego twarzy.

– Mam rozumieć, że chcesz je urodzić?

– A wolałbyś, żebym usunęła ciążę?

Wzruszył ramionami, a kiedy się w końcu odezwał, był to ledwo słyszalny szept.

– Nie.

– Nie?

– Nie, jeżeli tego nie chcesz – powiedział, wciąż odwrócony do okna. – Nie jestem aż takim egoistą.

Limuzyna zatrzymała się i Max wysiadł, a Zoe podążyła za nim.

Nie rozmawiali po drodze, w końcu jednak dotarli na trzydzieste drugie piętro i usiedli w salonie. Max nalał sobie whisky, którą wypił jednym haustem.

– Poczęstowałbym cię, ale chyba w tych okolicznościach...

– Zalecają raczej ziołowe herbaty – odparła w tym samym tonie. – Ale ja mam wielką ochotę na filiżankę kawy.

– Chyba odrobina kofeiny nie może ci zaszkodzić?

Wzruszyła ramionami. Czytała, że nadmiar kofeiny grozi poronieniem i chociaż uznawano, że filiżanka dziennie to nie nadmiar, nie chciała ryzykować.

Naprawdę chciała tego dziecka. Prawdopodobnie bardziej, niż pragnęła nosić nazwisko Balfour. Uświadomienie sobie tego zdziwiło ją, a nawet trochę przestraszyło.

Max ostrożnie odstawił pustą szklankę na stolik i powoli odwrócił się do niej.

– Doceniam to, że mi powiedziałaś, ale czego właściwie ode mnie oczekujesz?

Dobre pytanie. Sama nie była tego pewna.

– Chciałabym, żebyś był obecny w życiu naszego dziecka – powiedziała nerwowo, a Max uniósł brew.

– Obecny? – powtórzył, nie kryjąc niedowierzania. – Jak ty to sobie wyobrażasz?

Tak jawne powątpiewanie zabolalo ją i przypomniało reakcję jej biologicznego ojca na wiadomość o jej istnieniu.

– Mówię o odpowiedzialności...

– Odpowiedzialnie byłoby nie pozwolić ci zajść w ciążę. Ale skoro już się stało, mógłbym dać ci pieniądze...

– Nie. Naprawdę chciałbyś, żeby się nie urodziło?

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Nie mam pewności, że jest moje.

– Możemy zrobić test – odpowiedziała ze spokojem. – Nie mam nic do ukrycia.

– Naprawdę? – Pozostał niewzruszony, ale czuła, że jest zły. – Po prostu Zoe, tak? – zakpił. – Kim ty właściwie jesteś?

– Kobieta, która urodzi twoje dziecko – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem.

Roześmiał się szyderczo.

– Niezły z ciebie numer.

Żachnęła się, ale nie dał jej dojść do głosu.

– Czy ty się w ogóle zastanowiłaś, czym jest macierzyństwo? Jak bardzo zmieni to twoje życie? Koniec z przyjęciami i późnymi powrotami do domu. Koniec ze spędzaniem nocy u aktualnego kochanka...

– To nie fair. – Mrugała desperacko, żeby powstrzymać łzy. – Nie znasz mnie przecież.

– Właśnie. Wcale cię nie znam. – Te smutne słowa zawisły w powietrzu. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co to znaczy być matką? Czy może traktujesz to jak jeszcze jeden kaprys, coś, co wyrwie cię z nudy?

Każde jego słowo dopełniało surowej oceny. Nic dziwnego, w końcu tylko z jednej strony dała mu się poznać. Jemu i wielu innym osobom.

– Gdyby chodziło o kaprys – odparła sucho – kupiłabym nową bransoletkę.

Kiwnął głową, a Zoe wydało się, że widzi w kącikach jego ust cień uśmiechu.

– Oczywiście pomogę ci finansowo.

– Wypiszesz czek i uznasz sprawę za załatwioną?

– O co ci chodzi, Zoe? Nie możesz oczekiwać... – Przerwał i odwrócił się do niej plecami.

– Że będziesz obecny w życiu naszego dziecka? – dokończyła za niego. – Zabawne, jak bardzo mężczyźni się tego obawiają. – Wzięła głęboki oddech.

– Nie proszę, żebyś mnie poślubił ani nawet jakoś się ze mną związał. – Bolało ją jednak, że nawet przez moment nie wziął tego pod uwagę.

Nagle zakręciło jej się w głowie i zachwiała się na nogach.

Max gwałtownie wciągnął powietrze.

– Dobrze się czujesz?

– Trochę mnie mdli. Nic nie jadłam od rana. – Odchyliła głowę na oparcie fotela i zamknęła oczy.

Usłyszała ciche przekleństwo, a potem krzątanie w kuchni, szcęknięcie sztućców, wysuwanie szuflad, otwieranie szafek. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Maksa przy kuchennym blacie, pochylonego nad słojem z masłem orzechowym.

Sprawiał wrażenie bezradnego i zgubionego, jak gdyby nigdy wcześniej nie szykował niczego w swojej własnej kuchni.

– Korzystam z cateringu – wyjaśnił, chociaż o nic nie pytała. – Obawiam się, że mam tylko chleb i masło orzechowe.

– W porządku.

Sięgnął po słój, jednocześnie zrzucając łokciem nóż na podłogę. Znów zaklął pod nosem. Patrzyła zafascynowana, jak długimi, smukłymi palcami przesuwają po czarnych, marmurowych płytkach. W ciągu kilku sekund miał go z powrotem w ręku, ale odniosła dziwne wrażenie, że go nie zobaczyła, tylko wymacała.

Chciała coś powiedzieć, ale chłodny, odpychający wyraz jego twarzy powstrzymał ją od komentarza.

– Dziękuję – wymamrotała tylko, kiedy przygotował kanapkę i podał jej bez słowa.

Ugryzła kęs, ale apetyt całkiem ją opuścił, za to w głowie kotłowały się niezliczone pytania. Dlaczego miała niejasne wrażenie, że przygotowanie kanapki kosztowało Maksa sporo wysiłku? – zastanowiła się.

– Jeżeli wyobraziłaś sobie jakiś szczęśliwy rodzinny scenariusz – powiedział Max po dłuższej chwili napiętego milczenia – obawiam się, że to niemożliwe. – Przysunął się do okna i oparł ramieniem o szkło, całkowicie obojętny wobec spektakularnego widoku.

Wpatrywała się w kanapkę, niezdolna przełknąć ani kęsa.

– Niemożliwe? – powtórzyła pytającym tonem.

– Niemożliwe – potwierdził i dodał: – Przykro mi.

– Mówisz, jakbyś nie miał wyboru.

– Bo nie mam – odparł z zaskakująco głębokim żalem.

Podniosła wzrok.

– O czym ty mówisz? Nie chcesz patrzeć, jak się rozwija twoje dziecko?

Zacisnął szczęki, aż zaczął drgać mięsień w policzku.

– To niemożliwe.

– Tylko jeżeli naprawdę nie będziesz tego chciał.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – burknął. – Nawet nie znam twojego nazwiska. Nie możesz oczekiwać, że tak po prostu zostaniemy rodziną.

Na dźwięk słowa „rodzina” omal się nie rozplakała.

– Nie wiem, czego oczekuję, Max. Wiem tylko... – mówiła przez ściśnięte gardło. – Nie chcę, żeby nasze dziecko dorastało, nie wiedząc, kim jest jego ojciec. A na nazwisko mam Balfour.

Najwyraźniej nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

– Mógłbyś nas przynajmniej odwiedzać...

– Miałbym co kilka tygodni latać do Anglii?

Rzeczywiście nie przemyślała jeszcze bardzo wielu spraw. Właściwie dotąd miała w głowie tylko jedno: dziecko musi znać swojego ojca i być kochane.

Zaczynała jednak rozumieć, że do tego nie można nikogo zmusić. Może dla ich dziecka byłoby lepiej, gdyby nie znało swojego ojca, skoro on nie chciał go znać. W głębi duszy czuła jednak, że to nieprawda.

Położyła niedojedzoną kanapkę na stoliku i wstała ostrożnie, bo wciąż jeszcze czuła się słabo.

– Fakt, nie przemyślałam wszystkiego – powiedziała. – Nie będę udawać, że znam odpowiedzi na twoje pytania... Chciałam tylko... żeby nasze dziecko znało swoje korzenie, bo... – przerwała, ale zmusiła się, by kontynuować. – Bo ja byłam tego pozbawiona i wiem, jakie to przykre.

Kompletnie zaskoczony, nie zdążył się odezwać, bo mówiła dalej.

– Ale to właściwie nieważne, prawda? Bo nie można nikogo zmusić do miłości. Powinnam to była wiedzieć.

Przymknął oczy, jakby jej słowa go zabolowały.

– Zoe...

– Nie – powiedziała nerwowym tonem. – Tylko tyle. Po prostu chciałam, żebyś wiedział.

Odetchnął głęboko i otworzył oczy. Jego twarz była kompletnie bez wyrazu, wyprana ze wszystkich uczuć.

– Wiem – powiedział bezbarwnym głosem.

Nie poruszył się, kiedy ruszyła do windy. Wcisnęła guzik i czekała, mając jeszcze nadzieję, że jakoś zareaguje. Trwało to chwilę, w końcu jednak drzwi otworzyły się przed nią i nie pozostawało jej nic innego, jak wejść do środka.

Tak jak ostatnio, Max nie próbował jej zatrzymać.

Monroe słyszał szmer odjeżdżającej windy i żałował, że nie może zamknąć uszu i serca na wszystkie dźwięki związane z odejściem Zoe. Jej błagania i oskarżenia wciąż rozbrzmiewały mu w głowie.

„Nie można nikogo zmusić do miłości. Powinam to była wiedzieć”.

Nie znał jej historii, chociaż części mógł się domyślać. Myśl o tym, jak ją zawiódł i zranił, nie dawała mu spokoju. Może jednak lepiej, że stało się to teraz niż później, bo wtedy zraniłby ją dużo boleśniej.

Nie wiedziała nic o jego chorobie. Czy tak samo należałoby, aby włączył się w życie ich dziecka, gdyby wiedziała, że jest prawie ślepy i wkrótce stanie się inwalidą? Mógł sobie doskonale wyobrazić jej reakcję...

A nawet gdyby próbowała udawać, że to nieważne, niczego to by nie zmieniło. Dla dziecka również. Jak można być ojcem, nie widząc twarzy swojego dziecka? Nie mogąc pograć z synem w piłkę, a córeczki zakręcić w ramionach, nie potykając się o meble?

Stawał się bezużyteczny i to przerażało go coraz mocniej.

Zdusił przekleństwo i wetknął pięści w oczy, odcinając się od zamazanych kształtów dookoła. Ciemność była całkowita i niemal kojąca, ale tylko przez moment. Potem ogarnęła go panika i miał ochotę krzyczeć z rozpacz.

Ciężko opadł na fotel przy barku i sięgnął po butelkę whisky. Tu przynajmniej znajdował zapomnienie... Słodkie, choć tylko tymczasowe.

Położył się dopiero po północy, szybko zapadł w sen i wkrótce pojawiły się dręczące koszmary – dusząca ciemność i dobiegające z niej skargi i błagania.

„Max... zrób coś... pomóż mi, proszę...”

Nie zrobił nic. Jęknął z rozpaczą, zagrzebując się w śliską pościel, ale majaki nie chciały go opuścić.

„Pomóż mi, Max...”

Nie pomógł. Nie był zdolny do jakiegokolwiek działania.

Dopiero o świcie zapadł w głębszy sen bez majaków, w skłębionej pościeli na poduszce mokrej od łez.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kilka następnych dni upłynęło, jakby była w letargu. Zoe nie wychodziła z domu; większość czasu spędzała, leżąc w łóżku. Czowała się wypalona. W końcu jednak zmusiła się, aby wstać i wyjść.

Wędrowała po ulicach, zerkając apatycznie na wystawy sklepowe. Obserwowała spieszących się ludzi i każdemu z osobna zazdrościła. W końcu

jej wzrok padł na dyskretną tabliczkę przy wejściu do budynku, nieróżniącego się od setek innych.

„Centrum Samotnej Matki. Pomoc i wsparcie”.

Kierowana instynktem, pchnęła drzwi i wjechała windą na czwarte piętro. Zobaczyła tam kilka wypłowiałych, wysiedzianych foteli i stare biurko. Siedząca za nim kobieta była zajęta układaniem w koszyku różnych broszur. Kiedy Zoe weszła, podniosła głowę.

– W czym mogę pomóc?

– Właściwie – powiedziała Zoe niespodziewanie silnym głosem – chciałabym zapytać, czy ja mogę pomóc pani.

Zaskoczona kobieta uniosła pytająco brwi, a Zoe uśmiechnęła się miło.

– Chciałbym zostać wolontariuszką.

– Wolontariuszką? U nas? Pracowała tu pani wcześniej?

– Nie. – Rozumiała, że jej zachowanie może się wydawać dziwaczne, jednak nade wszystko pragnęła znaleźć w końcu swoje miejsce. Chciała działać, a nie rozmyślać i zamartwiać się. – Przyjechałam tu niedawno, mam mnóstwo wolnego czasu i chciałabym robić coś pożytecznego. Nie mam specjalistycznego wykształcenia, ale może mogłabym chociaż odbierać telefony?

– Tak... – Kobieta zerknęła na rozłożone na biurku papiery, a Zoe znów poczuła się niepewnie.

Kobieta podniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Zazwyczaj niełatwo jest znaleźć wolontariuszy. Wszyscy są dziś tak zajęci. Jestem pewna, że bardzo nam się przyda twoja pomoc. – Wyciągnęła rękę. – Jestem Tiffany.

– To fantastycznie. – Zoe uścisnęła jej dłoń. – Ja jestem Zoe. Zoe Balfour.

W ciągu kilku dni nauczyła się wszystkich niewdzięcznych robót – od podlewania roślin doniczkowych, po kserowanie broszur i formularzy na antycznej kopiarce. Próbowała wyobrazić sobie miny Holly Maberly czy choćby Karen, gdyby ją zobaczyły. Była przekonana, że przyjęłyby to z niedowierzaniem, a nawet z pogardą.

Trzeciego dnia wolontariatu Zoe uświadomiła sobie, że jest szczęśliwa, a przynajmniej bardzo tego bliska. Wiedziała, że nigdy nie osiągnie pełni szczęścia z wybranym mężczyzną, ale fakt, że zajmowała się obecnie czymś pożytecznym, dawał jej ogromną satysfakcję.

Jednak osiem godzin spędzanych w centrum macierzyństwa wypełniało tylko część długiej, samotnej doby, więc dużo spacerowała po parku, obserwując dzieci z matkami, ojcami lub nianiami, co na zmianę napełniało ją nadzieją lub obawą.

Czasem, wyczerpana, bezsennie kręciła się w pościeli, wyobrażając sobie inne życie, w którym jej biologiczny ojciec i ojciec jej dziecka akceptowałiby ją i kochali.

Było to jednak niemożliwe.

Wciąż jeszcze pozostawało aż nadto czasu na rozmyślania, wątpliwości i paniczny lęk przed przyszłością.

Gdzie będzie mieszkać? Czym się zajmie? Jak ma o wszystkim powiedzieć rodzinie? – zastanawiała się. Natychmiast wyobraziła sobie tytuły w brukowcach: „Bękart rodzi bękarta” i aż zadygotała z przerażenia.

Może była nierozsądna, ale odsuwała od siebie te myśli, żyła z dnia na dzień, ciesząc się pracą w centrum macierzyństwa i poczuciem koleżeństwa z Tiffany i innymi doradcami i wolontariuszami. Wciąż obawiała się jednak, że przyszłe problemy zniszczą tę małą stabilizację, jaką udało jej się osiągnąć.

Kilkanaście dni po spotkaniu z Makssem zaatakowały ją poranne mdłości. Słaba i udręczona, wzięła kilka dni wolnego i przeleżała je w łóżku, podjadając krakersy i starając się jak najwięcej spać.

Któregoś z tych posępnych, dżdżystych popołudni zadzwonił dzwonek u drzwi. Przekonana, że to gospodyni zapomniała kluczy, wstała niechętnie i otworzyła.

W progu stał Max.

Patrzyła na niego z otwartymi ze zdumienia ustami. Sprawiał wrażenie niezachwianego w swoim postanowieniu. Serce zabiło jej mocno i dopiero teraz uświadomiła sobie, jak sama wygląda. Niechlujna, potargana, ubrana

w starą, wygodną piżamę, w której nikt jej nigdy nie oglądał. Max jednak zdawał się niczego nie zauważać.

– Co ty tu robisz?

– Musimy porozmawiać.

– Naprawdę? – spytała chłodno.

– Tak – odparł zdecydowanym tonem. – Wpuścisz mnie?

– Skoro tak grzecznie prosisz – burknęła i otworzyła szerzej drzwi, aby mógł wejść. – Czego chcesz?

– Zamierzasz mnie trzymać w holu, czy raczej wejdziemy do środka i pomówimy jak cywilizowani ludzie?

– Ty chcesz udawać cywilizowanego?

Pochylił głowę, jakby się z nią zgadzał.

– Przykro mi.

– Już to mówiłeś.

– Zaskoczyłaś mnie i nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć – wyjaśnił ze spokojem, a jej serce zabiło mocniej.

Czyżby wszystko przemyślał i zmienił zdanie? – zastanowiła się.

– Przepraszam za swój wygląd – powiedziała lekko. – Gdybym się spodziewała gościa, zadbałabym o siebie.

Wzruszył ramionami.

– To nieważne. Powiedz lepiej, jak się czujesz?

– Tak jak wyglądam. Podle.
– Przykro mi – oznajmił po raz kolejny.
– Za kilka tygodni powinno być lepiej. Przynajmniej tak mówią ci, co się na tym znają.

Zapadła krępująca cisza. Max stał nieruchomo pośrodku pokoju z twarzą wypraną z uczuć. Nie miała pojęcia, o czym myśli. Znużona, wsunęła za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Dlaczego przyszedłeś, Max?

Odwrócił się do niej powoli. Ciemne oczy były podkrążone i malował się w nich wyraz bezradności.

– Już ci mówiłem, że czuję się winny mojego poprzedniego zachowania. Nie powinienem był tak cię odprawić.

– Serdeczne dzięki – odparła, nie kryjąc sarkazmu. – Zachowałeś się jak łajdak.

– Zaskoczyłaś mnie – uciął. – Zresztą wciąż nie wiem... – przerwał, mocno zaciskając wargi.

Czekała, usiłując opanować zdenerwowanie.

– Jak to wszystko poukładać, skoro rzeczywiście chcesz mieć to dziecko. Jesteśmy obcymi ludźmi, Zoe...

– Obcymi, którzy jednak spali ze sobą. – Nie była w stanie ukryć nuty przygnębienia w głosie.

Max tylko wzruszył ramionami.

– Co proponujesz? – zapytała.

– Nie proponuję niczego – odparł natychmiast. – Ale jeżeli rzeczywiście chcesz urodzić moje dziecko, nie mogę uchylać się od odpowiedzialności – powiedział, nie dając złudzeń, że rozpatruje tę sytuację jedynie w kategorii obowiązku. – Zostaniesz w Nowym Jorku przez czas trwania ciąży?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. – Nerwowo skubała materiał spodni od piżamy.

Nie zastanawiała się nad tym, ale i tak wiedziała, że nie może wrócić do Anglii, bo naraziłaby i siebie, i rodzinę na kolejny atak tableidów.

– Chyba powinnam – powiedziała z wahaniem.

– Dlaczego właściwie nie chcesz tam wracać? – zapytał neutralnym tonem.

– Wspomniałaś coś...

– Zostanę tutaj – ucieła.

Kiwnął głową i uświadomiła sobie z ulgą, że nie będzie jej naciskał.

– Jak chcesz. Byłaś u lekarza?

– Jeszcze nie.

– Skoro czujesz się tak źle, może mógłby ci jakoś pomóc.

– Nie wiem... – Zobaczyła, że wyciąga z kieszeni komórkę i wybiera numer. – Co robisz?

Wydał do telefonu kilka szorstkich poleceń i schował aparat.

– Moja asystentka wszystko załatwi. Spróbujemy cię umówić jeszcze dzisiaj.

Czuła się rozdarta pomiędzy rozdrażnieniem, uwielbieniem i wdzięcznością. Nie była pewna, czy chce, żeby tak nią rządził, ale z drugiej strony czuła się w uroczy sposób zadbana.

– Nie czuję się aż tak źle...

– Poprzednio mówiłaś co innego – stwierdził i przeszedł do spraw praktycznych. – Na pewno chciałabyś się wykąpać przed wizytą?

Zawstydzona, zarumieniała się po cebulki nieumytych włosów. Wstała z fotela, ale Max dalej tkwił pośrodku pokoju.

– Chcesz tu czekać?

Wzruszył ramionami, a Zoe nie mogła się powstrzymać, by nie spytać trochę złośliwie:

– Naprawdę nie masz nic do roboty? Jak choćby pieniędzy do zarobienia?

Uśmiechnął się.

– Duży majątek rozmnaża się sam – odparł.

Nie czekając dłużej, Zoe udała się do łazienki.

Gorący prysznic dobrze jej zrobił i poczuła się dużo lepiej. Włożyła obcisłe dżinsy, wysokie do kolan skórzane botki, jedwabną koszulkę koloru morskiej wody i zrobiła staranny makijaż. Wątpiła, czy zauważy jej wysiłek, ale była absurdalnie rozczarowana, kiedy nawet na nią nie spojrział.

– Wizyta za godzinę – oznajmił. – Samochód podjedzie za pięć minut.

Podał jej ramię i przez moment zapragnęła przyłgnąć do niego tak jak wtedy, nocą... przyznać, że boi się przyszłości... Że próbuje walczyć o dziecko, bo po raz pierwszy od dłuższego czasu coś wydaje jej się słuszne.

Gdyby mógł odgadnąć jej myśli, pewno pogardziłby podobną słabością. On na pewno nie przeżywał takich rozterek. Zawsze sprawiał wrażenie tak pewnego siebie, pozbieranego, świadomego swojego miejsca w życiu.

A jednak... Kiedy pocałowała jego bliznę, wyglądał, jakby utracił swoją wewnętrzną siłę...

Max usiłował nie pochylać się zanadto w stronę Zoe i nie wdychać słodkiego zapachu jej włosów i skóry. Próbował nie okazywać słabości, chociaż przyjście do niej wymagało zaangażowania całej siły woli i samokontroli. Każde nowe miejsce stanowiło teraz dla niego poważne wyzwanie. Mgliście rozróżniał drzwi i kąty, a każdy krok groził potknięciem albo upadkiem.

W końcu będzie jej musiał powiedzieć, pomyślał. Czy Zoe Balfour, przy swoich koneksjach i urodzie chciałaby żyć ze ślepcem? Czy mogłaby go pokochać? Bał się czegokolwiek od niej oczekiwać.

Limuzyna zaparkowała przy krawężniku. Max bardziej wyczuł, niż zobaczył długi, ciemny kształt, usłyszał odgłos otwierania i zamykania drzwi i wołanie szofera.

Frank wiedział o jego kłopotach ze wzrokiem. Max powiedział mu, kiedy zmusiły go do tego okoliczności. Więcej o tym nie rozmawiali, ale Frank starał się, jak mógł, ułatwić szefowi życie. Max polegał na nim całkowicie, ale wszelka zależność była dla niego boleśnie upokarzająca.

Panicznie bał się jej współczucia, ale kiedy od niego wyszła, było mu przykro i wstyd, że tak źle ją potraktował. W ciągu długich bezsennych nocy wciąż o niej myślał i szukał jej zapachu w swojej pościeli. Wyobrażał sobie ich dziecko... Dziewczynkę o blond loczkach i jadeitowych oczach swojej matki. Nie zobaczył jej oczami, ale jej obraz już nosił w sercu.

Potem sam siebie beształ i szydził z tak sentymentalnych urojeń. Załedwie znał Zoe – Zoe Balfour, jak się okazało – a to, co o niej wiedział, kazało mu porzucić nadzieję. Pomimo to nie chciał pozbawić dziecka ojca. Dlatego odszukał Zoe i przyrzekł opiekować się obojgiem. Nie miał wprawdzie najmniejszego pojęcia, jak to będzie wyglądać i do czego doprowadzi. Nie wiedział też, jak i kiedy miałyby wyznać Zoe prawdę o stanie swojego zdrowia.

Limuzyna mknęła w dół Park Avenue, a Zoe odpoczywała z głową opartą na aksamitnym podglówku. Max patrzył prosto przed siebie, najwyraźniej nieskłonny do rozmowy. Atmosfera była już wystarczająco krępująca bez jałowych, prowadzących donikąd dyskusji.

Obserwując nieprzystępny profil siedzącego obok mężczyzny, nagle zrozumiała, co bolało ją najbardziej. Max wprawdzie wyraził chęć opiekowania się nią i dzieckiem, ale zrobił to tylko z obowiązku. Nawet teraz wyglądał, jakby wolał być gdziekolwiek i z kimkolwiek, byle nie tutaj, z nią.

Westchnęła, odwróciła się do okna i przymknęła oczy.

Po kwadransie znaleźli się w luksusowej poczekalni. Lekarka, do której przyjechali, miała opinię świetnej specjalistki, ale Zoe nie robiło to najmniejszej różnicy.

Max usiadł obok niej, tak samo jak dotychczas, sztywny i nieprzystępny.

Kiedy w końcu poproszono ich do gabinetu, przysiadła na brzeжку leżanki, i nagle poczuła się zdenerwowana i niepewna. Myśl o badaniu przeprowadzanym w obecności Maksa, tkwiącego w rogu jak ciemny cień sprawiła, że znów dostała mdłości.

Musiał coś wyczuć, bo zapytał szorstko:

– Wolisz, żebym wyszedł?

– Ja... – zawahała się przez chwilę. – Nie... Zostań. – O dziwo, teraz naprawdę tego chciała.

Po chwili do gabinetu weszła doktor Hargreaves, zadbana, siwowłosa kobieta tuż po pięćdziesiątce.

– Pani Monroe?

– Nie... – zaprzeczyła Zoe odruchowo, rumieniąc się z zażenowania i zerkając na Maksa, który nie zareagował. – Nazywam się Zoe Balfour. My nie...

– Oczywiście – odparła wyrozumiałym tonem lekarka. – Przepraszam za tę pomyłkę. Asystentka musiała źle zapisać. – Uśmiechnęła się i otworzyła kartę Zoe. – Zobaczmy... ostatni raz miała pani miesięczkę osiem tygodni temu.

– Tak... tak mi się wydaje. – Nie była w stanie spojrzeć na Maksa, który wciąż stał przy wejściu, milczący, nieruchomy i jakby nieobecny.

– Zrobiła pani domowy test?

– Tak.

– I dokuczają pani mdłości?

– Tak.

– Mogę zapisać coś przeciw mdłościom, ale najlepiej byłoby często jadać białkowe przekąski, zwłaszcza rano. Te dolegliwości zazwyczaj mijają po kilku tygodniach.

– Dobra wiadomość. – Zoe uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Żeby panią uspokoić, proponuję badanie USG. – Lekarka uśmiechnęła się, a Zoe wyczytała z jej dobrych oczu zrozumienie i współczucie, bo napięcie pomiędzy nimi musiało być dla niej wyczuwalne.

– Być może uda się nam zobaczyć bijące serce.

Zoe położyła się na leżance, a lekarka posmarowała jej brzuch chłodnym żelem. Potem włączyła urządzenie i zaczęła badanie.

Zoe miała wrażenie, że trwało to całe wieki, dłonie jej się spociły i serce biło mocno ze strachu, ale wtedy doktor Hargreaves uśmiechnęła się.

– Jest. Widzi pani?

I rzeczywiście. Zobaczyła maleńką fasolkę z serduszkiem bijącym jak skrzydełka motyla. Zoe roześmiała się głośno w zachwycie i niedowierzaniu, ale kiedy zerknęła na Maksa, zobaczyła, że nawet nie spojrział na ekran ultrasonografu.

Lekarka włączyła dźwięk i gabinet wypełniło staccato szybkich uderzeń.

– Brzmi trochę jak stukot końskich kopyt w galopie – powiedziała i Zoe pokiwała głową.

To był przepiękny dźwięk, dźwięk życia, i kiedy spojrzała na Maksa, zobaczyła, że jego twarz przedtem tak zupełnie bez wyrazu, jest teraz przepelniona wzruszeniem. Nie od razu uświadomiła sobie, co lśni w jego oczach, ale kiedy to zrozumiała, uśmiechnęła się szeroko. To była radość. Max uśmiechnął się i Zoe uświadomiła sobie z niedowierzaniem, że ma wilgotne oczy. Mrugał zawzięcie, żeby powstrzymać łzy wzruszenia.

Odruchowo sięgnął po jej dłoń, splótł palce i ścisnął mocno. Zoe oparła głowę na twardym podglówku i zamknęła oczy, a uczucie wszechogarniającej ulgi, połączonej z radością i nadzieją, przyprawiło ją

o słabość i zawrót głowy. Wszystko będzie dobrze, pomyślała, z dłonią wciąż w dłoni Maksa. Na pewno wszystko się ułoży.

Max wciąż trzymał ją za rękę, nawet kiedy doktor Hargreaves wyłączyła już ultrasonograf i podała Zoe papierową chusteczkę do wytarcia żelu.

– Ten dźwięk nigdy mi się nie znudzi – powiedziała radośnie. – Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Proszę się umówić na kolejną wizytę za cztery tygodnie, ale oczywiście gdyby wynikły jakieś trudności, przyjmę panią wcześniej. Jeżeli pani sobie życzy, przepiszę coś na mdłości.

Zoe zerknęła na Maksa, ciekawa, jak to wszystko przyjął. Przeżyła moment euforii, ale teraz, chociaż Max wciąż trzymał ją za rękę, czuła się przestraszona i niepewna. Cztery tygodnie nagle wydały jej się bardzo długim okresem, nie mówiąc o dziewięciu miesiącach.

Max musiał mieć podobne odczucia, bo puścił jej dłoń i wycofał się do kąta, z twarzą znów tak nieprzeniknioną, że nie była w stanie nic z niej wyczytać.

Wyszli z kliniki i w milczeniu wsiedli do limuzyny, która znów ruszyła Park Avenue.

Zoe odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała, odchrząknąwszy – za zorganizowanie tej wizyty. Wspaniale było zobaczyć bicie jego serca.

– I usłyszeć – uzupełnił Max.

Zgiął i wyprostował palce, przypominając sobie, jak trzymały jej dłoń.

– Powinniśmy to uczcić.

– Jak to? – Popatrzyła na niego niepewnie.

Max uśmiechnął się, a w oczach nagle zabłyśły mu figlarne iskierki, jakich nie widziała nigdy wcześniej.

– Nie co dzień można usłyszeć bicie serca własnego dziecka. Powinniśmy to uczcić. – Była w tych słowach jakaś bolesna tęsknota.

– To prawda – odparła Zoe z uśmiechem. – Co zrobimy?

– Zjemy razem kolację – zaproponował. – W Le Cirque.

– Nie w tym stroju...

– Wstąpimy więc do ciebie, żebyś się mogła przebrać.

Godzinę później przepelniona nadzieją Zoe wsiadła ponownie do limuzyny Maksa. Miała na sobie wieczorową sukienkę ze srebrzystego atłasu, jedną ze swoich ulubionych. Była bardzo prosta; dopasowana góra na ramiączkach i rozkloszowany dół, wirujący wokół kostek. Max nie krył zachwytu.

O tej porze restauracja była prawie pusta. Pomimo to Max nalegał, by usiedli przy oddalonym od ciekawskich oczu stoliku, zapewniającym więcej prywatności. Zoe wzięła do ręki ciężką od pozłacanej oprawy kartę i w zamyśleniu wpatrywała się w listę przekąsek. Czy on traktował to spotkanie jako randkę? Może więc była dla nich jakaś szansa na wspólną przyszłość?

Podszedł kelner i Max zamówił szampana. Kiedy chciała zaprotestować, uciszył ją gestem dłoni.

– Wiem, że nie powinnaś, ale chyba łyżek wam nie zaszkodzi?

– Chyba nie – odparła, mnąc serwetkę na kolanach. – Nie spodziewałam się, że będzie aż tak uroczyście.

– Ja też nie. – Westchnął i przeczesał palcami włosy. – Poprzednio zachowałem się jak kompletny idiota. Teraz chciałbym to naprawić. – Roześmiał się nieśmiało. – To niewiele, prawda?

Odpowiedziała uśmiechem. Wyznanie Maksa ulżyło jej, odsunęło, przynajmniej na jakiś czas, obawy i niepewność.

– To znacznie więcej, niż ci się wydaje.

– Chcę to uczcić – powiedział impulsywnie. – Chcę pamiętać tylko dobre chwile.

Skłoniła głowę, trochę zdziwiona brzmieniem tych słów. Można by sądzić, że mówi raczej o przeszłości niż przyszłości.

Pojawił się kelner z szampanem i ceremonialnie otworzył butelkę.

Max i Zoe stuknęli się kieliszkami.

– Za przyszłość.

– Za przyszłość – powtórzyła, za nim i upiła łyżek.

Zamówili jedzenie i znów zamilkli. Zoe doskonale zdawała sobie sprawę, jak mało wiedzą o sobie. Ogarnięta osobliwą nieśmiałością, nerwowo zwijała

serwetkę na kolanach. Świetnie umiała flirtować i przekomarzać się, jednak w tej sytuacji zupełnie straciła rezon. W głowie kłębiły jej się myśli, ale nie miała odwagi wypowiedzieć żadnej z nich.

– A więc – zaczął Max – należysz do bardzo znanej rodziny.

Nerwowo kiwnęła głową.

– A ja nigdy o was nie słyszałem.

– Nie?

– Tymczasem masz rodzinną rezydencję w Anglii i kilka sióstr...
przynajmniej tak piszą w Internecie.

– Naprawdę? A co jeszcze tam wyczytałeś? – spytała niespokojnie.

– Tylko nazwisko. Widocznie nie jesteście aż tacy ważni.

– Aż mi wstyd – zażartowała, czekając na kolejne pytanie. – Zresztą to nie jest moje prawdziwe nazwisko. – Ulżyło jej, kiedy to powiedziała.

Max pochylił głowę i czekał na wyjaśnienie. Skoro już zaczęła ten temat, musiała dokończyć.

– Jestem nieślubnym dzieckiem. Dużo o tym ostatnio pisano.

– Istotnie, zauważyłem kilka wzmianek.

– Tylko kilka? Najwyraźniej rzeczywiście nie jestem taka ważna. –

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Słyszałem o tym już jakiś czas temu – przyznał.

Wyczuwała w jego słowach akceptację i zrozumienie.

– Również dlatego tak bardzo mi zależało, żeby cię odnaleźć. Ze względu na nasze dziecko. Nie chcę wokół niego żadnych niezdrowych tajemnic.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Tak bardzo chciała, żeby jej coś obiecał, ale wiedziała, że żadne z nich nie jest na to gotowe. Ich wzajemna relacja była bardzo krucha i z pewnością nie należało jej poddawać żadnym próbom.

Jedząc, gawędzili niezobowiązująco, o pogodzie, filmach, nowojorskich muzeach i restauracjach. Zoe odblokowała się zupełnie i poczuła, jakby wróciła do swojego dawnego radosnego „ja”.

Skończyli deser, gości przybywało, a na małej scenie zagrał kwartet jazzowy. Parkiet do tańca był jednak zupełnie pusty. Zoe poczuła się uskrzydłona nadzieją. Odłożyła serwetkę na stolik.

– Zatańczmy.

Max zamarł.

– Słucham?

Wskazała pusty parkiet.

– Przecież świętujemy. Chodź, zatańczmy.

Max nie widział dokładnie twarzy Zoe, wyczuwał jednak jej zapach i nie miał ochoty go gasić, ale nie mógł tańczyć. Teraz on zacisnął palce na leżącej na kolanach serwetce.

– Nie tańczę.

Raczej wyczuł, niż dostrzegł jej rozczarowanie.

– No chodź – zachęciła go słodkim tonem. – Dasz sobie radę.

Uśmiechnął się blado.

– Nie sędzę.

– Nie lubisz tańczyć? – Wyczuł w jej głosie lekkie rozczarowanie.

Bardzo żałował, bo nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio bawił się tak dobrze.

Tego wieczoru czuł się wolny od przygniatającego go do tej pory ciężaru. Szczęśliwy, przepelniony nadzieją. Dlatego nie podda się tak łatwo, nawet jeśli miałby się narazić na śmieszność.

– No cóż, pierwszy raz musi być. – Odłożył serwetkę na stół i wstał sztywno.

Sala restauracji zdawała się ciągnąć bez końca we wszystkich kierunkach, pełna nierozpoznanych przeszkód i ukrytych niebezpieczeństw. Max uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Spróbujemy?

Podąa mu dłoń i spleli palce tak ciasno jak podczas badania. Bardzo potrzebował jej siły. Będzie jego przewodnikiem w wędrówce wśród morza stolików do względnie bezpiecznej strefy parkietu tanecznego.

Samotny saksofon zawodził tęsknie i Max zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju muzyka wymaga bardzo mało umiejętności tanecznych. Pragnął

trzymać Zoe w objęciach i był wdzięczny, że tak naturalnie, bez cienia wątpliwości wsunęła się w jego ramiona. Przez moment ich ciała nie dotykały się, ale zaraz, za sprawą obustronnego porozumienia, wtuliła się w niego tak łatwo, jakby należeli do siebie od lat. Max dotykał brodą jej włosów, jedną ręką obejmował ją w talii, palce drugiej splótł z jej palcami. Właściwie nie przemieszczali się wcale, a tylko kołysali w miejscu.

I to było piękne.

Nie umiałby powiedzieć, jak długo to trwało, może minuty, a może godziny. Nieświadomy upływu czasu, odbierał tylko obecność wtulonej w siebie Zoe. Miał wrażenie, że odnalazł swoje spełnienie. Bezpieczną przystań.

W jakimś momencie wyczuł, że jest zmęczona i przypomniał sobie o jej ciąży. Zatrzymał się, obejmując ją jedną ręką.

– Już późno. Powinnaś się położyć.

– Rzeczywiście, jestem trochę zmęczona – przyznała z uśmiechem. – Ale mogłabym tak tańczyć do skończenia świata.

Ja też, pomyślał Max, ale nie potrafił tego powiedzieć. Teraz, kiedy przestali tańczyć, wróciły dawne lęki. Restauracja wydawała się najeżona niebezpieczeństwami, a przebycie drogi do stolika, a potem na zewnątrz trudniejsze niż zdobycie górskiego szczytu. Tak samo niemożliwe jak związek z piękną i ponętą Zoe Balfour. Kiedyś powie jej o swoich

problemach, ale zdawał sobie sprawę, że chodzi tu o coś więcej niż tylko dobór właściwych słów.

To była kwestia zbudowania zaufania, pozwolenia sobie na szczerość, nadzieję, a może nawet miłość. Perspektywa, że ona nie da mu szansy, była równie przerażająca jak ta, że da. A jeżeli ją zawiedzie? Wolałby chyba wcale nie próbować.

Pomimo zmęczenia i nudności Zoe była uskrzydłona tańcem. Miejsca, gdzie dotykał ją Max, mrowiły przyjemnie. Był dziś zupełnie innym człowiekiem, pomyślała. Prowokował marzenia, jakim nie potrafiła się oprzeć, marzenia o rodzinie złożonej z ich dwojga i maleństwa...

– Chciałbym cię zabrać do siebie – powiedział Max, kiedy siedzieli już w limuzynie.

Samochody przepływały strumieniem obok nich, a ciemność wciąż była nieprzenikniona.

– Dokąd? – spytała, przekonana, że pojechałaby z nim na koniec świata.

Uśmiechnął się niepewnie, ale wyczuwała w nim smutek i to napawało ją obawą. Chciała go wziąć za rękę, ale w ostatniej chwili zrezygnowała i opuściła dłoń.

– Do Hampton – odpowiedział i jej serce zabiło nadzieją.

– Dobrze – odpowiedziała zwyczajnie i nie rozmawiali już więcej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Powinam była odmówić, myślała Zoe. Zaledwie знаła Maksa, a jeden taniec jeszcze niczego nie zmieniał, choć chciałaby móc tak myśleć. Pamiętała jednak, jaki potrafił być szorstki, krytyczny, a nawet okrutny. Przyjęcie jego propozycji wydawało się dosyć nierozsądne.

Dlaczego więc nie tylko się na to zgodziła, ale miała głębokie przekonanie o słuszności tej decyzji? Zadzwoiła nawet do centrum macierzyństwa, zwolniła się z wolontariatu na cały tydzień i spakowała swoje rzeczy.

W gruncie rzeczy oczekiwała tej niespodziewanej wycieczki z radością i nadzieją. Wspominała wspólny taniec i to, jak trzymał ją za rękę podczas badania. Najwyraźniej wciąż jeszcze wierzyła w bajki i szczęśliwe zakończenia, pomimo że wcale się nie znali, a Max nie zająknął się ani słowem na temat swojego udziału w życiu jej i ich dziecka. Właściwie nadal nie wiedziała, jakie rozwiązanie tej sytuacji odpowiadałoby jej najbardziej. Miała wrażenie, że gdyby tak bardzo nie obawiała się kolejnego odrzucenia, mogłaby pokochać Maksa.

Przy krawężniku pojawiła się limuzyna i Zoe porzuciła swoje bezowocne rozmyślenia. Pospieszyła do frontowych drzwi, a kiedy otworzyła, on już tam był – ubrany ze swobodną elegancją.

– Zoe? – Miała przelotne wrażenie, że jego głos zabrzmiał dosyć niepewnie.

– Tak?

– Gotowa? – Teraz brzmiało w nim lekkie zniecierpliwienie.

Najwyraźniej intymność poprzedniego wieczoru wyparowała w świetle poranka. Znów trudno jej było uwierzyć, że naprawdę trzymał ją za rękę, że wtulała się w niego w rytmie powolnej muzyki, jak gdyby należeli do siebie od zawsze.

– Jasne. Wezmę rzeczy.

– Ja je wezmę.

Zatrzymał się w progu i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że czeka, aż ona mu powie, gdzie stoi bagaż.

– Jest tutaj.

Pociągnęła za rączkę dużej walizki, do której zapakowała niemal całą swoją garderobę. Max z łatwością uniósł ciężar. W milczeniu zjechali na dół i wyszli na rozświetloną ulicę.

Walizką zajął się Frank, a oni wsiedli do limuzyny. Max niechęć usiadł zbyt blisko i przycisnął jej udo swoim, ale zaraz odsunął się, mamrocąc słowa przeprosin. Co się zmieniło od zeszłej nocy, kiedy tak spontanicznie przygarnął ją do siebie i najwyraźniej dotykanie jej sprawiało mu przyjemność?

Nie mogła odpowiedzieć za Maksa, ale w jej przypadku nadzieję zastąpiła obawa, a pewność – wątpliwości.

Limuzyna ruszyła, wkrótce pozostawili za sobą miasto i jechali w stronę cieśniny Long Island.

Zoe odpoczywała z głową odchyłoną na oparciu, Max wciąż milczał, zamyślony. Nie miała pomysłu na rozmowę i w końcu usnęła. Obudziła się dopiero, kiedy limuzyna zaczęła zwalniać. Szafirowe niebo pięknie odbijało się w wodzie.

Zatrzymali się przed krytym gontem domem na plaży, umiejscowionym na urwisku z widokiem na cieśninę. W zasięgu wzroku nie było innych zabudowań, tylko zarośla i piasek. Wąska, polna droga, którą jechali, tutaj miała swój koniec.

– To chyba ostatni dom na Long Island – zauważyła Zoe, wysiadając z limuzyny.

Bolały ją wszystkie mięśnie, a mdłości jeszcze się nasiliły. Była bardzo zdenerwowana, chociaż nie rozumiała dlaczego. Nie obawiała się Maksa, a dom był piękny i mógł budzić tylko pozytywne odczucia. Nie bała się nawet przyszłości, choć ta rysowała się w nieokreślonych barwach. W końcu zrozumiała, że obawia się samej siebie, swoich reakcji i tęsknoty, jaką budził w niej ten mężczyzna.

Pomasowała bolący dół pleców, gdzie wyczuwała nieprzyjemne napięcie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Max troskliwie.

– Jestem tylko zmęczona.

– Wejdźmy do środka.

Ruszyli łupkową ścieżką, wijącą się wśród rododendronów i hortensji. Na skrzącym się morzu kołysało się leniwie kilka żaglówek, a krajobraz wokoło był tak sielski, że znów poczuła przypływ nadziei.

Wnętrze domu było jasne i przestronne, a z każdego okna rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na morze i niebo.

Kroki Zoe rozlegały się echem na polerowanej, marmurowej posadzce.

– Jesteśmy tu sami?

Max odłożył klucze na stolik przy wejściu i zdjął marynarkę.

– Tak. Normalnie mieszka tu gospodyni, ale w tej chwili ma urlop. Pomyślałem, że jakoś sobie poradzimy.

– Jasne. – Na przekór swoim obawom starała się mówić beztroskim tonem. – Ale ostrzegam, że nie najlepsza ze mnie kucharka.

– Nie ma takiej potrzeby. Możemy zamówić, co tylko będziemy chcieli. – Odwrócił się do niej z uśmiechem. – Jakies życzenia?

– Mam wielką ochotę na kurczaka tikka masala – przyznała ze śmiechem.

– A do tej pory nie przepadałam za hinduską kuchnią.

– Możesz uznać zamówienie za złożone. – Odwrócił się, a ona nagle poczuła się osamotniona, chociaż oddalił się tylko o kilka kroków.

W głowie miała natłok niewypowiedzianych pytań, dotyczących ich obojga, ale Max znów się do niej odwrócił.

– Powinnaś odpocząć – powiedział. – Wybierz sobie którąś z sypialni na górze. Zobaczymy się w porze kolacji.

Starał się nie myśleć o tym, że zostawia Zoe samą. Przywiózł ją tutaj, bo tego chciał... bo jej potrzebował. Przekonał samego siebie, że jeżeli mieli zrozumieć, dokąd zdążają i jaka czeka ich przyszłość, powinni spędzić jakiś czas razem. Teraz jednak, kiedy już tu była, zrozumiał, że nie potrafi odkryć przed nią swojej ułomności.

Na szczęście miał swoją pracę, kilka zaplanowanych rozmów konferencyjnych, kilka umów do sfinalizowania. Praca trzymała go w ryzach, sprawiała, że czuł się potrzebny.

Usiadł przy telefonie, ale zupełnie nie mógł się skupić. Myślał wyłącznie o Zoe, śpiącej na górze... o jej złocistych włosach rozrzuconych na poduszce i zapachu wody różanej zawieszonym w powietrzu. Czy śpi? – zastanowił się. A może rozmyśla? Czy była zadowolona z pobytu tutaj? Może raczej znudzona? Czy odkryje prawdę o nim, zanim on się zdobędzie na rozmowę?

Skupił się na korespondencji, która miała doprowadzić do podpisania wielomilionowej umowy. Dopracowywał ją miesiącami, a teraz czuł w głowie kompletną pustkę.

Zoe ruszyła na górę po marmurowych schodach, przesuwając palcami po poręczy z kutego żelaza. Zajrzała do kilku sypialni o ścianach w kolorach

morskiej wody. Wszystkie były tak samo anonimowe, więc w końcu wybrała tę środkową, z widokiem na plażę. Obejrzała zestaw barwnych mydełek i szamponów w przyległej łazience i stos broszurowych wydań na półkach w pokoju. W końcu, z braku lepszego zajęcia, wyciągnęła się w królewskich rozmiarów łożu o turkusowej pościeli, tak podobnej do tej w jego nowojorskim apartamencie, i w ciągu kilku minut zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, słońce rzucało długie cienie, przemieniając powierzchnię morza w rozmigotaną płaszczyznę. Niebo było bezchmurne i zamglone, nad wodą krążyło kilka mew. Dom sprawiał wrażenie pustego i Zoe zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Max. Musiała przespać kilka godzin i była teraz bardzo głodna, bo nic nie jadła przez cały dzień.

Pospiesznie przyczesала włosy, umyła zęby i powędrowała na dół, mijając puste pokoje oświetlone promieniami zachodzącego słońca.

Znalazła Maksa w kuchni, całej w granicie i stali nierdzewnej, pochylonego nad dwoma pojemnikami z folii aluminiowej. W powietrzu unosił się ostry aromat tikka masala i Zoe poczuła ssanie w żołądku.

– Pamiętałeś – powiedziała radośnie.

Odwrócił się do niej, ale minę miał poważną.

– Tak – odparł. – Jesteś głodna?

– Okropnie głodna.

Zawahała się, niepewna jego nastroju, niezorientowana co do źródła wyraźnie wyczuwalnego napięcia. Może powinna się przyzwyczać, bo właściwie takie napięcie towarzyszyło im prawie zawsze. Fakt, że pamiętał, na co miała ochotę, był miły, ale niczego nie zmieniał.

– Przygotować talerze? – spytała lekkim tonem.

– Dobra myśl – pochwalił. – Są w szafce nad zlewem.

Zajęła się nakrywaniem do stołu ustawionego we wnęce przy wyjściu na patio, skąd prosto w dół prowadziła ścieżka na plażę. Morze było teraz niewidoczne w ciemności.

Po chwili siedzieli już przy stole. Zoe ugryzła kęs i przymknęła oczy.

– Dobrze? – spytał z nutą rozbawienia w głosie.

– Pyszne. Jak to miło móc cieszyć się jedzeniem, dla odmiany. – Otworzyła oczy i uśmiechnęła się żałośnie. – Do tej pory byłam taka zdrowa, że ciężko znoszę to złe samopoczucie. – Ułamała kawałek chleba i zanurzyła w sosie. – Na szczęście to minie.

– Na pewno – powiedział pocieszająco.

Oboje pożywiali się w milczeniu, a mina Maksa była chyba jeszcze bardziej ponura niż poprzednio.

– Wiesz – powiedziała w końcu Zoe, próbując podtrzymać tę dziwną rozmowę. – Właściwie nic o tobie nie wiem. Gdzie dorastałeś?

– W Connecticut.

- Masz rodzeństwo?
- Trzy starsze siostry.
- Musiały cię strasznie zepsuć – zażartowała.

Przechylił głowę na jedną stronę, rozważając jej uwagę.

- Nie za bardzo – orzekł w końcu.
- Miałeś jakieś zwierzaki?
- Zwierzaki? Tak, psa o imieniu Boots. Zdechł, kiedy miałem sześć lat.
- To musiało być przykre.

Znów tylko wzruszenie ramion. Zoe kontynuowała wypytywanie.

- Zawsze zajmowałeś się biznesem?
- Nie.
- Więc czym jeszcze?

Milczał przez chwilę, a ona pomyślała, że ta rozmowa przypomina błądzenie w ciemności. Niepewność przy każdym kroku.

- Byłem pilotem wojskowym.
- Wojskowym? – powtórzyła, zaskoczona.

Oczywiście. Teraz zrozumiała jego skrupulatność i chłodne opanowanie.

- Jak długo służyłeś?
- Dwa lata. Wojsko opłaciło mi studia. Gdy byłem na drugim roku, wziąłem udział w pierwszej wojnie w Zatoce – powiedział bez emocji.

- Walczyłeś na wojnie?

Pokiwał głową.

– Latałem na E-2 Hawkeye. Głównie w misjach poszukiwawczo-ratowniczych. – Zamilkł na chwilę. – Po wojnie odszedłem z wojska. – Znow zamilkł, wpatrzony w ciemne morze za oknem. – Zostałem honorowo zwolniony.

– Byłeś ranny?

– Nasz samolot się rozbił. – Skończył jedzenie i odsunął talerz. – Teraz moja kolej na kilka pytań.

– Jasne – zgodziła się, chociaż bardzo chciała wiedzieć więcej. – Pytaj.

– Dlaczego przyjechałeś do Nowego Jorku?

– Potrzebowałam zmiany klimatu – odpowiedziała po chwili zawahania, starając się utrzymać nonszalancki ton.

– Dlaczego?

Przełknęła i zarumieniła się mocno.

Nie miała ochoty o tym mówić, ale nie mogła się już wymigać. Szczerść za szczerść.

– Pamiętasz swoje poszukiwania w Internecie? – zaczęła, obracając w dłoniach widelec. – W Anglii prasa była dużo bardziej napastliwa. Dziennikarze koczujący pod naszym domem, nieustanne telefony, pytania... To było nie do wytrzymania.

Nie chciała opowiadać o poszukiwaniu biologicznego ojca i jego zachowaniu.

Max przetrwał informację w milczeniu.

– Wyjechałaś, żeby uciec przed prasą? – zapytał i już wiedziała, że tego nie kupił.

Nie uwierzył jej. I słusznie. Niby chciała być uczciwa, a nie była, nawet w stosunku do siebie.

– Nie... wyjechałam, żeby uciec od siebie samej. – Te słowa zaskoczyły ją, chociaż czuła, że są prawdziwe. – Kiedy się dowiedziałam, że nie jestem dzieckiem mojego ojca... Oscara... że nie należę do rodziny Balfour... czułam się, jakbym straciła rękę albo nogę... albo...

– Wzrok – odpowiedział Max i Zoe kiwnęła głową.

– Tak. Jakąś ważną część siebie. Przestałam wiedzieć, kim jestem i kim mogłabym być. I... wciąż tego nie wiem. – Umilkła, zarazem pragnąc i obawiając się słów krytyki albo współczucia.

– Cóż... ile ty masz lat? Dwadzieścia cztery? Pięć?

– Dwadzieścia sześć.

– Masz dużo czasu na rozwiązanie tego dylematu. – Nagle wydał jej się bardzo bezradny. – Ja mam trzydzieści osiem.

– Byłeś na wojnie, a teraz prowadzisz doskonale prosperującą firmę. Na pewno dokładnie wiesz, kim jesteś.

Roześmiał się cicho; zabrzmiało to dosyć ponuro.

– Nie bądź taka pewna – powiedział, wprawiając ją w zdumienie. –

W każdym razie – kontynuował nieco łagodniejszym tonem – jestem pewien, że ci się uda. Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

To samo powiedział jej ojciec, ale Zoe nie bardzo mogła uwierzyć. Chciałaby, ale wcale nie czuła się silna. Ani trochę.

– Jakies inne pytanie? – rzuciła lekko. – Na przykład: „Twój ulubiony kolor?”

Max uśmiechnął się, chociaż oczy miał smutne.

– Wszystkie – odparł.

Odwrócił głowę i usłyszała, jak cicho wzdycha.

– Wszystkie – powtórzył tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Dokończyli posiłek w przyjaznym milczeniu, ale potem Max schronił się w swoim gabinecie. Podejrzewała, że użył pracy jako wymówki, żeby uniknąć jej towarzystwa. Za każdym razem, kiedy miała wrażenie, że udało im się do siebie zbliżyć, robił coś, co wszystko psuło. Może już żałował, że zdecydował się ją tu zaprosić? – pomyślała ze smutkiem.

Pozostawiona sama sobie, obeszła cały dół domu, a potem usadowiła się z książką w salonie. Czytanie niezbyt ją pociągało, ale miała nadzieję, że jeżeli zostanie na dole, Max w końcu do niej przyjdzie.

Nic z tego nie wyszło. O dziesiątej wieczorem odłożyła książkę i powędrowała na górę. Zasnęła od razu, ale obudziła się w środku nocy. Księżyc świecił jasno, za oknem słyszała szum przyływu, ale obudziło ją coś innego. Ten dziwny dźwięk wciąż jeszcze rozbrzmiewał jej w głowie.

Łkanie.

Usłyszała znowu zduszony szloch. Skąd brał się ten dźwięk? Czy to jakieś zabłąkane dziecko? A może ktoś, o kim Max jej nie wspomniał?

Wstała i ruszyła w stronę źródła dźwięku, brzmącego teraz słabo i przerywanie. Dochodził mniej więcej ze środka domu. Na palcach mijała kolejne zamknięte drzwi, aż doszła do ostatnich, w końcu korytarza, i tam przystanęła.

Cisza dzwoniła jej w uszach. Oddychała ciężko, serce waliło jak młotem. Przycisnęła dłonie do drzwi, rozsuwając szeroko palce na chłodnym drewnie. Dźwięk pojawił się znowu, urywany oddech i szloch, jak gdyby ktoś bardzo cierpiał. Dochodził zza drzwi, których dotykała.

Nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami, delikatnie nacisnęła klamkę i wsunęła się do środka.

Tam, w powodzi księżycowego blasku, leżał Max. Był nagi, przykryty tylko prześcieradłem, oczy miał zamknięte. Spał.

– Max... – szepnęła Zoe, ale jej nie usłyszał. Coś mu się śniło; musiał to być koszmar, od którego nie mógł się uwolnić.

Zbliżyła się o krok.

– Max... – powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem, ale bez rezultatu.

Zacisnął palce na prześcieradle i potrząsał głową, jak gdyby próbując wyzwolić się z krępujących go więzów.

– Max... – Uklękła na śliskim prześcieradle i dotknęła jego czoła, odgarniając na bok wilgotne od potu włosy.

Z całej duszy pragnęła zdjąć z niego ten ciężar, ukoić jego ból i dać mu pociechę. Rzucił się gwałtownie, a ona była bliska łez.

– Max... – Objęła dłonią jego policzek, wyczuwając pod palcami zarost. – Max... już dobrze, już wszystko dobrze... To tylko sen.

Pochyliła się nisko, muskając włosami jego twarz, a Max gwałtownie złapał ją za rękę i przycisnął do swojego policzka tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Wtedy otworzył oczy i popatrzył na nią z dziką rozpaczą.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nic ci nie jest?

– W porządku – odpowiedziała, zaskoczona i trochę przestraszona.

Wciąż ścisnął ją za rękę, nieomal miażdżąc jej palce i chociaż na nią patrzył, miała wrażenie, że wcale jej nie widzi. Dziwnie i strasznie było patrzeć w jego oczy, wciąż otwarte na rozgrywający się w snach dramat.

W końcu się odprężył, jego rysy złagodniały, a uścisk zelżał. Zoe chciała wstać, ale przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami jak nigdy wcześniej, ogarniając sobą. Kiedy na niego zerknęła, oczy miał znów zamknięte, ale na

twarży już nie malował się ten straszny grymas bólu. Był teraz odprężony i ona też się w końcu odprężyła.

Wtedy otworzył oczy i wpatrywał się w nią przez długą chwilę, a potem pochylił głowę i pocałował ją z niewyobrażalną słodyczą. Wtulila się w niego mocno, pragnąc go dotykać, czuć, stać się jego częścią.

– Zostań ze mną – wymruczał w jej włosy. – Nie zostawiaj mnie samego.

– Nie zostawię – szepnęła.

Nie zrobiłaby tego. Nie chciała go opuścić i nie chciała zostać sama. Jej miejsce było w jego ramionach.

Nie mogła być pewna, na ile działanie Maksa jest świadome i czy naprawdę chciał ją pocałować. Nie poruszyła się jednak, nie chcąc burzyć tej nowej więzi pomiędzy nimi. Max westchnął, odprężony i zadowolony.

– Pachniesz jak róże... – wymruczał w jej włosy, a serce Zoe zabiło radośnie, by nagle niemal zatrzymać się w przerażeniu, gdy dodał: – Diane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Max budził się powoli, a rozmazane otoczenie zaczynało nabierać kształtów. Dziś jednak zupełnie się tym nie przejmował. Utrata wzroku nagle przestała go przerażać. Czuł na twarzy ciepłe promienie słońca i widział jasny blask na podłodze i ścianach swojej sypialni. Podobny blask rozświetlał jego serce.

Przyjemnie ocieęzały i rozleniwiony od snu z trudem rozpoznawał stan, w jakim się znajdował. Już tak dawno nie czuł się w ten sposób. Wszystko to zawdzięczał Zoe.

Przyszła do niego tej nocy i leżała w jego ramionach, a on z całego serca pragnął, by z nim została.

Przymknął oczy, podrażnione słonecznym blaskiem.

Z całej nocy pamiętał tylko miętkość jej włosów, zapach róż, delikatność jej dotyku. Obecność Zoe odeгнаła dawne koszmary i surowy głos ojca: „Musisz o tym zapomnieć, Max. Jeżeli chcesz być żołnierzem i mężczyzną, musisz o tym zapomnieć”.

Nigdy nie zapomniał. Do dziś nosił to w sobie, wstyd, ból i żal, a co gorsza, uczucie całkowitej bezradności. Nie chciał się tak czuć nigdy więcej, nie mógł znieść myśli, że Zoe widziała go w tym stanie. Nie mógł znieść tego, że znów ją zawiódł.

A jednak, pomimo że odkrył przed nią swoją słabość, nie opuściła go. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma jej przy nim.

Pospiesznie odsunął od siebie obawę i poczucie straty. Wstał i ubrał się szybko. Od jakiegoś czasu wieczorem składał ubranie przy łóżku, żeby rano nie tracić czasu i energii na poszukiwania.

W dzinsach i rozpiętej pod szyją koszuli obszedł dom. Gdzież ona się podziwała? Zajrzał do każdego pokoju, wszystkimi zmysłami nastawiony na

odbiór najbliższego poruszenia, czekając, że się odezwie; pokaże, gdzie się schowała i odnajdzie go.

Niepokój przerodził się w rozpacz, a rozpacz w rozdrażnienie i złość. Czyżby odeszła bez uprzedzenia? Czy tej nocy wydał jej się tak odpychający? Tak ją rozczarował swoją słabością, że uciekła? Wstyd palił go od wewnątrz, niszcząc jego odwagę i słodkie wspomnienie jej obecności.

Samotny w kuchni, ogarnięty falą bolesnej wściekłości, nagle coś poczuł. Powiew, chłodny i słodki jednocześnie. Zapach wody morskiej. Przesuwane drzwi prowadzące na plażę musiały być otwarte i zrozumiał, dokąd poszła Zoe.

Zawahał się, nagle bojąc się wyjść. Zawsze lubił morze i nawet teraz to się nie zmieniło. Lubił lśnienie słońca na powierzchni wody i świeżość morskiej bryzy. Lęk budziła natomiast perspektywa samotnej wędrówki w nieznanym terenie – ostatni raz był tu ponad rok temu i tylko kilka tygodni.

Postanowił jednak przełamać strach. Jeżeli chciał dalej radzić sobie w życiu, musiał być silny i czuł, że go na to stać.

Wyszedł przez drzwi prowadzące na wydmy i ruszył ścieżką w stronę morza. Wędrowanie na bosaka po głębokim piasku nie nastęczało żadnych trudności. Od dzieciństwa był do tego przyzwyczajony. Ale kiedy potknął się kilkakrotnie, strach powrócił, a co gorsza, falą napłynęły wspomnienia, równie straszne jak senne koszmary.

To były przeżycia sprzed dziewiętnastu lat, a wciąż był okaleczony psychicznie. Utrata wzroku jeszcze ten stan pogłębiała. Nadal czuł w ustach kwaśny smak knebla.

I pamiętał ciemność. Nieskończoną ciemność, której się tak bardzo obawiał.

Wcześniej, przynajmniej za dnia, wspomnienia nie dopadały go nigdy z tak obezwładniającą siłą. Jednak teraz, kiedy tracił wzrok, sytuacja zaczęła się pogarszać. Zlany zimnym potem przyklęknął i oparł dłonie na piasku, oddychając głęboko.

Zmusił się, by wstać, dotarł na grzbiet wydmy, gdzie poczuł i usłyszał morze. Nie był na pustyni, tylko na plaży, a Zoe musiała być niedaleko. Ta świadomość uspokoiła go.

Zamrugął, bo ostre słońce jeszcze utrudniało rozróżnianie kształtów i dostrzegł małą sylwetkę, siedzącą na piasku.

Ruszył w jej stronę, a kiedy był już całkiem blisko, stanął, wsunął dłonie w kieszenie spodni i czekał. W głowie kłębiły mu się pytania, ale nie wypowiedział głośno żadnego z nich, bo uświadomił sobie, że boi się odpowiedzi. Stał tylko, nasłuchując żalosego krzyku mew, wyobrażając sobie, jak krążą pod błękitnym niebem... I czekał, aż Zoe się odezwie.

Zoe wyczuła obecność Maksa i ogarnęła ją dziwna mieszanina nadziei, ulgi i obawy. Przyszedł ją odszukać, chociaż teraz stał, milcząc, i nie miała pojęcia, o czym myśli. Co czuje. Zastanawiała się, czy ostatnia noc, w pewien sposób równie intymna jak ich pierwsza wspólna noc, coś dla niego znaczyła. Czy ją w ogóle pamiętał?

– Wstałeś – zwróciła się do niego z uśmiechem.

– Tak.

Spojrzała na zatokę, lśniącą i gładką w porannym słońcu.

– Pięknie tutaj. Obserwowałam wschód słońca i był naprawdę niezwykły.

– Uświadomiła sobie, że zagaduje powstałe znów między nimi napięcie, chociaż widok budzącej się do życia natury okazał się pokrzepiający.

Ona sama czuła się podobnie jak tamtego ranka po nocy spędzonej z Maksem. Dziś, kiedy się obudziła przy jego boku, znów pojawiło się poczucie, że wraca do życia. Dotknęła jego policzka, a potem przypomniała sobie, jak ją nazwał tej nocy i jak wymknęła się z łóżka.

– Bardzo lubiłem obserwować wschód słońca – powiedział Max z niezrozumiałą nutą tęsknoty w głosie.

– Lubieś? – spytała. – Już nie lubisz rano wstawać?

– Nie o wschodzie słońca – odpowiedział po chwili zawahania.

Potaknęła, chociaż właściwie nie rozumiała, co miał na myśli.

– Ja też. Szczerze mówiąc, najczęściej przesypiam wschód słońca.

– Jakoś mnie to nie dziwi. – Nuta rozbawienia złagodziła jego słowa.

Usiadł obok niej, na chłodnym, twardym piasku, tak blisko, że czuła jego ciepło i kusilo ją, żeby go dotknąć. Żałowała, że brak jej śmiałości, by się o niego oprzeć, zapytać, o czym myśli, i powiedzieć, jak się sama czuje.

– Przyjeżdżałem tu jako dziecko. – Nabrał garść piasku i pozwolił, by przesypywał mu się przez palce. – Kochałem to.

Odwróciła się do niego, zaciekawiona.

– To miejsce należało do twojej rodziny?

– Nie. Wynajmowaliśmy mały domek bliżej miasteczka. Ten dom został zbudowany przed pięciu laty. Chciałem, żeby światło wypełniało każdy pokój, niezależnie od pory dnia.

Zauważyła, że wciąż mówił w czasie przeszłym, jak gdyby jego życie już się skończyło. A może istotnie tak było? Wszystko w nim wydawało się zamknięte, odgrodzone od życia i pozbawione miłości.

Dlaczego? – zastanowiła się. Co sprawiło, że był tak niedostępny, a jego posepne spojrzenie tak odpychające i fascynujące zarazem? A może to tylko gra jej wyobraźni?

Była w nim jednak jakaś posepność, która pociągała ją od samego początku, bo coś podobnego czuła w sobie. Miała wtedy poczucie, że jej życie już się skończyło. Cokolwiek zrobi, nigdy nie będzie Balfourówną i to

napawało ją poczuciem straty i bezsensu wszystkiego. Max wydawał się znać to uczucie.

A jednak, kiedy byli razem, kiedy tańczyli, kiedy trzymał ją w ramionach, nie czuła tego smutku. On także wydawał się beztroski.

Z jakiegoś powodu ta myśl przestała być dla niej źródłem nadziei, a zaczęła ją zasmucać.

– Kto to jest Diane? – zapytała mimo woli.

Wolałaby zapomnieć, że Diane w ogóle istniała, że Max, trzymając ją w objęciach, nazwał ją imieniem innej kobiety, kiedy wciąż jeszcze czuła na wargach smak jego pocałunku. Dręczyło ją to cały ranek, a w głowie huczało od natłoku myśli.

Upuścił ostatnie ziarnka piasku i podparł się dłonią.

– Dlaczego pytasz?

– Wypowiedziałeś to imię – wyjaśniła, odwracając głowę, żeby na niego nie patrzeć. – Nazwałeś mnie Diane zeszłej nocy.

Westchnął głęboko. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Słysząc było tylko nawoływanie mew i szum fal.

– Była chirurgiem i członkiem mojej załogi podczas wojny w Zatoce.

Tego się nie spodziewała. Dawna przyjaciółka, może narzeczona, ale znajoma z wojska? Tamte lata musiały być dla niego bardzo trudne, skoro wciąż je wspomina. Pamiętała, jak pytał: „Nic ci nie jest?”

Wzięła głęboki oddech i zapytała:

– Zginęła w czasie katastrofy?

Teraz Max urywanie wciągnął powietrze.

– Nie. Ale czasem wolałbym, żeby tak się stało.

Znów ją zadziwił. Pewno poprosiłaby o wyjaśnienie, ale przestraszyła się tego, co mogła usłyszeć. Nie czuła się na siłach walczyć także i z jego demonami.

Zresztą Max i tak nie dał jej szansy. Wstał szybko i wyciągnął do niej rękę. Dłoń była silna i z łatwością podciągnęła ją na nogi.

– Chodź – powiedział ochoczo. – Zrobię ci śniadanie.

Weszła za nim do kuchni i przysiadła na barowym stolku przy czarnym, granitowym blacie. Obserwowanie, jak się porusza, oszczędnymi, precyzyjnymi ruchami, sprawiało jej niekłamaną przyjemność. Otworzył lodówkę, wyjął kilka jaj i zerknął na nią.

– Mam nadzieję, że lubisz jajecznicę. To jedna z niewielu rzeczy, jakie potrafię przyrządzić.

Raczej nie przepadała za jajkami, a teraz już sama myśl o zjedzeniu choćby jednego przyprawiała ją o mdłości. Jednak fakt, że Max chciał coś dla niej ugotować, bardzo ją poruszył i nie chciała tego zepsuć.

– Mmm... Bardzo – odpowiedziała z radosnym uśmiechem.

Max wbił sześć jajek do miski i roztrzepał je sprawnie. Obserwowała go, zafascynowana. Sama umiała zaparzyć kawę i herbatę, w ostateczności zrobić grzanekę... Na tym kończyły się jej kulinarne talenty.

– Czego się napijesz? – spytał Max. – Kawy? A może herbaty ziołowej?

– Chyba tylko wody.

Zsunęła się ze stołka i naląła sobie szklanekę, a potem znów obserwowała Maksa poruszającego się w kuchni tymi samymi starannymi ruchami. W międzyczasie wyciągnął patelnię, ustawił na gazie i wylał na nią roztrzepane jajka.

To wszystko było takie normalne, pomyślała Zoe z bólem, takie prawdziwe. Miała wrażenie, że mogłaby tak żyć, spędzać każdy ranek w tej kuchni, obserwując go takiego rozluźnionego, w rozpiętej koszuli i dżinsach opuszczonych na wąskie biodra. Rozmarzona, przypomniała sobie pocałunek z poprzedniej nocy. Czy on w ogóle o nim pamiętał? Na razie nie czuła się na siłach zapytać.

– Gotowe. – Max mieszał w patelni zaokrągloną łąpatką.

Zoe uśmiechnęła się promiennie.

– Super.

W międzyczasie nabrała prawdziwej ochoty na jedzenie. Z taką samą radością zjadłaby cokolwiek, byle tak siedzieć razem z nim przy stole, w blasku słońca...

Max wyciągnął długie nogi i popijał kawę, a Zoe sęczyła swoją wodę, pragnąc, by ten moment trwał jak najdłużej.

– No to opowiedz, jak ci się udało zostać milionerem – poprosiła, szczęśliwa, że widzi uśmiech na jego twarzy.

– Jestem bardzo bystry, to oczywiste – odparł, a ona wybuchnęła śmiechem. – No i miałem sporo szczęścia. Właściwa inwestycja we właściwym czasie.

– I to nie raz, jak sądzę.

– Owszem. – Pokiwał głową. – Kilkakrotnie.

– Lubisz to, co robisz?

Max wpatrzył się posepnie w swój kubek z kawą.

– Tak – odparł po dłuższej chwili. – Bardzo. A ty? Lubisz to, co robisz?

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– Masz na myśli zakupy, przyjęcia, ogólnie rzecz biorąc, wydawanie pieniędzy mojego ojca?

– Jeżeli tym się właśnie zajmujesz...

Upiła łyk wody, jeszcze niegotowa na całkowitą szczerłość.

– Tak właśnie było do tej pory. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ze smutkiem. – Chyba nie umiem sobie wyobrazić niczego innego.

– Chyba? Czyli nie jesteś przekonana?

– Wczoraj powiedziałeś, że mam mnóstwo czasu na zastanowienie się nad moim życiem.

– Kilka pytań może ci pomóc znaleźć sobie miejsce. Kim chciałaś być w dzieciństwie? Może baletnicą?

– Nie, nie – roześmiała się na samą myśl. – Brak mi lekkości w tańcu.

– Nie zgadzam się – odparł. – Jesteś w tym świetna.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

– Ledwo się poruszaliśmy – powiedziała. – Taki taniec jeszcze mi jakoś wychodzi.

– A może chciałaś być gwiazdą rocka?

Opuściła głowę i bawiła się swoją szklanką.

– Szczerze mówiąc, chciałam zostać naukowcem.

– Naukowcem? Nie o tym zwykle marzą małe dziewczynki.

– Rzeczywiście – odparła ze śmiechem. – Uwielbiałam przesiadywać w bibliotece mojego ojca i przeglądać jego encyklopedie. – Gardło zaciskały jej emocje, jakich nawet nie potrafiła nazwać. – Najbardziej lubiłam czytać o egzotycznych roślinach. Zapamiętywałam różne fakty i opowiadałam siostronom przy stole. Myślały, że to wymyślam.

– Dlaczego?

– Nie jestem zbyt bystra. W szkole ledwo zdałam końcowy egzamin, a studia były całkowicie poza moim zasięgiem.

Zarumieniła się ze wstydu. Powinna się przyznać, że wyrzucano ją z kolejnych placówek, nawet z ekskluzywnej szkoły z internatem. Wciąż pamiętała swojego nauczyciela biologii, tłumaczącego jej łagodnie: „Niektóre dziewczęta nie nadają się na studia. Na pewno ty masz inne zdolności...”

Rzeczywiście, miała wybitny talent do znajdowania dobrej zabawy.

– Szkoda – powiedział miękko. – To przykre, kiedy rozwiewają się młodzińcze marzenia.

Odniosła wrażenie, że mówi na podstawie własnych doświadczeń i nie była w stanie opanować ciekawości.

– A ty? – spytała. – Kim chciałeś być, kiedy dorośniesz?

– Żołnierzem – odparł. – Zawsze... Poznałem smak latania, kiedy miałem czternaście lat. – Wspomnienie wygładziło mu twarz. – Ojciec kolegi zabrał nas na wycieczkę małym dwupłatowcem. – Mówił z rozmarzeniem, całkowicie pogrążony we wspomnieniach. – To było cudowne, szybować nad chmurami w oddaleniu od wszystkiego. Nie chciałem już nigdy stamtąd wracać.

„W oddaleniu od wszystkiego...” – powtórzyła w myślach. Od czego takiego uciekał? Jego opowieść o lataniu przypominała trochę jej odczucia z czasów, kiedy zgłębiała przyrodnicze książki ojca, i z czasów późniejszych, kiedy jej ucieczka przybrała formę nieustannego balowania. Gdy człowiek

jest zajęty nieustannym wyszukiwaniem sobie rozrywki, nie ma czasu myśleć. Przez całe lata ukrywała się w ten sposób przed samą sobą, a właściwie przed brakiem siebie.

– Latanie musi być fantastycznym przeżyciem – powiedziała. – Wrócisz do tego kiedyś?

– Nie – odparł natychmiast.

– Nigdy?

– Nigdy.

Zamilkli oboje, a potem pochylił się do niej z wyrazem niezwyklej determinacji w oczach. Zoe wstrzymała oddech. Czuła instynktownie, że rozważa w sobie coś ważnego i czekała z dreszczem niepokoju. Wyraz jego twarzy nie zapowiadał niczego przyjemnego.

– Zoe...

– Tak? – wyszeptała.

– Muszę ci powiedzieć... – przerwał, a po jego twarzy przemknął wyraz niepewności.

Sięgnął po jej dłoń i trwali tak w milczeniu ze splecionymi palcami i chociaż czerpała z tego dotyku radość i siłę, niepokój wciąż jej nie opuszczał.

– Max? – szepnęła w końcu niepewnie.

Co takiego chciał jej powiedzieć? Przeraziła się nagle, że to mogło być coś, co wszystko zmieni. I to nie tak, jak tego pragnęła. Nie zdając sobie z tego sprawy, roześmiała się nerwowo.

– Max, masz taką poważną minę. To chyba nic straszego, prawda? – Uśmiechnięta kokieteryjnie, przechyliła głowę na bok.

Przeczuwała, że go zrani, ale musiała rozładować nieznośne napięcie. Tym samym jednak udaremniła jego zamiar.

– Nic – powiedział. – To nic ważnego. A teraz muszę popracować. – Wyraźnie usłyszała w jego głosie przygnębienie.

Wstał i wyszedł, a ona gorzko pożałowała swojego zachowania. Okazała się słaba i lękliwa. Ojciec się mylił; wcale nie była silna.

Niepocieszona, wpatrywała się w stos brudnych naczyń. Jak to możliwe, myślała przybita, że zaledwie kilka chwil wcześniej czuła się taka szczęśliwa?

Max właśnie szykował się do kolejnej rozmowy. Już od dawna wszystkie firmowe sprawy załatwiał za pomocą telefonu i komputera. Teraz odłożył słuchawkę i zagłębił się w fotelu, mrużąc oczy i skupiając wzrok na stojącej w drzwiach Zoe.

Była ubrana w coś różowego i zwiewnego, a jasne włosy okalały jej twarz. Nie widział wiele więcej, ale i tak wydała mu się bardzo pociągająca. Wciąż

doskonale pamiętał jej smak, zapach z poprzedniej nocy i jej wargi, takie miękkie i słodkie.

Siłą woli oddalił wspomnienia. Cokolwiek wydarzyło się ostatniej nocy, rano to przekreślił. Sposób, w jaki umknęła przed wysłuchaniem go, pokazał z całą jasnością, jak bardzo się różnią.

– Chciałabym pojechać do miasteczka – powtórzyła pogodnie. – Trochę pozwiedzać. Chyba nie zamierzałeś zamknąć mnie na stałe w domu?

– Jesteśmy tu od wczoraj – odparł zirytowany. – I nie wydawało mi się, żebym cię więził.

Dostrzegł, jak wzrusza ramionami, a materiał lekko ociera się o jej skórę.

– Wiesz... jeżeli chcemy poznać się nawzajem... znaleźć jakiś wspólny język... – mówiła coraz ciszej, w końcu umilkła zupełnie.

Max odwrócił wzrok. Tego ranka jeszcze miał nadzieję. Poprzedniej nocy Zoe nie odwróciła się od niego pomimo jego słabości. Wciąż jednak nie rozmawiali o tej nocy, oboje uciekli w kłamstwo, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Dziś rano spróbował, ale po jej reakcji poznał, że nie chciała wiedzieć. Nie była na to gotowa. Nie znali siebie na tyle dobrze, by ich związek poddawać tak trudnej próbie. Co taka Zoe, przyzwyczajona traktować życie lekko, miałaby zrobić z kimś takim jak on? Chciała, żeby się zaangażował w życie ich dziecka, ale czy będzie tego samego zdania, kiedy dowie się prawdy? Nie

chciał stracić możliwości kontaktu z dzieckiem, ale wątpił, czy uda im się znaleźć z Zoe wspólny język. A perspektywa spędzenia reszty życia z kobietą, która będzie mu tylko współczuła, była nie do zniesienia.

– Chcesz pojechać do miasteczka – powtórzył wolno.

Postukiwał piórem w polerowany blat biurka. Przyrządzenie jajecznicy było wystarczająco trudne, ale zdołał udowodnić Zoe, że go na to stać. Kosztem sporego wysiłku, ale poradził sobie. Jednak myśl o spacerowaniu po pełnym różnego rodzaju przeszkód i pułapek miasteczku przerażała go. Wystarczył jeden nieostrożny krok, niespodziewanie otwarte drzwi. Kto wie, jakich mógł tam doznać upokorzeń.

– Dobrze – odparł, wstając zza biurka. – Pojedziemy do miasteczka.

Miasteczko East Hampton było urocze. Zoe zachwycaly modne, gustowne butiki, ręcznie wykonane, drewniane szyldy, strategicznie rozmieszczone kafejki. Wędrowali chodnikiem, mijając czarowne sklepiki otoczone płótkami i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Max, który reagował na tę przechadzkę jak typowy mężczyzna. Szedł obok niej, sztywno wyprostowany, starannie odmierzoną krokiem. Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu, oczy pociemniałe, szczęki mocno zaciśnięte.

Czyżby spacer po mieście był dla niego aż taką udręką? Nie sprawiał przy tym wrażenia zirytowanego czy znudzonego, ale właśnie zbolalego. Zoe nie

miała pojęcia, o co chodzi. Może odniósł w wypadku jakieś bolesne obrażenia? I co właściwie chciał jej powiedzieć tego rana? Nie miała odwagi zapytać, zresztą obawiała się usłyszeć odpowiedź. Jednocześnie wstydziła się własnego tchórzostwa. Pomimo to powściągliwe zachowanie Maksą ogromnie ją drażniło.

Skoro on milczał, nie odzywała się i ona, za to zatrzymywała się w niemal każdym sklepiku, flirtowała z mężczyznami, przymierzała fantazyjne kapelusze i trzepotała rzęsami, podczas gdy Max z miną cierpiętnika czekał cierpliwie w drzwiach.

Nie była z siebie zadowolona, choć usilnie starała się sprawiać przeciwne wrażenie. Było jej głupio, że ucieka się do swoich starych sztuczek, ale za wszelką cenę chciała wywołać u swojego towarzysza jakąkolwiek reakcję

Zdjęła szeroki słomkowy kapelusz z jedwabnymi wstążkami i, odkładając go na półkę, westchnęła zniechęcona.

Popołudnie mijało, a Max nie miał najmniejszego zamiaru reagować na jej zachowanie, choćby nawet niewłaściwe. Na przykład, kiedy kokietowała młodego sprzedawcę w butik. Chłopak prawdopodobnie nie skończył jeszcze szkoły średniej i jąkał się z zakłopotania, usiłując odpowiedzieć na jedno z jej prowokujących pytań. Max zachował nieprzenikniony wyraz twarzy i nie odezwał się do niej ani słowem.

Przed wieczorem była kompletnie wyczerpana i przygnębiona, ale też zdeterminowana, aby sprowokować Maksa do jakiejś reakcji. To, pomyślała zniechęcona, przypominało wyciskanie soku z kamienia. Czy ten mężczyzna czasem nie był pozbawiony ludzkich uczuć? Bo tak jej się właśnie zaczynało wydawać.

Ale przecież pamiętała, jak ją tulił i błagał, żeby nie odchodziła, a także jak razem tańczyli. Słodycz tych wspomnień sprawiała, że chciało jej się płakać.

Czy właśnie zmarnowała szansę, jaką miała jeszcze tego ranka? Czy była w stanie jeszcze to wszystko naprawić?

Odłożyła koszmarnie drogi szal, który oglądała i, nie próbując nawet ukryć znużenia i smutku w głosie, powiedziała:

– Wracajmy.

Nie mogła nie zauważyć, że Max przyjął jej słowa z ogromną ulgą.

Kiedy dotarli do domu, natychmiast zniknął w swoim gabinecie, zostawiając ją samą. Słońce zaczęło już zachodzić, zalewając świat różanym kolorem.

Zeszła na plażę i usiadła nad brzegiem, pozwalając, by woda obmywała jej stopy. Chciała tylko zrozumieć swoje odczucia, ale nawet to wydawało się niemożliwe. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo tam siedzi, obojętnie wpatrzona w przestrzeń. W końcu zapadł mrok i zrobiło się chłodno. Wróci

do domu i znajdzie Maksa, ale co potem? Będą kontynuowali ten dziwny taniec niedopowiedzeń, żalów i wspomnień?

Nie tego chciała. Była zmęczona ciągłą niepewnością, obawami i żałami. Była zmęczona sobą i sama sobie współczuła.

Nie mogła zmienić Maksa. Nie mogła sprawić, by żywił uczucia, na jakie nie był jeszcze gotowy. Ale mogła zmienić siebie i miała wrażenie, że do tego dorosła. Wstał już księżyc, smukły i srebrzysty, na granatowym niebie migotało kilka gwiazd.

Postanowiła, że już nigdy nie będzie myślała o tym, czego nigdy nie miała ani o tym, co utraciła. W zamian pomyśli o tym, co jest jej najcenniejszym dobrem: o kochającej rodzinie, o ojcu, który jej nigdy nie zawiódł, o maleństwie, które rosło w jej brzuchu i które zdążyła już głęboko pokochać... O Maksie także.

Dziękowała opatrności za Maksa. Kochała go uczuciem dobrym, silnym i prawdziwym. Kochała tego mężczyznę, który trzymał ją w ramionach i który jej potrzebował. Nie wiedziała jednak, czy mogła ufać swoim uczuciom i czy mogła powiedzieć o nich Maksowi?

Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Max zagrzebał się w pracy, chcąc zająć czymś umysł i zapomnieć o całkowicie nieudanym popołudniu. Wspólny wypad potwierdził jego

najgorsze obawy. Nie mógł się z nią związać, bo nigdy nie będzie jej mógł dać tego, czego pragnęła.

Ledwo dał radę spędzić z nią jedno popołudnie. Cała wyprawa okazała się niezłym testem wytrzymałości. Dopóki nie znalazł się w nieznanym terenie, nie uświadamiał sobie, jak bardzo jego wzrok już się pogorszył. Chodniki były nierówne, a sztywne buty pełne przeszkód, między którymi musiał lawirować.

Wiedział, że powinien powiedzieć Zoe prawdę, bo ukrywanie jej było absurdalne. Powinien był jej powiedzieć rano, tak jak zamierzał, ale w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi. Tak samo jak jej, żeby go wysłuchać.

Powinien jej opowiedzieć o swojej przeszłości. Wykręcił się, kiedy zapytała o Diane, bo nie czuł się na siłach wspominać te straszne dni, chociaż ciągle powodowały koszmarne sny.

Nie wspominał o potwornych krzykach, które brzmiały mu w uszach, kiedy leżał, zakneblowany, z opaską na oczach, kompletnie unieruchomiony.

Ta sama niemoc zdawała się ogarniać go teraz i czuł się skępowany i torturowany, tak jak w ciągu tamtych niekończących się miesięcy, kiedy był przetrzymywany jako zakładnik.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Przyjęcie? – Zoe podniosła wzrok znad przeglądanej książki. – Jakie przyjęcie?

Max, tkwiący w drzwiach przytulnej biblioteki, gdzie schroniła się na całe rano, wzruszył ramionami.

– Mój wspólnik urządza przyjęcie w swoim domu przy plaży. Będzie kilkoro moich klientów i sam też powinienem się tam pokazać. – Nie odpowiedziała, więc kontynuował nieznacznie ostrzejszym tonem. – Myślałem, że ucieszysz się z zaproszenia.

Owszem, jeszcze niedawno ucieszyłyby się. Jeszcze niedawno niczego innego nie brakowałoby jej do pełni szczęścia. Teraz jednak siedziała skulona w dużym, skórzanym fotelu, który boleśnie przypominał jej dom i ojca, i czuła, jak wielka zaszła w niej zmiana. Poza tym chciała, żeby Max opowiedział jej o Diane i o przyczynach swoich nocnych koszmarów. Chciała mu pokazać, że jest gotowa go wysłuchać i powiedzieć mu, że go kocha.

Od poprzedniego wieczoru, kiedy w końcu doszła do ładu z samą sobą, nie mieli okazji porozmawiać, bo przez cały czas zachowywał się całkowicie nieprzystępnie.

– Zoe? – przerwał jej rozmyślania. – Nie chcesz tam iść?

Za oknem słońce stało wysoko na lazurowym niebie, ale twarz Maksa była na wpół ukryta w cieniu.

Za dużo cienia, pomyślała ze smutkiem. Za dużo niewypowiedzianych pytań i żalów. Zawiedzionych nadziei. Nie umiała się wydostać z tego zakłętego kręgu. Mogła zdobyć się jedynie na promienny uśmiech.

– Bardzo chcę – odparła i zaśmiała się perliście.

Wyruszyli, kiedy słońce miało się ku zachodowi, malując długie lawendowe smugi na niebie i wodzie.

Zoe znalazła ubranie, które wciąż jeszcze na nią pasowało, bo większość rzeczy w szybkim tempie robiła się za ciasna. Sukienka była bez pleców, uszyta z kremowego jedwabiu ze złotą nitką, długa nad kolano i rozszerzana na dole.

Max, co stwierdziła z goryczą, nie zwrócił na jej wygląd najmniejszej uwagi. Nie odezwał się nawet słowem, kiwnął tylko sztywno głową i wsiadł do limuzyny. W dopasowanych spodniach i białej rozpiętej przy szyi koszuli, wyglądał znakomicie. Opalił się tak, że kontrast oliwkowej skóry z białą materiału dodawał mu mrocznego uroku. Jego blizna była teraz niemal niewidoczna.

Kiedy przyjechali na miejsce, dom przy plaży był gęsto oświetlony. Zoe nie czuła się najlepiej. Przez całą drogę Max nie odezwał się do niej ani nawet na nią nie spojrzał. Miała wrażenie, że zaledwie toleruje jej towarzystwo.

Wchodząc do środka, wyprostowała się i odrzuciła włosy na ramiona. Pierwsze zachwycone spojrzenie było jak balsam dla jej stęsknionej duszy i na pewno dlatego zareagowała podobnie jak w miasteczku. Z wdzięcznością przyjęła kieliszek wina i opróżniła go jednym haustem. Tego wieczoru zamierzała się dobrze bawić... tak jak to zawsze robiła.

Jednak pomimo wesołych rozmów, śmiechów i flirtowania, nie bawiła się dobrze. Usiłowała nie rozglądać się za Maksem, ale na myśl o nim serce jej krwawiło.

W dodatku doczekała się afrontu od jednego z nowych znajomych, który nietaktownie wypytywał ją o sprawy osobiste.

Zarumieniona z upokorzenia kątem oka dostrzegła, że Max wymyka się na werandę, z której było zejście nad morze. Odstawiła pusty kieliszek i ruszyła na poszukiwanie tego jedyne go mężczyzny, który był dla niej teraz ważny.

Bryza od morza przyjemnie chłodziła jej rozgrzane policzki. Na bosaka podeszła do niego, wpatzonego w zmarszczoną powierzchnię wody i kilka kołyszących się na kotwicy jachtów.

Serce wciąż biło jej mocno, a policzki paliły po nieprzyjemnej rozmowie. Otoczyła ramiona dłońmi. Czowała, że liczył się tylko człowiek stojący przed nią w ciemności, o ramionach przygiętych ciężarem, którego nie rozumiała.

Zerknęła na niego, ale nie poruszył się ani o centymetr. Stał sztywno wyprostowany, z pochyloną głową, i cała jego postawa wyrażała bezbronność. Powoli podeszła i stanęła tuż za nim.

– Max?

– Dobrze się bawiłaś – zauważył, wciąż odwrócony do niej plecami.

– Wcale nie – odparła po chwili milczenia. – Tylko udawałam.

– Powiedziałaś mi to samo tamtego pierwszego wieczoru. – Wsunął dłonie do kieszeni i spojrzał na usiane gwiazdami niebo. – Powiedziałaś, że byłaś tak samo znudzona jak ja, tylko lepsza ode mnie w udawaniu, że nie jesteś.

– Zawsze byłam dobra w udawaniu – zgodziła się pogodnie.

Miała wrażenie, że udawała przez całe dotychczasowe życie, ale teraz miała tego dość.

– Ale jestem pewna, że chcę z tym skończyć – dodała po chwili.

Nie skomentował jej słów, ale w jego oczach i surowym rysunku twarzy wyraźnie rysowało się cierpienie. Nie poruszył się, kiedy stanęła tuż za nim i objęła go ramionami.

– Max – wyszeptała. – Proszę, powiedz mi, o co chodzi?

Przez chwilę myślała, że nie odpowie. Czowała, że był bardzo spięty, ale przynajmniej nie unikał jej dotyku.

– Sądziłem, że nie chcesz wiedzieć – powiedział w końcu tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Wiedziała, do czego nawiązuje. Poprzedniego dnia rzeczywiście nie miała odwagi go wysłuchać. Teraz też nie była wcale pewna...

– O co chodzi? – powtórzyła szeptem.

Oplotła go ramionami, ale nie zareagował i dopiero kiedy już była pewna, że nie zdołała do niego dotrzeć, odwrócił się powoli, by stanąć z nią oko w oko.

W ciemności zaledwie widziała jego twarz. Oboje milczeli, słyszeć było tylko urywany szmer jego oddechu. Z wahaniem musnęła palcami jego skronie, a potem policzki i wargi, w końcu ujęła twarz w obie dłonie, tak jak tamtej nocy, kiedy dręczył go koszmar.

– Max... – Ten szept był zarówno błaganiem, jak i obietnicą. Z całego serca pragnęła, żeby powiedział jej o wszystkim. – Proszę, powiedz mi.

Przysunął się bliżej i oparł czoło o jej czoło, aż zmieszały się ich oddechy. Zsunęła dłonie na ramiona i niżej, aż odnalazła jego dłonie; spleli palce i zacisnęli mocno.

Z rozjarzonego światłami domu dobiegły słabe dźwięki muzyki i Max roześmiał się cicho.

– Moglibyśmy zatańczyć.

Zoe omal się nie rozplakała.

– Zatańczmy.

Przymknął oczy.

– Mówiłem ci, że nie tańczę.

– Pokazałeś mi, że tańczysz – szepnęła. – Pamiętasz?

Delikatnie potrząsnął głową.

– Tym razem nie znam kroków.

Zamknęła oczy i lekko poruszyła biodrami, nie puszcżając jego dłoni.

– Ja też nie. Stwórzmy sobie własne. Wymyślmy nowy taniec.

Ku jej radości Max zaczął się poruszać razem z nią.

– Myślisz, że tak będzie dobrze? – wymruczał w jej włosy.

– Cudownie – wyszeptała.

Miała tak ściśnięte gardło, że z trudem wydobywała słowa. Palce Maksa ciasno obejmowały jej własne. Kołysali się w takt muzyki przez kilka cudownych minut, poruszając się w niezwykłej harmonii, a fale rozbijały się u ich stóp. Nagle Max ścisnął mocno jej palce i szybko cofnął się o krok.

– Max...

– Jestem ślepcem, Zoe.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Usilnie próbowała zrozumieć to, co właśnie usłyszała. W świetle księżyca jego twarz wyglądała tak strasznie mizernie, że serce jej się ścisnęło.

– Jak... – zaczęła, ale nie była w stanie do końca sformułować pytania.

– Choroba Stargardta – wyjaśnił. – To genetyczna stopniowa degeneracja siatkówki, prowadząca do całkowitej ślepoty.

Mogła tylko wpatrywać się w niego bez słowa. Było zbyt wiele pytań i wątpliwości, a znając go już trochę, wołała zachować ostrożność.

– Nie miałem pojęcia, że jestem chory aż do wypadku – kontynuował beznamiętnie. – To z powodu chwilowej utraty widzenia rozbiłem się moim samolotem. Takie chwilowe zaniki widzenia mogą być objawem choroby, a w moim przypadku diagnoza została potwierdzona, kiedy leżałem w szpitalu jakieś trzy miesiące temu.

Trzy miesiące. Nic dziwnego, że sprawiał wrażenie człowieka, którego życie już się skończyło. Miał zbyt mało czasu, by pogodzić się z druzgoczącą nowiną.

– Od tamtej pory mój wzrok znacznie się pogorszył – mówił dalej Max, a ona wyczuwała w jego głosie napięcie i smutek. – Już prawie nic nie widzę, a najprostsze zadania urastają do rangi tytanicznych... – Przerwał i odetchnął głęboko. – Czasem pochwycę błysk twoich włosów albo zieleń twoich oczu. Są takie piękne.

Po policzku Zoe spłynęła łza. Chciała coś powiedzieć, ale Max jej nie pozwolił.

– Ale tak naprawdę, to już nic nie widzę. Zamazane kształty, ciemne smugi, czasem tylko coś kątem oka. Widzenie peryferyjne zanika na końcu. A potem... – przełknął z trudem – nadejdzie ciemność. – Jego głos zadrżał niebezpiecznie i Zoe otarła łzy.

Musi być silna. Dla niego.

– Max...

– Rozumiesz teraz, dlaczego byłem tak niechętny naszemu związkowi. Nie jestem i nigdy nie będę mężczyzną, jakiego potrzebujesz.

– Skąd możesz wiedzieć, kogo potrzebuję? – spytała.

Wszystko nagle nabrało sensu: ostrożne, wyważone ruchy, wyraz niepewności, jaki tyle razy widziała na jego twarzy... to, że nie patrzył na ekran ultrasonografu.

„I słyszeć je”, powiedział o biciu serca dziecka. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego dźwięk był dla niego taki ważny.

Uniósł brew, nie kryjąc sceptycyzmu. Próbował zdystansować się od samego siebie, wyczuwała to wyraźnie. Oddalał się od niej, bo to był jedyny sposób na uchronienie się przed zranieniem. Znała to z własnego doświadczenia. Ona zrobiła to samo, uciekając w nieustanne balowanie. Na dłuższą metę ten sposób jednak nie działał.

– Chcesz powiedzieć – spytał teraz chłodno – że to nie ma znaczenia?

– Znaczenia? – powtórzyła z niedowierzaniem.

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, i przypomniała sobie, jak ojciec powiedział, że okoliczności jej narodzin nie mają znaczenia. Ale w głębi duszy czuła, że jest inaczej.

– Oczywiście, że ma... – zaczęła.

Pobladł i cofnął się o krok, wysuwając się z jej uścisku. Uświadomiła sobie, że wybrała niewłaściwą odpowiedź.

– Max, ja nie...

– Wiedziałem, co jesteś warta, już w chwili kiedy mnie zaczepiłaś – powiedział, dobierając każde słowo, tak by raniło. – Płytką flirciara. Dlatego wziąłem cię do łóżka, żeby nie musieć się przejmować następnego ranka. Wiedziałem, że nie przysporzysz mi kłopotów.

Potrząsnęła głową, nie chcąc słuchać, nie chcąc wierzyć.

– Nie...

– To prawda, Zoe. Pamiętam, co przeczytałem w Internecie.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Wierzę – wyszeptała.

– Całkiem interesująca historia – kontynuował. – Wydalona ze szkoły w wieku szesnastu lat za ukradkowe randki i balowanie z miejscowymi chłopcami.

Już prawie o tym zapomniała, a teraz spadło na nią w formie oskarżenia od jedynej osoby, która nie powinna była o tym usłyszeć.

– To samo było w Londynie.

Mogła tylko potaknąć.

– Dlaczego to wszystko mówisz? – zapytała ze spuszczoną głową, skulona, jakby dostała cios w żołądek.

– Bo to prawda. – Podniosła wzrok i napotkała jego pogardliwe spojrzenie.

– Przyjechałam do Nowego Jorku, żeby uciec od plotek związanych z moim pochodzeniem. Już ci to mówiłam. A przedtem byłam dokładnie taka, jak opisałeś. Przyznaję, niewiele osiągnęłam w życiu. Nie walczyłam na wojnie, nie prowadziłam firmy i nie zarobiłam milionów. Nigdy nawet nie pomyślałam o zrobieniu czegokolwiek, dopóki się nie dowiedziałam, że nie jestem prawowitą córką Oscara Balfoura. Nie jestem tym, kim myślałam, że jestem.

– Nazwisko jest dla ciebie aż takie ważne?

– Było – wyznała ze spokojem. – Było wszystkim. Miałam wrażenie, że skoro nie jestem Balfour, to jestem nikim. Ale teraz...

– Ja wiem, kim jesteś – przerwał jej lodowatym tonem, który zmroził ją do głębi. – Płytką, bezmyślną dziewczyną, która snuje infantylne marzenia o szczęśliwej rodzinie.

– To nie tak... – Nie mogła uwierzyć, że słyszy od niego takie słowa, dużo bardziej bolesne niż prasowe plotki i złośliwości znajomych.

– To tylko kwestia czasu, kiedy się mną znudzisz – dokończył jadownicie. – Wtedy odejdziesz i znajdziesz sobie następną zabawkę.

– To nie fair...

– To prawda.

Powoli pokręciła głową.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy?

– Bo lepiej skończyć to od razu. Zanim któreś z nas się zanadto zaangażuje.

– Zaangażuje? – powtórzyła, powstrzymując szloch. – Ja się w tobie zakochałam...

– No właśnie. – Skrzywił wargi w niechętnym grymasie. – Najwyższy czas z tym skończyć.

Zamknęła oczy. Czowała się chora, słaba, obolała. Zniosłaby tak okrutne słowa ze strony każdej innej osoby, ale usłyszane od Maksa były wprost niewyobrażalnie bolesne.

Podniosła głowę i wzięła głęboki oddech.

– To jedyna dobra rzecz, jaką w życiu zrobiłam – powiedziała drżącym głosem, odwróciła się i odeszła.

Max patrzył bez słowa, jak odchodzi; ciemność wchłonęła ją błyskawicznie, a kiedy odetchnął, nie wyczuł już zapachu róż.

Był przekonany, że tak będzie lepiej. Lepiej porzucić na swoich warunkach, niż zostać porzuconym. Lepiej zawieść ją wcześniej niż później, kiedy nie będzie w stanie dopasować się do jej oczekiwań czy potrzeb. Wmawiał sobie, że tak jest łatwiej, ale jego fatalne samopoczucie raczej temu przeczyło.

Tak daremnej wściekłości doświadczył wcześniej tylko raz, kiedy skrępowany, zakneblowany, z zawiązanymi oczami słuchał krzyków swych torturowanych przyjaciół i nie mógł nic zrobić. Teraz czuł się równie bezsilny. Wciąż czuł się zniewolony.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zoe wróciła do domu Maksa taksówką. Następnego dnia zamierzała autobusem lub wynajętym samochodem dostać się do Nowego Jorku. Nadal jednak nie wiedziała, co zrobi później.

Leżała w ciemności z zamkniętymi oczami, niezdolna myśleć o przyszłości... o ile w ogóle była przed nią jakaś przyszłość, pomyślała gorzko. Jego słowa były tak bardzo bolesne, bo miał rację. Rzeczywiście był płytka i przestraszona, niezdolna sprostać wyzwaniom. Zawiodła Maksa. Zawiodła ich dziecko. Zawiodła samą siebie. Uciekła, kiedy zaczęto plotkować na temat jej pochodzenia; poprzedniego dnia nie umiała wysłuchać Maksa, a dziś zostawiła go samego, bo czuła się zbyt zraniona i przestraszona, by walczyć.

Zawsze zwyciężał w niej strach. Strach i słabość. Nigdy nie była silna.

Przypomniała sobie słowa ojca: „Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje”. Zwinęła się na boku, podciągając wysoko kolana i obejmując je ramionami.

Wcale nie, tato, pomyślała, ale bardzo bym chciała.

„To tylko kwestia czasu, kiedy się mną znudzisz”. Jakież to wzdurliwe, niesprawiedliwe i nieprawdziwe. Przede wszystkim nieprawdziwe. A jednak Max w to wierzył, bo wypowiedział te okrutne słowa z miażdżącą pewnością siebie. To właśnie zraniło ją najmocniej. Miała nadzieję, że ma o niej lepsze zdanie. Pod jego wyniosłym zachowaniem i tą lodowatą pogardą musiał się kryć głęboki uraz, pomyślała. Wyczuwała to instynktownie i nie widziała innego wytłumaczenia jego okrutnego zachowania.

Otworzyła oczy i wpatrzyła się w ciemność. Widziała już, jak Max dystansował się od swoich problemów, żeby uniknąć zranienia. Wiedziała, ale pod wpływem brutalności jego oskarżeń zupełnie o tym zapomniała. Myślała tylko o sobie, o swojej własnej słabości.

Czy zerwał z nią z obawy, że zostawi go, kiedy się dowie o jego chorobie? Czy naprawdę uważał ją za aż tak płytką? A może po prostu bał się tak samo jak ona?

Musi odkryć prawdę, dowiedzieć się, dlaczego Max tak się zachował. Musi się z nim spotkać, choć bardzo się tego bała. Skoro jednak nie chciała nawet brać pod uwagę życia bez Maksa, nie miała wyboru.

– Spróbuję, tato – szepnęła i wyslizgnęła się z łóżka, by odszukać Maksa Monroe.

Dom przy plaży był cichy i wysrebrzony światłem księżycy, a każdy pokój, do którego zajrzała, pusty. Nie wiedziała nawet, czy Max wrócił. Może wciąż był na przyjęciu?

Nie ustawała w poszukiwaniach, chociaż nie miała pojęcia, co miałyby mu powiedzieć, kiedy go już znajdzie. W końcu trafiła na niego na plaży. Od początku powinna była wiedzieć, że będzie właśnie tam. Zeszła ścieżką między wydrami i zobaczyła go. Siedział na piasku, opierając łokcie na podciągniętych kolanach. Powierzchnia zatoki pod rozgwieżdżonym niebem lśniła i migotała tysiącem odbitych gwiazd.

Próbowała sobie wyobrazić, jak musi się czuć Max; ile z otaczającego piękna mógł jeszcze zobaczyć. Serce jej się ścisnęło, ale nie ze współczucia, tylko z podziwu. Jej ukochany był bardzo dzielnym człowiekiem.

Podeszła do niego i usiadła obok. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

– Przyszłam, bo myślę, że tak naprawdę nie wierzysz w te wszystkie rzeczy, które mi powiedziałeś – odezwała się pierwsza.

Max nie odpowiedział. Milczenie trwało już zbyt długo i Zoe mocno zacisnęła dłonie w pięści. W końcu jednak przemówił.

– Jakie rzeczy? – zapytał niskim, zbolalym głosem.

– Te o płytkiej lalce, która szybko się znudzi – przypomniała mu. – Pamiętasz?

– Pamiętam.

Odetchnęła głęboko. Rozmowa okazała się trudniejsza, niż sądziła. Niczego jej nie ułatwiał. W blasku księżyca jego twarz sprawiała wrażenie zamkniętej i nieustępliwej.

– Ale to nie tak, wiesz? – powiedziała miękko. – Nie znudziłabym się, gdybyś tylko dał mi szansę.

Nie odezwał się, a ona popatrzyła na piasek, próbując powstrzymać łzy.

– Bardzo mnie zraniłeś, mówiąc te okrutne rzeczy. Zawsze myślałam o sobie źle, ale nie mogę znieść, że tak samo źle ocenia mnie ktoś, kogo kocham.

Westchnął ze znużeniem.

– Daj spokój, Zoe...

– Nie mogę – odparła po prostu. – Chcę się zmienić, być silna i nie odejść, nie próbując... Nie odejść, dopóki ci wszystkiego nie opowiem.

Potrząsnął głową.

– To tylko wszystko utrudni.

– Dlaczego?

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Przesuwała palcami po ciepłej skórze, myśląc o tym, jak bardzo łaknęła jego dotyku.

– Dlaczego to miałyby być trudne? Kocham cię, Max. Takiego, jaki jesteś teraz, kiedy przestałeś ukrywać się za maską niedostępności.

Znowu potrząsnął głową.

– Daj spokój...

– W takich chwilach – mówiła dalej, ale jej głos przeszedł teraz w szept – wierzę, że ty też mnie kochasz. – Umilkła, nie przestając muskać jego ramienia, ale nie odpowiedział, więc zacisnęła palce.

– Powiedz, czy się mylę?

Tylko potrząsnął głową, bo nie był się w stanie odezwać.

– Powiedz to – poprosiła jeszcze raz. – Powiedz, że mnie nie kochasz i że naprawdę wierzysz w te wszystkie rzeczy, które powiedziałeś wcześniej. Że jestem płytka i... – Głos jej się załamał.

To było dużo bardziej ryzykowne niż spotkanie z biologicznym ojcem. Tu mogła stracić wszystko: serce, życie, miłość. Czekwała nieporuszona, nie odrywając od niego wzroku.

Max zakrył twarz dłońmi, przyciskając palce do skroni.

– Nie mogę – powiedział tak cicho, że Zoe ledwo go usłyszała.

Westchnęła z ulgą, ale Max opuścił dłonie i spojrzał na nią z przejmującym smutkiem.

– Nie mogę, Zoe. Ale bardzo tego pragnę...

Ledwo wypowiedział te słowa, złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Zaczął całować gwałtownie, jak gdyby nie mógł się nią nasycić, a ona oddawała mu pocałunki, równie ich głodna i nienasycona jak on.

– Powinienem był pozwolić ci odejść – mruknął między pocałunkami.

Mocno obejmowała jego twarz dłońmi.

– Dlaczego? – zapytała urywając. – Dlaczego?

Max zaczerpnął tchu i zamilkł na chwilę. Zoe gorzko żałowała, że zadała pytanie.

– Bo nie możemy się ze sobą wiązać.

Musnęła swoje wargi, nabrzmiące od pocałunków, smakujące nim. Serce jej wciąż łomotało, a całe ciało płonęło.

– Na to już trochę za późno.

– Nie mogę dać ci życia, jakiego chcesz. Nie mógłbym być mężem, jakiego potrzebujesz.

– Nie masz pojęcia, czego chcę i potrzebuję. Nie powinieneś więc za mnie decydować.

Westchnął ze znużeniem i złość wyparowała z niej natychmiast, ustępując miejsca rozpacz.

– Wiesz, czego najbardziej nienawidzę w tej chorobie? – zapytał, a Zoe pokręciła głową, nawet nie usiłując zgadywać.

– Poczucia bezsilności. – Nabrał w dłoń piasku i przesypywał go między palcami. – Już kiedyś tak się czułem i nie sądziłem, że znów mnie to spotka. To... – Wciągnął powietrze i wypuścił je ze świstem. – To mnie przeraża – dokończył tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

– Kiedy...? – spytała drżąc i równie cicho.

– Kiedy mój samolot został zestrzelony w walce. – Roześmiał się niewesoło. – Dziewiętnaście lat temu, minęło pół mojego życia, a wciąż nie mogę sobie z tym poradzić. Zostaliśmy pojmani. Było nas pięcioro, czterech mężczyzn i kobieta. Jack, nasz pilot, był ciężko ranny. Umarł w drodze do miejsca, gdzie mieliśmy być przetrzymywani. Inni też byli ranni, ja najłżej. Ja najlepiej nadawałem się do przesłuchiwania.

Zdrętwiała.

– Myślałem, że jestem na to gotowy. – Zamilkł, potem dokończył z głową wciąż odwróconą w drugą stronę. – Nie sądziłem, że się załamie.

– Och, Max, och... – Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

– Zawiazali mi oczy – mówił beznamiętnie. – I już tak zostało. Nie mogłem... – Przerwał i przytknął oczy, a czoło pokrył pot. – Nie mogłem tego znieść. Doprowadzili mnie do szaleństwa. Przestałem wiedzieć, kim jestem, nie pamiętałem, jak wyglądam...

Zoe przełknęła kulę w gardle i delikatnie dotknęła jego ramienia. Tym razem nie strząsnął jej ręki. Prawdopodobnie w ogóle nie był świadomy jej dotyku.

– Początkowo nie odpowiadałem na pytania. Trzymałem się i byłem z tego dumny. – W jego tonie brzmiała głęboka pogarda dla samego siebie. – W końcu zaczęli torturować innych. Nie wiem dokładnie, jak... Tylko słyszałem...

Zoe pamiętała, jak powiedział, że Diane nie zginęła, kiedy zostali zestrzeleni. „Ale czasem żałuję, że tak się nie stało”, dodał wtedy. Dopiero teraz zaczynała rozumieć.

– Powiedziałem im wszystko – mówił zupełnie beznamiętnie. – Nie pamiętam nawet połowy tego, co im powiedziałem. Bełkotałem jak głupi, żeby dać im wszystkie potrzebne informacje. Zdradziłem wtedy własną matkę. – Przerwał, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w straszną przeszłość. – Zaprzedałem duszę – dokończył cicho.

– Nie ty jeden – powiedziała ze spokojem. – Mnóstwo osób reagowało podobnie i nikt ich za to nie wini. Byłeś torturowany...

– Nie. – Podniósł dłoń przed jej twarzą, zasłaniając jej widok i oboje umilkli na chwilę.

– Nie próbuj mnie usprawiedliwiać. Wierz mi, już wielu tego próbowało. Lekarze, pielęgniarki, koledzy i przyjaciele. Nawet członkowie mojej załogi. Wiesz, wszyscy przeżyliśmy, oprócz Jacka. Powiedzieli mi, że rozumieją. Że na moim miejscu zachowaliby się tak samo. Jakby to mogło coś zmienić. To dlatego odszedłem z wojska. Honorowe zwolnienie z powodu odniesionych ran, ale to nie miało nic wspólnego z honorem. Nie mógłbym nosić głowy wysoko. Nie mógłbym spojrzeć w lustro.

Pomyślała, że Max był dla siebie surowszy niż ktokolwiek inny, a słuszność tej myśli potwierdziły jego następne słowa.

– Mój ojciec widział moje tchórzostwo. Nie rozmawialiśmy, odkąd odszedłem z wojska. On walczył w Wietnamie. Też został jeńcem wojennym. Ale on nie... – Zamilkł i tylko potrząsnął głową.

Nie odezwała się, dotykała go tylko, okazując w ten sposób milczące pocieszenie.

– Widzisz więc, że nie możemy być razem.

Dłoń Zoe znieruchomiała na jego ramieniu. Czuła się, jakby wylano na nią kubel zimnej wody.

– Nie zgadzam się – odparła po prostu. – Próbujesz się mnie pozbyć, żeby chronić siebie. Boisz się, że mogłabym cię zranić.

– Próbujesz mnie poddać psychoanalizie?

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie. Mówię z własnego doświadczenia. Ja też się tego bałam... wciąż się boję.

Upłynęła dość długa chwila, zanim znów się odezwał, a kiedy to zrobił, w jego głosie nie było już rozpacz, tylko znużona stanowczość, bardziej niepokojąca niż cokolwiek wcześniej.

– Ten miesiąc, który spędziłem jako zakładnik z przepaską na oczach, był najgorszy w moim życiu. Myślałem, że kiedy wyjdę z wojska, zostawię te przeżycia za sobą. Poświęciłem czas i wszystkie siły na budowanie firmy. Zacząłem znowu latać. Ten wypadek był dla mnie szokiem. Bolesne

obrażenia to było nic w porównaniu z horrorem powrotu wszystkich złych wspomnień. A potem diagnoza; to było tak, jakbym to wszystko przeżywał jeszcze raz. Katastrofa, a potem ciemność. Myśl o kompletnej ciemności, o tak potwornej bezradności po prostu mnie przeraża. Nigdy nie chciałem być od nikogo zależny i nigdy nie pozwolę, by ktoś cierpiał z mojego powodu.

Znowu zapatrzył się na morze, pozostawiając Zoe w stanie furii przemieszanej z rozpaczą i pragnieniem przytulenia Maksa i całowania go tak długo, aż zapomni o wszystkich powodach, dla których odmawiał jej siebie.

– Rozumiem – powiedziała powoli. – Chcesz ochronić mnie przed swoją bezsilnością i dlatego nie widzisz dla siebie miejsca w życiu moim i naszego dziecka?

Przekrzywił głowę i patrzył na nią kącikami oczu, gdzie jeszcze widział stosunkowo najlepiej. Nie odezwał się.

– To po to mnie tu przywiozłeś? Żeby mi to oznajmić?

– Miałem nadzieję...

– Och? – Przerwała mu bezceremonialnie; złość brała górę nad rozpaczą.

– A jak to się stało, że zmieniłeś zdanie? Co na to wpłynęło?

– Wszystko – odparł zwyczajnie. – Wszystko jest bardzo trudne. –

Uśmiechnął się niewesoło. – Chcesz porozmawiać o torturach?

- Niekoniecznie...
- Na przykład nasza wycieczka do miasteczka. Każda chwila była piekłem.
- Przykro mi, że moje towarzystwo przysporzyło ci aż tylu cierpień – powiedziała szorstkim głosem.
- Nie o to chodzi – odparł niecierpliwie.
- Wiem. W gruncie rzeczy jednak o to samo. Bo twoja przeklęta skłonność do uzalania się nad sobą nie pozwala ci choćby spróbować być szczęśliwym. Nie tylko sobie nie pozwalasz na szczęście, ale nam wszystkim.
- Nie byłbym dla ciebie odpowiednim mężem – jęknął udręczonym tonem. – Któregoś dnia coś mi się przydarzy i zawiodę cię. Ciebie i nasze dziecko. Nie mógłbym z tym żyć.
- A czy ja jestem więźniem wrogiej armii? Jestem zniewolona? Zakneblowana? To nie jest wojna, Max. Jesteś niewidomy, ale nie bezradny.
- Są rzeczy... zawsze będą... których nie mogę zrobić.
- I są takie rzeczy, których ja nie mogę zrobić. Już ci mówiłam, że nie umiem gotować.
- Nie trywializuj! Może ci się wydaje, że ja to zniosę, może czujesz się jakąś przeklętą Florence Nightingale^[2], ale tak nie będzie. Nie jesteś przygotowana do bycia z kompletnym samotnikiem.
- Samotnikiem? A czy człowiek niewidomy nie może wieść aktywnego życia? Może zamierzasz zbierać stare gazety i hodować koty?

– Przestań! – krzyknął.

– Nie, to ty przestań! – odpowiedziała z mocą. – Przestań się w końcu nad sobą użalać. Dobrze znam te objawy, bo sama przez to przeszłam. Kiedy tablety wyciągnęły moją historię, delektowałam się rozczulaniem się nad sobą. Wtedy nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. Biedna Zoe, która nigdy nie знаła swojej matki. Biedna Zoe, przybłęda. Przypuszczam, że przez całe lata usprawiedliwiałam w ten sposób moje koszarne zachowanie. Dryfowałam przez życie, nie zaprzatając sobie głowy żadną głębszą myślą.

Max otworzył usta, ale Zoe nie dopuściła go do głosu. Teraz już musiała powiedzieć wszystko do końca, a on musiał jej wysłuchać.

– A potem, kiedy się dowiedziałam o ciąży, już prawie sobie pozwoliłam na wejście po raz kolejny w rolę ofiary. I nagle uświadomiłam sobie, że to dziecko to najlepsze, co przydarzyło mi się w życiu. Nie dlatego, że teraz jest taka moda, tylko dlatego, że wreszcie zobaczyłam przed sobą cel. Chcę kochać i kształtować tę małą istotkę, prowadzić ją przez życie krok po kroku i dać jej siłę wynikającą z miłości. Chcę, żeby zobaczyła moje błędy, ale też, żeby ich nie powieliła. Chcę być matką. A matki nie mogą pozwolić na użalanie się nad sobą. Ojcowie również – dodała twardszym tonem.

– Ja wcale nie... – zaczął Max i nagle przerwał. – Rozumiem, że patrzysz na to w ten sposób, ale dla mnie to sprawa honoru. Zawiodłem kilka osób, a przede wszystkim Diane.

– Bardzo mi przykro – powiedziała i rzeczywiście tak czuła. – Ale nie mogę pozwolić, by zdarzenie z przeszłości, jakkolwiek było dla ciebie znaczące, zdefiniowało całe twoje życie. Nie możesz rujnować swojej... naszej przyszłości.

– Nie ma naszej przyszłości – odpowiedział. – Nie możemy być razem.

Patrzyła na niego i chciało jej się wyć i tupać nogami. Wyrywać sobie włosy i płakać rozpaczliwie. Nie doświadczyła takich uczuć, odkąd skończyła trzy lata. Nie można było dogadać się z Maksem. Nie kłócił się, ale i nic nie rozumiał. W głębi duszy czuła, że on nie zmieni zdania i była o krok od załamania. Nie była w stanie na niego wpłynąć. Mogła tylko próbować zmienić siebie.

Bardzo powoli wstała z chłodnego piasku. Stanęła za nim i beznamiętnie obserwowała kanciasty kształt jego ciała.

– Powiedz mi tylko jedno – poprosiła. – Czy ty mnie kochasz?

Nie odpowiedział, a ona uświadomiła sobie, że tego właśnie oczekiwała. Odwróciła się i ruszyła w stronę domu, z dala od Maksa. Zanim doszła do ścieżki pomiędzy wydrami, dobiegła ją jego stłumiona odpowiedź:

– Tak.

Max został na plaży, dopóki nieba na wschodzie nie rozjaśniły pierwsze promienie słońca. Dla niego oznaczało to, że czerń zaczęła zmieniać się w szarość.

Czuł się pusty, kompletnie wyprany z uczuć, chociaż tak naprawdę bronił się przed dopuszczeniem do głosu kłębiących się w jego wnętrzu emocji. Smutek, ból, poczucie straty, żal, strach, poczucie winy.

Zoe miała rację. Użalał się nad sobą, a przecież miał być silny. Dlatego właśnie nie chciał wspólnego życia. Nie chciał, żeby się za niego wstydziła. Nie chciał jej stracić z powodu swojej słabości. Tu nie chodziło o honor, tylko o zwykły strach.

Zoe wyjechała, nie widząc się więcej z Maksem. Najpierw wyciągnęła się na łóżku i obserwowała gasnące gwiazdy na jaśniejącym niebie. Może trochę przysnęła, a kiedy w końcu nadszedł dzień, z ciężkim sercem zadzwoniła po taksówkę i zarezerwowała bilet autobusowy do Nowego Jorku. Taksówka dowiozła ją do East Hampton, potem wsiadła w autobus wypełniony opalonymi weekendowiczami. Na Grand Central znów wzięła taksówkę i wkrótce, z uczuciem graniczącym z ulgą, znalazła się w chłodnym i cichym apartamencie Balfourów.

– Wróciłaś – powitała ją Lila, siwowłosa, ciemnooka, mówiąca z egzotycznym akcentem.

Zoe nie miała pojęcia, skąd gospodyni pochodzi i teraz uświadomiła sobie ze wstydem, że nigdy jej o to nie zapytała.

– Gdzie byłaś?

– Spędziłam weekend w Hampton.

Lila skinęła głową dosyć sztywno i Zoe mogła się tylko domyślać, co sobie pomyślała. Bogata dziewczyna, znudzona Nowym Jorkiem, jedzie poszaleć za miasto. Uśmiechnęła się smutno.

– Chciałabym się wykąpać i przespać.

Lila znów kiwnęła głową i zawróciła do kuchni.

– Lila – zapytała nagle Zoe. – Dokąd chodzisz tak często? Mój ojciec wspomniał, że masz tu krewnych?

Zaskoczona Lila odwróciła się wolno, unosząc pytająco brwi.

– Moja siostra ma nowotwór. Odwiedzam ją w szpitalu dwa razy w tygodniu. Jeżeli to za dużo...

– Ależ nie – powiedziała Zoe pospiesznie. – Tak tylko spytałam. Przykro mi z powodu twojej siostry. – Zamilkła, widząc zmarszczki i cienie pod oczami Lili. – To musi być dla ciebie trudne.

Coś zaśniło w oczach starszej kobiety.

– Tak – odpowiedziała spokojnie. – Bardzo.

Każdy ma swoją opowieść, pomyślała Zoe, kierując się w stronę sypialni. Niekoniecznie wesołą.

– Zanim zapomnę – zawołała za nią Lila. – Był tu jakiś mężczyzna.

Zostawił list. Leży na stoliku w holu.

– Dziękuję – odkrzyknęła.

Z bijącym mocno sercem pośpieszyła do małego stolika, gdzie zwykle zostawiano pocztę. Czyżby wrócił, wyprzedzając ją w drodze? Rozerwała kremową kopertę i przebiegła wzrokiem pismo, jednocześnie rozczarowana i zaskoczona: „Chciałbym się z tobą spotkać. Proszę o szybki kontakt. T. Anderson”.

Chciał się z nią spotkać? Dlaczego? Czy było mu przykro, że potraktował ją tak niemilo i chciał przeprosić? – zastanowiła się.

To było dużo mniej ważne niż Max, niemniej wiadomość przyniosła Zoe nikłą pociechę i trochę nadziei. Być może chociaż tę sprawę uda się jakoś poukładać.

Kiedy zadzwoniła do biura Thomasa Andersona, przełączono ją bezpośrednio do jego sekretarki. Pamiętała sztywną, perfekcyjnie umalowaną, siwowłosą kobietę aż za dobrze.

– Pan Anderson spotka się z panią jutro o czwartej po południu w uczelnianym klubie na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Piątej ulicy. Zna pani to miejsce?

– Nie – odparła Zoe. – Ale na pewno je znajdzie.

Sekretarka odłożyła słuchawkę.

Dzień był przepiękny, miasto skąpane w słońcu. Zoe wędrowała Piątą ulicą w stronę miejsca spotkania. Drzewa okalające Central Park rzucały przyjemny cień. Mijała grupy turystów i szkicujących z natury artystów oraz mima naśladowującego Statuę Wolności. Chłonęła te widoki, uświadamiając sobie, że pokochała Nowy Jork, jego wibrującą energię i różnorodny, barwny tłum. Mogła tylko żałować, że nie ma żadnego powodu, by zostać tu na dłużej.

Klub, którego szukała, był okazałym budynkiem ze zdobioną we włoskim stylu fasadą. Wewnątrz było mroczno, a pomieszczenia wykładane boazerią z mnóstwem półek z książkami sprawiały dość przytłaczające wrażenie.

Andersona znalazła w bibliotece. Zagłębiony w wygodnym fotelu, w okularach na nosie, przeglądał jakieś dokumenty.

– Dzień dobry – powiedziała, ale jej głos został niemal zupełnie stłumiony przez turecki dywan i niekończące się rzędy książek.

– Pozwoliłem sobie zamówić ci herbatę.

– Dziękuję.

Usiadła w fotelu naprzeciwko, a on odłożył swoje dokumenty.

– Chciałem cię przeprosić za sposób, w jaki cię potraktowałem, kiedy przyszłaś do mojego biura – powiedział dosyć oficjalnym tonem. – Zaskoczyłaś mnie. Kiedy recepcjonistka przekazała mi twoje nazwisko,

miałem nadzieję, że przywiódł cię do mnie zwykły zbieg okoliczności. Nie słyszałem tamtych doniesień.

– Nie? – Zoe zacisnęła palce na pasku torebki, której nie wypuszczała z rąk, i wpatrywała się w czerwono-żółty wzór na dywanie.

– Nie – potwierdził ciężko. – Ale potem przejrzałem niektóre artykuły i jest mi bardzo przykro z powodu tego, przez co musiałaś przejść.

Milcząco wzruszyła ramionami. Tamte upokorzenia nie miały już żadnego znaczenia.

Anderson odkaszlnął.

– Odniosłem wrażenie, że twoja rodzina w Anglii bardzo cię wspiera. Zwłaszcza ojciec.

Zerknęła na niego, zaskoczona uwagą, ale właśnie podano im herbatę.

– Należysz? – zapytał Anderson i Zoe już sięgała po dzbanek, ale nie podniosła go, tylko wyprostowała się w fotelu.

– Dlaczego właściwie poprosiłeś mnie o spotkanie?

– Chciałem wyjaśnić...

– Co wyjaśnić? – naciskała.

Czuła się dziwnie spokojna i kiedy Thomas Anderson znów się odezwał, nie była nawet zdziwiona.

– Bardzo żałuję... tego, co się stało. Ta sytuacja jest... trudna – tłumaczył niezbornie, a Zoe miała nieprzyjemne wrażenie, że nauczył się tego na pamięć.

– Trudna? – powtórzyła.

– Mam żonę – wyjaśnił przeproszającym tonem. – I dzieci.

– Wiem, widziałam zdjęcie. Trójkę, ze mną czwórkę.

Jego rysy nagle stwardniały i bez słowa podał jej dokument, który przeglądał, kiedy weszła.

– Chciałbym, żebyś to podpisała.

Zoe przebiegła papier wzrokiem. Było to swojego rodzaju zobowiązanie, że nigdy nie przyzna się do ich pokrewieństwa. W zamian miała dostać dwa miliony dolarów.

– Myślisz, że potrzebuję pieniędzy?

– Nie wiem – odparł. – Ale skoro nie należysz do rodziny Balfourów...

– Nie dostanę żadnych pieniędzy – dokończyła za niego. – I słusznie.

Oddała mu dokument, a on wziął go od niej niechętnie.

– Obawiam się, że nie przyjmę twojej propozycji, chociaż może tobie wydaje się bardzo kusząca. Ale dziękuję ci za udowodnienie, że więzy krwi naprawdę nie mają żadnego znaczenia.

– Zoe. – Dopiero pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu.

– Nie musisz się obawiać. Nie potrzebuję podpisywać zobowiązania, żeby nikomu o tobie nie wspomnieć. Nie pozwolę, żeby ktoś się dowiedział, że jestem spokrewniona z takim samolubnym facetem bez serca.

Anderson zarumienił się lekko.

– To trochę nie w porządku.

– Tylko trochę? Nie będę tego komentować. A kochałeś chociaż moją matkę?

– Spotykaliśmy się przez jedno lato. Oboje byliśmy nieszczęśliwi.

– Rozumiem.

Zoe wstała i choć czuła się słabo, głos miała mocny.

– Co do jednego miałeś rację. Rzeczywiście mam wspaniałą rodzinę. Zwłaszcza ojca. Tego prawdziwego. – Wskazała imponujące herbaciane nakrycie. – Teraz możesz nalać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego dnia wróciła do Anglii. Tam był jej dom i zawsze będzie. Stała twarzą w twarz ze swoimi demonami, a teraz wróciła tu, gdzie zawsze będzie kochana i akceptowana. Do miejsca, gdzie będzie mogła dorosnąć i stać się wartościowym człowiekiem.

Przed odlotem wstąpiła do Centrum Samotnej Matki, by się pożegnać i podziękować Tiffany i wolontariuszom.

Tiffany uścisnęła ją mocno.

– Mam wrażenie, że rozwiązałaś swoje problemy.

– Z ojcem nic nie wyszło.

– Możesz wpływać tylko na samą siebie.

– Święte słowa.

– W każdym razie – powiedziała Tiffany – widzę, że jesteś silna. Silniejsza, niż kiedy się poznałyśmy.

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem.

Na lotnisku wynajęła samochód, nie chcąc wzywać kierowcy Balfourów. Nie chciała się przedwcześnie zdradzać ze swoim powrotem. Właściwie nie wiedziała, dlaczego wolała pojawić się niespodzianie; może była ciekawa, jak zareagują na jej widok domownicy.

Wjechała przez bramę z kutego żelaza, nad którą pyszniło się wykute motto: *Validus, Superbus quod Fidelis*^[3]. Przed nią rozciągały się zielone trawniki i imponująca fasada rezydencji, okrężny podjazd i renesansowa fontanna. Podjechała pod frontowe wejście i wyłączyła silnik. Żwir zaskrzypiał pod jej stopami, kiedy wysiadała z samochodu i, ku jej zaskoczeniu, podwójne drzwi otworzyły się niemal od razu. Stała w nich Tilly, poprzednia żona jej ojca, bardzo bliska sercu Zoe.

– Zoe! – Uścisnęły się mocno. – Tak się cieszę, że cię widzę.

– Ja też. Gdzie jest tata?

Jeżeli Tilly zauważyła zmianę stosunku Zoe do ojca, nie dała tego po sobie poznać. Wskazała głową w stronę domu.

– U siebie w gabinecie.

Zoe uwolniła się z jej uścisku i wbiegła po kamiennych stopniach. W środku było chodno, ciemno, a z uchylonych drzwi gabinetu doleciał ją zapach tytoniu. Uśmiechnięta, zapukała lekko.

– Tilly? – W głosie brzmiała odrobina zniecierpliwienia i Zoe domyśliła się, że czytał.

Pchnęła drzwi, aż otworzyły się szerzej.

– Witaj, tato.

Kiedy stanęła w drzwiach, Oscar podniósł głowę. Początkowo nic nie widział i zamrugał szybko. Potem wstał z fotela i odłożył książkę, którą wcześniej był tak zaabsorbowany.

– Zoe. Zoe! Ogromnie się cieszę, że cię widzę, moje dziecko. – Zamknął ją w uścisku, i Zoe przyłgnęła do niego, kładąc mu głowę na ramieniu.

– Dobrze cię widzieć, tato.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? – wymruczał w jej włosy, a Zoe odpowiedziała uśmiechem.

– Tak myślę – odpowiedziała w jego ramię.

On też się uśmiechnął, ale popatrzył na nią z troską.

– Taka jesteś blada. Wyglądasz na zmęczoną.

– To był długi lot. – Nie była jeszcze gotowa, by mówić o ciąży, chociaż Tilly na pewno wkrótce wszystko odgadnie.

– Dobrze się czujesz? – dopytywał, więc pokiwała głową.

Miała złamane serce... ale poradzi sobie. Przecież była silna.

– To dobrze.

– Chciałam cię przeprosić – powiedziała, a Oscar uniósł brwi. – Za wszystko.

– Kochanie, nie musisz mnie za nic przeproszać.

– Muszę. Czułam się taka zraniona, kiedy się dowiedziałam, że nie należę do rodziny Balfourów. Bardzo się bałam.

– Czego, kochanie? – spytał miękko.

– Ludzkiej pogardy. Upokorzeń. Odmiennego traktowania.

– Chyba nie przez nas?

– Przez wszystkich. Uważałam, że całą moją wartość stanowi nazwisko.

Kiedy je straciłam, musiałam spojrzeć na siebie inaczej.

Oscar uśmiechnął się słabo.

– To nie bywa łatwe.

– Owszem. Ale udało mi się. I jestem teraz silniejsza.

– Zawsze byłaś silna...

– Silniejsza, niż mi się wydawało. Prawdopodobnie miałeś rację. –
Uśmiechała się, ale oczy jej zwilgotniały. – Dziękuję ci, tato – powiedziała
miętko, a Oscar czule dotknął jej policzka.

– Nawet nie wiesz, jak wielką sprawiłaś mi radość. Jesteś moją córką
i kocham cię całym sercem.

– I ja cię kocham, tato – odpowiedziała radośnie.

Dom wydawał się dziwnie pusty. Beth i Oliwii nie było, ale tym się nie
przejmowała. Cisza i samotność przestały ją przerażać. Nie bała się już
zostać sama ze sobą, ze swoimi myślami. Nawet jeżeli w sposób
nieunikniony zaczynała wtedy myśleć o Maksie, wyobrażając sobie, co robi,
jak się czuje i zastanawiając się, czy za nią tęskni.

W kilka dni po swoim powrocie postanowiła zacząć działać. Nie zamierzała
pozwolić sobie na popadnięcie w marazm, bo już wiedziała, czym to grozi.
Zapisała się na kurs biologii, a potem odnalazła w najbliższym miasteczku
Centrum Samotnej Matki. Uśmiechnęła się do kobiety o zafrasowanym
wyglądzie, bezradnej wobec kapryśnej kserokopiarki.

– Chciałabym zostać wolontariuszką. – Zamaszystym gestem wskazała
oporną maszynę. – Jestem w tym niezła.

Dni zbiegały się w tygodnie i Zoe, zajęta szkołą i wolontariatem, czuła, że
powinna powiedzieć ojcu i innym o ciąży. Wkrótce trudno ją będzie ukryć,

a choć nie miała już nudności, dokuczał jej żołądek i nieprzyjemna tkliwość piersi. Ojciec mógł takich rzeczy nie zauważać, ale Tilly i siostry z pewnością wkrótce odkryją prawdę.

Pomimo nowo zyskanego spokoju ducha, wciąż reagowała nerwowo na myśl o czekającym ją wyznaniu.

W końcu wszystko okazało się zaskakująco łatwe. Któregoś dnia jedli kolację we dwoje i Zoe nie była w stanie przełknąć francuskiej zupy cebulowej.

– Ostatnio jakoś nie masz apetytu – powiedział Oscar z przenikliwym błyskiem w oku.

– Rzeczywiście. – Nerwowo zwiłała serwetkę na kolanach.

W końcu wzięła się na odwagę i spojrzała ojcu prosto w oczy.

– Prawda jest taka, tato, że jestem w ciąży.

Oscar nawet nie mrugnął.

– Poznałaś kogoś w Nowym Jorku? – spytał domyślnie.

Pokiwała głową.

– Tak... ja go kocham, ale... on nie jest jeszcze gotowy.

– Głupiec. – Oscar milczał przez chwilę. – Chcesz sama wychować to dziecko?

Potaknęła, a on przesunął okulary na czoło i uniósł kieliszek.

– W takim razie, zdrowie maleństwa.

– Nie przyjmuję odmowy.

Max zgrzytnął zębami i uśmiechnął się kwaśno. Na upór jego siostry, Allison, nie było rady.

– Wiem, co mówię, Max. Nie widzieliśmy się już stanowczo zbyt długo. Jutro w południe, w Nobu jemy razem lunch. Lepiej przyjdź, bo i tak nie zdołasz się wykręcić.

– Dobrze. – Max był zmęczony stawianiem oporu. – Nobu. W południe.

Kiedy odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, zaskoczony, że już nie może się doczekać. Od odejścia Zoe minęły cztery tygodnie udręki. Jego asystentka dowiedziała się dyskretnie, że wróciła do Anglii. Ta wiadomość sprawiła mu ból. A więc naprawdę odeszła... i to z jego winy. Wydawało mu się, że postępuje słusznie, ale teraz... miał coraz więcej wątpliwości. W końcu zrozumiał, że kierował nim lęk, a honor był tylko wymówką.

– Kiepsko wyglądasz – powiedziała na powitanie Allison, bardzo zadbana czterdziestolatka.

Max miał wrażenie, że nawet swoim zamglonym wzrokiem dostrzega staranne uczesanie i pomalowane paznokcie siostry.

– Bo tak się czuję – odparł, sam zaskoczony swoją uczciwością.

– Max? Wszystko w porządku? – Jakby nagle straciła swoją słynną pewność siebie. – Wiem, że ten wypadek był dla ciebie wstrząsem...

Wziął głęboki oddech. Zoe nauczyła go, że nie można żyć w strachu i że nie można żyć samotnie, poza wszystkimi innymi osobami.

– Stało się coś więcej – odparł i opowiedział jej całą prawdę.

Kiedy skończył, Allison zamówiła drugą butelkę wina.

– Nawet jeżeli ty nie chcesz, ja muszę się napić.

Max uśmiechnął się blado.

– Ja chyba też – przyznał.

Dopiero kiedy wino zostało nalane i upił spory łyk, odważył się na dalsze wyznania.

– Jest jeszcze coś i to znacznie gorszego.

– Gorszego? – wykrzyknęła Allison. – A co może być gorszego?

Uśmiechnął się smutno.

– Poznałem pewną kobietę.

– To brzmi jak dobra wiadomość, nawet bardzo dobra...

– Zerwałem z nią i wyjechała. – Bał się wspomnieć o dziecku, bo wiedział, że potępiłaby go bezwzględnie.

– Dlaczego? – Nie pozwoliła mu odpowiedzieć. – Chyba nie ująłeś się honorem ani nie zasłoniłeś chorobą? Powiedz mi, że tego nie zrobiłeś.

– Coś w tym rodzaju – przyznał, a Allison jęknęła.

Max spróbował się uśmiechnąć.

– Wtedy wydawało mi się to sensowne, ale teraz... – Nie był w stanie mówić przez zaciśnięte gardło.

Nie mógł się uwolnić od wrażenia, że obiema rękami odrzucił szansę na szczęście.

– Gdzie ona jest teraz?

– W Anglii.

Allison milczała przez chwilę, a Max niemal słyszał obracające się w jej mózgu trybiki.

– Myślisz, że cię kocha?

Wzruszenie ścisnęło go za gardło i odpowiedział z trudem.

– Tak mi powiedziała.

– W takim razie, muszę ci zadać tylko jedno pytanie. – Pochyliła się w jego stronę, aż dosięgnął go cytrusowy zapach wody toaletowej i pobrzękiwanie biżuterii. – Co ty tu jeszcze, u diabła, robisz?

To był jeden z tych nieczęstych, pięknych letnich dni. Róże wzdłuż podjazdu kwitły jak szalone, a niebo miało odcień lazuru. Zoe wyniosła koc na frontowy trawnik, żeby cieszyć się słońcem, a zapomniana, dawno nieczytana książka wkrótce spoczęła na jej kolanach. Czułaby się prawie zupełnie szczęśliwa, gdyby nagle nie uświadomiła sobie, że właśnie mija

miesiąc od tamtej trudnej i bezowocnej rozmowy na plaży. Najwyraźniej szczęście było ulotne jak dym.

Popatrzyła na pusty podjazd, ozłocony słonecznym blaskiem. Wciąż jeszcze żywiła nadzieję, że Max ją odnajdzie. Napisze. Zadzwoeni. Odezwie się w jakiś sposób. Wiedziała, że ją kocha, a ona kochała jego i nosiła jego dziecko. Jak mógł być tak strasznie uparty?

Myślała, żeby pojechać do Nowego Jorku, odnaleźć go, zadać więcej pytań. Ale przecież już udzielił jej odpowiedzi.

Zamknęła oczy. To nie duma powstrzymywała ją przed wyprawą do Nowego Jorku, bo dumy już w sobie nie miała. To nie był nawet lęk, bo przecież najgorsze już się wydarzyło. To był brak nadziei.

Jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że wszystko układa się idealnie, tymczasem teraz pogrążyła się w czarnej rozpacz.

Otworzyła oczy i zamrugowała. A potem jeszcze raz. Na końcu podjazdu ktoś stał. Serce Zoe zabiło nadzieją, ale jeszcze tłumaczyła sobie, że to niemożliwe. Max Monroe nie przyleciałby do Anglii, żeby ją odszukać. A nawet gdyby, nie szedłby podjazdem jak żołnierz wracający z wojny. Podjechałby swoją przeklętą limuzyną.

W takim razie, kto to był? Zerwała się na równe nogi, z mocno bijącym sercem. Postać zbliżała się, a w długich, starannie odmierzanych krokach było coś bardzo znajomego. Zoe wyszła mu naprzeciw i stanęła, czekając.

Teraz widziała już, że to Max, i wyczuwała instynktownie, że będzie chciał samodzielnie dokończyć tę podróż.

Miała wrażenie, że upłynęły wieki, zanim to się w końcu stało. Podjazd miał około czterystu metrów, a wydawało się, że Max ma do przebycia Saharę. Wyobrażała sobie, jak nieznane jest tu dla niego wszystko dookoła, a pomimo to wciąż szedł. Kiedy był na tyle blisko, że mogła dostrzec jego twarz, zobaczyła, że się uśmiecha, i krzyknęła z radości.

Podszedł i zatrzymał się przed nią.

– Czuję róże – powiedział.

– Kwitną tu wszędzie...

– Nie, to woda różana. Twój zapach.

– Mój szampon.

Uśmiechnął się.

– Tak właśnie myślałem.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, milcząc. Zoe miała ochotę krzyknąć z radości, ale jakoś zdołała się powstrzymać i czekała, aż on się odezwie.

– Przepraszam – powiedział w końcu. – Przepraszam, że musiaś przez to wszystko przejść.

Roześmiała się radośnie. Wybaczenie nie było trudne.

– Przeprosiny przyjęte.

– To nie powinno być aż tak łatwe.

– Już ci mówiłam. To nie musi być trudne.

Milczał przez chwilę.

– Chyba tego się właśnie obawiałem. Że to będzie zbyt trudne... dla mnie.

– Będę przy tobie.

– Nie chcę cię zawieść. Za nic nie chcę cię zawieść.

– Nie zawiedziesz, bo mnie kochasz. Razem będziemy silniejsi.

Znów zamilkł na chwilę.

– Myślałem, że zerwałem z tobą, by chronić ciebie... Sądziłem, że postępuję honorowo, ale miałaś rację. Bałem się... Wciąż się boję.

– Ja też – szepnęła. – To nic złego.

– Niełatwo było się tu dostać – powiedział z uśmiechem. – Wybrałem najtrudniejszą trasę, bo chciałem się sprawdzić. Metro na lotnisko, a potem autobus do miasteczka. Stamtąd szedłem piechotą.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

– Naprawdę dałeś sobie w kość. Mogłeś chociaż wziąć taksówkę na lotnisko.

On też się roześmiał i pochwyił ją w ramiona. Wtulił twarz w jej włosy, a Zoe objęła go mocno, tak jak od dawna o tym marzyła.

– Tak bardzo mi przykro – wyszeptał, z wargami przyciśniętymi do jej brwi. – I tak bardzo cię przepraszam.

Wiedziała, że mówi szczerze. Żałował i tamtych chwil na plaży, kiedy z nią zerwał, i tamtych w swoim biurze. Żałował też tamtego ranka po ich pierwszej wspólnej nocy.

– Wybaczam ci, Max – szepnęła. – Wybaczam i kocham cię.

Ujęła jego twarz w obie dłonie i popatrzyła w szare oczy. Czuła, że Max ją widzi, jeśli nie oczami, to na pewno sercem. Pocałowała go słodko, zawierając w tym pocałunku miłość, nadzieję i szczęście, pragnąc dzielić z nim te uczucia. A kiedy odwzajemnił pieśczętę, wiedziała, że tak właśnie jest.

W końcu oderwali się od siebie, a Zoe z uśmiechem wzięła go za rękę.

– Wejźmy do środka, przedstawię ci mojego tatę.

India Grey

Emily

Tłumaczenie:

Małgorzata Hesko-Kołodzińska

PROLOG

– Zadzwoń, kiedy dorośniesz!

Emily skryła się w cieniu kwitnących drzew, by uciec przed rozbawionym, zmysłowym głosem o cudzoziemskim akcencie. Pragnęła jak najszybciej oddalić się od tego człowieka, więc nie zważała na zaciekawione spojrzenia gości spacerujących po aksamitnych trawnikach wokół Balfour Manor.

Dziewięćdziesiąty dziewiąty bal charytatywny Balfourów trwał w najlepsze. Majestatyczna posiadłość tonęła w powodzi świateł, a Emily myślała tylko o tym, że wszystko przepadło, i to z jej winy.

Od dawna cieszyła się na tę imprezę. Myślała o niej przez niemal cały ostatni rok w szkole baletowej, którą właśnie skończyła.

Wpadła do rozświetlonego holu i wbiegła po schodach, potykając się o rąbek długiej sukni. I pomyśleć, że zaledwie kilka godzin wcześniej czuła się taka dojrzała i elegancka, gotowa na wieczór jak z bajki, z przystojnym księciem, który obdarzy ją miłością.

Zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni i odetchnęła głęboko, a następnie podeszła do okna. Powiodła wzrokiem po rozstawionych na trawniku kryształowych lampach i gustownie udekorowanych stołach, po czym spojrzała dalej, ku linii mrocznych drzew.

Była pewna, że wciąż tam był.

Przycisnęła dłonie do szyby, o władnięta pożądaniem tak raptownym i bolesnym, że wstrzymała oddech. Ciągle czuła na ustach chłodny, czysty smak jego warg. Wiedziała, że nigdy nie zapomni chwili, w której przyciągnął ją do siebie, a potem pocałował.

Była zbyt wstrząśnięta, żeby zaprotestować. Poddawała się jego woli, nie sprzeciwiała się, gdy głaskał ją po karku i plecach. Nagle jednak odsunął głowę i w ciemnościach dostrzegła błysk jego złocistych oczu, w których czaiła się złośliwość. Czar prysł i Emily poczuła, że wynurza się na powierzchnię, z trudem chwytając powietrze. Nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że z taką łatwością zmusił ją do uległości.

Książę Luis Cordoba de Santosa był niezwykle przystojny, ponad wszelką wątpliwość. Nie interesowała go jednak prawdziwa miłość, a pod drogim garniturem i olśniewającym uśmiechem nie krył się książę z bajki, lecz najprawdziwszy wilk.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rok później

Posiadłość Balfour Manor, dostojna i majestatyczna, przypominała topaz na tle szmaragdowego aksamitu. Emily знаła ten dom jak własną kieszeń, ale do głowy by jej nie przyszło, że ujrzy go na gazetowym zdjęciu w brudnej stacji metra w godzinach szczytu.

W pierwszej chwili pomyślała, że to na pewno wytwór zmęczonej wyobraźni. Po dwóch miesiącach w wynajętym paskudnym pokoiku jej tęsknota za domem zaczęła się przejawiać halucynacjami.

Zamarła, a po sekundzie wpadł na nią jakiś człowiek. Zaklął jak szewc, a Emily wybąkała przeprosiny, odwróciła się i ruszyła pod prąd do stoiska z gazetami. Na pewno coś się jej przewidziało, to musiał być pałac Buckingham, a chodziło o nowy skandal w rodzinie królewskiej...

„Czyżby następne nieślubne dziecko w rodzinie Balfourów?”

Przerażona Emily chwyciła gazetę i przejrzała artykuł pod nagłówkiem. W naszpikowanym wykrzyknikami i chytrymi niedomówieniami tekście co zdanie przewijały się imiona bliskich jej osób: Olivii, Belli, Alexandry, Zoe...

Zoe?

– Kupuje pani tę gazetę czy nie? Tu nie biblioteka – usłyszała głos zniecierpliwionego kioskarza.

– Och, tak. Przepraszam.

Pospiesznie sięgnęła do kieszeni swetra po pięciofuntowy napiwek od pijanego biznesmena, który najpierw opowiadał Emily o ukochanej żonie i dzieciach, a potem wepchnął rękę pod jej spódnicę. Udobruchany kioskarz porozumiewawczo mrugnął okiem.

– Tak to jest z tymi sławnymi i bogatymi, nie? Piękne życie, pieniądze, imprezy, ale pytam, czy choć jeden z tych Balfourów jest szczęśliwy? – Pokręcił głową i zarechotał.

Nie, żadne z nas już nie jest szczęśliwe, pomyślała Emily z bólem serca. Szeroko otwartymi oczami czytała artykuł. „Wstrząsające odkrycie”, „romans”, „dziecko spoza małżeństwa”, „hańba”, „skandal”...

Zaledwie rok temu wszystko wyglądało inaczej. Czowała się wtedy dorosła i elegancka, choć przecież taka nie była. Zachowywała się żenująco niedojrzale.

Ponownie wtopiła się w tłum szturmujący metro, a po chwili w głębi tunelu pojawił się cień pociągu. Z rzadką dla siebie asertywnością, Emily przepchnęła się do drzwi i szybko zajęła wolne miejsce. Pierwszy raz w życiu nie rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś bardziej potrzebującego. Gdy pociąg szarpnął i ruszył ze stacji, wzięła głęboki oddech i rozpostarła gazetę.

„Tylko u nas! Wyższe sfery zalewa błękitna krew! Wczoraj wieczorem śmietanka towarzyska tłumnie przybyła na bal charytatywny rodziny Balfourów. Eleganckie wnętrza i przepych imprezy nie zdołały jednak przesłonić rodzinnych problemów. Za kulisami doszło do ostrej wymiany zdań między Olivią Balfour i jej nieustannie gorszącą opinię publiczną bliźniaczką Bellą. Okazało się, że ich siostra Zoe może być dzieckiem

z nieprawego łoża! Z kim zadała się Alexandra Balfour, nieżyjąca już matka młodych dam?”

Emily uniosła głowę na wspomnienie Zoe. Ta piękna, nieokrzesa dziewczyna o zielonych oczach bardzo się różniła od błękitnookich sióstr. Emily musiała mocno zacisnąć palce na gazecie, żeby powstrzymać drżenie rąk.

„Nazwisko Balfour łączy się z klasą i stylem, ale to już drugie nieślubne dziecko w tej rodzinie. Pierwsze musiało opuścić dom wiele miesięcy temu. Wygląda na to, że dynastia przegniła do szpiku kości...”

Emily oskarżyła ojca mniej więcej o to samo, kiedy w Balfour Manor znienacka pojawiła się Mia. Biedna Mia. Przyjechała w poszukiwaniu szczęśliwej rodziny, a zamiast tego znalazła się w samym środku dramatu godnego Czechowa.

Pociąg zatrzymał się na następnej stacji, a Emily powiodła wzrokiem po twarzach wysiadających pasażerów. Nagle poczuła się niezwykle samotna i zatęskniła za domem. Takie stany powracały raz na jakiś czas i zaczęła do nich przywykać. Cała sztuka polegała na tym, aby przeczekać najgorsze.

Pomyśleć tylko, że jeszcze dwa miesiące temu rodzina i taniec były dla niej wszystkim. Teraz nie miała ani jednego, ani drugiego.

Ponownie opuściła wzrok na gazetę w poszukiwaniu informacji o ludziach, których kochała i którzy odwrócili się do niej plecami. W środku natrafiła na

kolorowe fotografie z przyjęcia i zamrugła powiekami, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Kat znakomicie wyglądała w sukni ze szkarłatnego atlasu, jednak promienne uśmiechy na twarzach Belli i Olivii nie do końca maskowały napięcie. „Cisza przed burzą” – głosił podpis pod zdjęciem. Emily uśmiechnęła się mimowolnie, ale po chwili spoważniała na widok ojca u boku znanej angielskiej aktorki, która od lat była przyjaciółką rodziny. Dlaczego Oscar obejmował ją w talii? O czym to świadczyło?

Wzdrygnęła się, zdumiona swoimi podejrzeniami, pospiesznie spojrzała na następne zdjęcie i zamarła. Usiłowała oderwać od niego wzrok, ale nie mogła, więc bezradnie wpatrywała się w złociste oczy mężczyzny na zdjęciu.

„Księżę Luis Cordoba de Santosa przyjeżdża na bal – przeczytała pod fotografią. – Czy świeżo zreformowany playboy z wyższych sfer oprze się urokowi nieokiełzanych i kapryśnych dziewcząt z rodziny Balfourów?”

W tym momencie pociąg zatrząsł się i zatrzymał na stacji. Emily zerwała się na równe nogi, nerwowo mnąc gazetę. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy zostawić ją w wagonie, ale ostatecznie wepchnęła brukowiec pod pachę i wybiegła na peron. Nie mogłaby znieść świadomości, że obca osoba pozna obrzydliwe szczegóły z życia jej rodziny. Gdy zeszła z ruchomych schodów, ostentacyjnie cisnęła gazetę do kosza na śmieci i stanowczym krokiem ruszyła przed siebie.

– Gdzie my jesteśmy, do jasnej cholery?

Przez przyciemnione okno Luis obserwował obskurne przedmieścia Londynu, pełne brzydkich domów, które w niczym nie przypominały eleganckich budynków w drogich dzielnicach.

Jego osobisty sekretarz zerknął do notatek.

– O ile wiem, to miejsce nosi nazwę Larchfield Park, proszę pana – odparł z powagą. – Okolicę zamieszkuje wielu bezrobotnych, występują tu poważne problemy z narkomanią, działalnością gangów, a także dochodzi do wyjątkowo licznych przestępstw z użyciem broni palnej oraz noży.

– Uroczo – burknął Luis i oparł głowę o skórzany zagłówek. – Tomas, jeśli kiedyś zrezygnujesz z pracy dla rodziny królewskiej, w żadnym razie nie zatrudniaj się jako urzędnik w biurze podróży. Gdybym chciał umrzeć, po prostu rozbiłbym swój helikopter na skałach na Santosie.

– Zapewniam pana, że samochód jest w pełni opancerzony – oświadczył Tomas bez cienia uśmiechu. – Nic panu nie grozi. Od śmierci następcy tronu zwiększyliśmy nakłady na ochronę...

– Wiem, wiem – przerwał mu Luis ze znużeniem. – Żartowałem. Mniejsza z tym.

Zamknął oczy, nadal walcząc z potężnym kacem. Naturalnie, mógł za swój stan winić wyłącznie siebie... Pomyślał zasepiony, że od dziesięciu miesięcy zachowywał się nienagannie, więc może sobie wybaczyć tę drobną wpadkę

na balu charytatywnym Balfourów. W końcu w grę nie wchodziły żadne sławne modelki ani mężatki. Właściwie nie wplątał się w romans z żadną kobietą, zatem nie złamał złożonej bratu obietnicy. Po prostu nieco nadużył szampana z piwniczki Oscara Balfoura, i tyle.

Innymi słowy, przez ostatni rok zmienił się nie do poznania. Ponownie wyjrzał przez okno, wspominając błękitne oczy najmłodszej córki Oscara. Może i dobrze, że nie było jej wczoraj wieczorem na balu. Emily Balfour była równie piękna, jak jej starsze siostry, za to zdumiewająco niedoświadczona. Gdyby to wiedział przed rokiem, zachowałby się całkiem inaczej...

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana – rozległ się głos Tomasa.

Luis dopiero teraz zauważył, że samochód wjechał za wysokie ogrodzenie z grubej drucianej siatki i zaparkował przed zapuszczonym, parterowym budynkiem, który niewątpliwie pamiętał lepsze czasy.

Oddział ochroniarzy Luisa zjawił się tu o wiele wcześniej. Uzbrojeni agenci starali się w miarę dyskretnie patrolować okolicę, lecz sama ich obecność przyciągała ciekawskie spojrzenia bandy wyrostków w kapturach. Gang zebrał się po drugiej stronie ogrodzenia, jakby w nadziei, że lada moment nadarzy się okazja do bójki.

Luis westchnął ciężko.

– Przypomnisz mi, po co tutaj przyjechaliśmy? – spytał.

– Czeka nas występ grupy tanecznej...

– Wystarczy – jęknął Luis i uniósł ręce. – Możesz nie kończyć, chyba że chodzi o nastoletnie egzotyczne tancerki.

– Nie, proszę pana – zaprzeczył Tomas, ignorując humory pracodawcy. – Program jest mieszany. Znajdujemy się przed miejscowym centrum kultury dla młodzieży, które prowadzi zajęcia sportowe i taneczne dla grup od czwartego do szesnastego roku życia. Dzisiaj obejrzymy pokaz stepowania, tańca jazzowego, ulicznego i baletu.

– Baletu? – wzdrygnął się Luis. – Jak rozumiem, chodzi o zaprezentowanie mnie w roli szczodrego, dobrotliwego mecenasa kultury?

– Istotnie, proszę pana, nasze biuro prasowe postanowiło publicznie zaprezentować pańską starannie skrywaną wrażliwość.

– W takim razie szturchnij mnie, kiedy trzeba będzie klaskać – poprosił Luis kąśliwie. – I nie zapomnij mnie obudzić, jeśli zacznę chrapać.

Emily skręciła za rogiem i przyspieszyła kroku, żeby się nie spóźnić do centrum kultury. Po chwili dostrzegła sporą grupę zakapturzonych nastolatków przy ogrodzeniu wokół ośrodka. Niepewnie podeszła bliżej i ujrzała dwa czarne drogie samochody z przyciemnionymi szybami.

Dobry Boże, pomyślała z przerażeniem. Co się stało? Czyżby znowu ktoś kogoś zasztyletował? A może doszło do strzelaniny?

Ruszyła biegiem, nie zważając na to, że ciężki warkocz mocno chłoszcze ją po plecach. Nie odrywała wzroku od odrapanego budynku, do którego przez ostatnie dwa miesiące ogromnie się przywiązała. Młodzieżowe Centrum Kultury w Larchfield zapewniło jej odskocznię od osobistych problemów i nadało życiu sens, gdyż mogła pomagać wielu potrzebującym i rozgoryczonym młodym ludziom.

Przy drzwiach stał groźnie wyglądający mężczyzna w czarnym garniturze, ze słuchawką w uchu. Emily zerknęła na niego niepewnie, w obawie, że nie wpuści jej do środka, jednak tylko obrzucił ją uważnym spojrzeniem i przestał zwracać na nią uwagę. Czując, że serce wali jak młotem, pospieszyła obok korytarzem, wdychając charakterystyczną woń nastolatków: zapach potu, żelu do włosów oraz papierosowego smrodu. Gdy otworzyła drzwi szatni dla dziewcząt, momentalnie zaatakował ją jazgot pięćdziesięciu podekscytowanych głosów.

W samym środku tłumu ubranych w stroje z lycry dziewczynek stała Kiki Odiah, pracownica centrum kultury. Tym razem zajęta była lakierowaniem włosów drobnej dziewczynki w srebrnym trykocie i bucikach do stepowania. Emily z ulgą ściągnęła z siebie obszerny kardigan.

– Przepraszam za spóźnienie – oznajmiła na powitanie. – Nie miałam czasu, żeby wpaść do domu i włożyć coś odpowiedniejszego.

– Jesteś tutaj, kochana, i tylko to się liczy. – Kiki popatrzyła na nią z wyraźną ulgą.

– Co się dzieje? – Emily nie udało się ukryć niepokoju. – Przed budynkiem stoją jakieś samochody. Urząd imigracyjny przysłał kontrolę? Chyba nie zabiorą Luambosów, prawda?

Kiki pokręciła głową tak energicznie, że koraliki w jej włosach zagrzechotały.

– W życiu się nie domyślisz! – wykrzyknęła. – Mamy na widowni rodzinę królewską!

– Co? – Emily wstrzymała oddech, a po jej plecach przebiegł dreszcz. Kilkoro mniej znaczących krewnych królowej przyjaźniło się z Oscarem i często odwiedzało Balfour. – Kto taki?

– Jakiś cudzoziemiec, tylko tyle wiem. – Kiki wzruszyła ramionami, a Emily odetchnęła z ulgą. – Dowiedziałam się o wszystkim, kiedy przyjechał samochód z facetami w garniturach, którzy parę godzin temu przetrząsnęli każdy centymetr kwadratowy budynku. Pojawiły się też lokalne władze, żeby ni z tego, ni z owego wykazać zainteresowanie naszą pracą. – Z niesmakiem przewróciła oczami. – I pomyśleć, że pieniędzy wystarczy nam tylko na najbliższe dwa miesiące działalności.

– Może właśnie dlatego tu są – zasugerowała Emily z nadzieją. – Może ktoś postanowił podrzucić nam parę groszy, żebyśmy nie musieli pakować manatków?

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że ci ludzie mówią po hiszpańsku.

– Kiki zmarszczyła brwi. – Dlaczego hiszpańska rodzina królewska miałaby się interesować dofinansowaniem Larchfield?

– A dlaczego takie grube ryby chciałyby oglądać nasz pokaz taneczny? – zamyśliła się Emily. – Dzieci bardzo się napracowały, ale daleko nam do zawodowych zespołów.

– Nie mam pojęcia. – Kiki spojrzała ponad głowami dzieci na śniadego ochroniarza, który właśnie wszedł do pokoju. – Przystojniak z niego. Mam słabość do takich oliwkowych facetów.

– A ja nie – burknęła Emily nieco zbyt ostro, gdyż nagle przypomniał jej się Luis Cordoba. – Szczególnie teraz, kiedy został nam kwadrans na przygotowanie pięćdziesiątki dzieciaków do występu.

– Już dobrze, panno Pruderio – zachichotała Kiki. – Idź szykować swoje łąbądki, a ja przeciwczę z maluchami dygnięcie.

Brakuje tylko madejowego łoża i kolejnego drętwego wykonania „Somewhere Over the Rainbow”, pomyślał Luis, dyskretnie zerknąwszy na zegarek. Westchnął i poprawił się na twardym plastikowym fotelu, o wiele

za małym na jego gabaryty. Nawet bez madejowego łoża cierpiał katusze. Tymczasem Tomas, który zajmował miejsce obok, uśmiechał się dobrodusznie do gromady dziewczynek w srebrnych trykotach. Maluchy stepowały chaotycznie, nie trzymając rytmu, za to z olbrzymim zapalem. Cóż, Tomas sam miał małą córkę i wyglądało na to, że jako ojciec posiadał tajemniczą zdolność dostrzegania uroku w banalnych sprawach. Pomyśleć tylko, że jeszcze niedawno był inteligentnym, trzeźwo myślącym człowiekiem.

Luis przypomniał sobie z irytacją, że nawet jego brat Rico nie był do końca odporny na dziecięcy wdzięk. Odkąd na świat przyszła Luciana, każde jej ziewnięcie i każdy uśmiech były analizowane szczegółowo i z entuzjazmem, którego Luis bynajmniej nie podzielał.

I nic się nie zmieniło, pomyślał z nagłym poczuciem winy. Właściwie nie pamiętał nawet, jak wygląda Luciana ani kiedy ostatnio ją widział. Ile mogła mieć teraz lat? Pięć, sześć? Od śmierci Rica i Christiany minęło dziesięć miesięcy. Luciana była wtedy pięciolatką, a kojarzył ten fakt tylko dlatego, że gazety rozpisywały się o tragedii i nieszczęsnej sierotce.

Występ na scenie dobiegł końca, dziewczynki zaczęły dygać z mniejszą lub większą gracją. Luis odruchowo przyłączył się do owacji i skorzystał ze sposobności, żeby dyskretnie trącić Tomasa łokciem.

– To już koniec? – spytał z nadzieją.

– Niezupełnie, proszę pana, w programie został jeszcze jeden punkt. Czy dobrze się pan czuje?

– Wyśmienicie – burknął Luis, nie kryjąc rozczarowania.

Z miną cierpiętника przyglądał się, jak dziewczynki zbiegają ze sceny, by ustąpić miejsca jeszcze młodszym koleżankom w tiulowych spódniczkach baletnic. Po chwili gruchnęła muzyka – *Taniec małych łabędzi* – a Luis zrobił minę, która w jego mniemaniu wyrażała aprobatę i zainteresowanie. Dziewczynki uniosły ręce i zaczęły uginać kolana, lecz jedna z nich zamarła, najwyraźniej z przerażenia. Zamiast stanąć na palcach i wykonać piruet jak pozostałe dzieci, szeroko otworzyła oczy i w popłochu wodziła nimi po widowni. Sąsiadka mocno trąciła małą łokciem w żebra, żeby w ten sposób zmotywować ją do tańca.

Widzowie wybuchnęli gromkim śmiechem. Ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie Luis zauważył, że oczy dziewczynki lśnią od łez, a jej dolna warga drży. Potem skierował wzrok na bok sceny, gdzie poruszyła się zasłona. Po chwili zza kulis wyłoniła się młoda kobieta, która podbiegła do zrozpaczonej baletnicy i uklękła tuż przy niej. Luis zwrócił uwagę na smukłe, proste plecy opiekunki, a także na jej błyszczący ciemny warkocz. Gdy wstała, z przyjemnością przyjrzał się jej długim, niezwykle zgrabnym nogom w czarnych rajstopach. Młoda kobieta miała na sobie czarną krótką spódniczkę i obcisłą koszulkę z napisem na piersi „Różowy Flaming”.

Dziesięć miesięcy temu, w rodzinnej krypcie, Luis poprzysiął bratu, że powściągnie apetyt na dziewczyny i zbytkowne życie, teraz jednak jego chwilowo uśpione zainteresowanie płcią piękną gwałtownie się przebudziło.

– Czy „Różowy Flaming” to nie jest przypadkiem klub dla panów? – spytał dyskretnie sekretarza.

– Niestety, nie mam pojęcia, proszę pana.

No tak, oczywiście. W przeciwieństwie do wstrzemięźliwego Tomasa Luis doskonale znał najbardziej rozrywkowe miejsca w Londynie. Zaintrygowała go ta dziewczyna, niewątpliwie zarabiająca na życie tańcem erotycznym. Jak to możliwe, że ktoś taki pomagał dzieciom w domu kultury?

Dziewczyna wzięła początkującą baletnicę za rękę, pochyliła się i wyszeptała jej coś do ucha. Mała od razu się odprężyła i zaczęła tańczyć wraz z opiekunką.

Deus, pomyślał Luis. Ta młoda kobieta była po prostu boska. W otoczeniu nieporadnych dzieci przypominała wyniosłego, pełnego gracji łabędzia. Dziewczynka, która przed chwilą omal nie wybuchnęła płaczem, teraz uśmiechała się z narastającą pewnością siebie. Luis pożerał wzrokiem smukłe nogi dorosłej tancerki, jednak na widok jej twarzy wzdrygnął się niespokojnie i pochylił z niedowierzaniem.

To było niemożliwe, ale...

Na scenie tańczyła Emily Balfour.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Emily, jesteś tam?

Głos Kiki odbił się echem od wyłożonych brzydkimi kafelkami ścian damskiej toalety. Emily zacisnęła zęby, żeby powstrzymać ich szczekanie.

– Tak, jestem – potwierdziła po chwili. – Zaraz wyjdę.

– Lepiej się pospiesz, czeka cię królewska audyencja. Książę wybiera się za kulisy i podkreślił, że chce się spotkać właśnie z tobą. Wychodź wreszcie!

Emily otworzyła drzwi i spojrzała na przyjaciółkę dużymi, zmęczonymi oczami.

– Kiki, nie dam rady – jęknęła. – Nie jestem odpowiednio ubrana na oficjalne spotkanie, a poza tym pracuję tu zaledwie od dwóch miesięcy...

– Ejże. – Kiki zmarszczyła brwi, wyraźnie zatroskana. – Zapomnij o ciuchach. Co z tobą, złotko? Wyglądasz jak kupka nieszczęścia.

Pospieszny rzut oka do lustra wystarczył, żeby Emily przekonała się o słuszności słów Kiki. Miała naturalnie jasną karnację, teraz jednak była wręcz upiornie blada, niczym statystka w filmie o wampirach.

– Wszystko w porządku. – Wykrzywiła usta w niewesołym uśmiechu. – Po prostu od dawna nie tańczyłam przed publicznością...

– Nerwy cię zżarły, co? – Kiki pokiwała głową ze współczuciem.

Emily chciała odpowiedzieć, że wcale nie, ale ugryzła się w język. Tak naprawdę nic nie czuła na scenie, co było znacznie gorsze od

zdenerwowania. Podczas tańca poruszała się jak automat, zupełnie jakby ją zaprogramowano. Dlaczego nie doświadczała już żadnych emocji?

– W każdym razie księżę był pod wrażeniem – ciągnęła Kiki. – Chce zobaczyć z bliska ciebie i twoją grupę. Ustawiłam dziewczynki w szeregu i musisz dołączyć do nich na scenie. Są niesamowicie podekscytowane!

– Już idę. – Emily ochlapała twarz zimną wodą, żeby przywrócić jej naturalny kolor. – Właściwie co to za księżę?

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, gdyż Kiki zdążyła wyjść z łazienki. Emily podniosła głowę i znowu popatrzyła w lustro. Jeszcze niespełna rok temu tańczyła partię Śpiącej Królowej w finałowym przedstawieniu Królewskiej Szkoły Baletowej. Tam nikogo by nie zdziwiło, że arystokraci pragną spotkać się z nią po spektaklu. Wtedy jednak była solistką w Covent Garden, a nie nauczycielką, która nieodpłatnie prowadzi zajęcia w podupadającym domu kultury.

W tamtym okresie naprawdę potrafiła tańczyć. Przez kilka krótkich, niezwykłych miesięcy umiała łączyć doskonale umiejętności techniczne z uczuciami, które wyzwolił w niej Luis Cordoba, kiedy pod osłoną drzew pocałował ją w usta.

Odetchnęła głęboko i poprawiła koszulkę, myśląc o tym, że przez ostatni rok wszystko się zmieniło.

Wyszła z łazienki, a w drodze na scenę zdjęła buty. Cudownie, pomyślała, gdy poczuła, że zahacza rajstopami o szorstkie podłogowe deski. Brakowało jej na czynsz za wynajmowany pokój, więc nie mogła sobie pozwolić na żadne nadprogramowe wydatki. Nowe rajstopy były dla niej równie nieosiągalne jak balowa suknia.

Lekko wbiegła po schodach. Z oddali usłyszała męskie głosy na scenie, co oznaczało, że przedstawiciele rodziny królewskiej już czekali. Z pochyloną głową wśliznęła się na scenę i dyskretnie przystanęła za dziećmi. Dopiero wtedy popatrzyła na dostojnego gościa i zamarła.

Wielkie nieba, to był on, bez żadnych wątpliwości. Lada moment miała się spotkać z Luisem Cordobą, księciem Santosy. Małe tancerki dygały przed nim jedna po drugiej, lecz on prawie nie zwracał na nie uwagi. Emily czuła się tak, jakby stała na drodze rozpędzonego pociągu. Modliła się w duchu, żeby Luis jej nie rozpoznał, w końcu widzieli się jeden jedyny raz, w dodatku zaledwie przez parę minut, w bardzo specyficznej sytuacji... Ktoś jego pokroju na pewno spotykał się z tysiącami kobiet – i całował tysiące kobiet...

Emily ledwie słyszała przemówienie przedstawiciela lokalnych władz, który wcześniej wizytował dom kultury w przewidywaniu jego rychłej likwidacji.

– A oto jedna z naszych bezcennych wolontariuszek, które w pocie czoła dbają o rozwój dzieci – oświadczył urzędnik. – Panna Jones jest absolwentką Królewskiej Szkoły Baletowej...

Emily odruchowo pochyliła głowę i dygnęła. Zachowała się zgodnie z etykietą, lecz przede wszystkim zależało jej na uniknięciu wzroku mężczyzny, którego spotkała w ogrodzie w Balfour Manor.

Po chwili z trudem wzięła się w garść i popatrzyła na księcia.

– Doprawdy, panno Jones? – Luis wymownie uniósł brwi.

Emily przypomniała sobie, że uwielbia jego portugalski akcent. Zwróciła uwagę, że położył nacisk na fikcyjne nazwisko, które podała w domu kultury. Anonimowość była dla niej niczym zbroja, gdyż zapewniała jej bezpieczeństwo. Teraz Emily poczuła się tak, jakby stała przed Luisem zupełnie naga.

– Tak... – wyjąkała, spoglądając na jego pociągłą, niezwykle piękną twarz.

– Balet królewski? – Pokiwał głową. – I wołała pani uczyć tutejsze dzieci niż robić karierę? Godny podziwu altruizm. Rodzina musi być z pani bardzo dumna.

Usłyszała w jego głosie wyzywający ton. Nie było wątpliwości, że ją rozpoznał i doskonale wiedział, jak zadać głęboką, choć niewidzialną ranę. Wszyscy na scenie wpatrywali się w Emily, lecz dla niej liczyło się wyłącznie chłodne spojrzenie przystojnego arystokraty.

– Chciałabym w to wierzyć – odparła cicho i momentalnie tego pożałowała.

Równie dobrze mogłaby się od razu przyznać, że bliscy nic nie wiedzą o jej losie.

Luis skinął głową i przez kilka długich sekund patrzył jej głęboko w oczy. Potem jego spojrzenie powędrowało niżej, na napis „Różowy Flaming” na koszulce Emily.

– Dobrze, że nie całkiem zrezygnowała pani z tańca – zauważył. Kąciki jego ust uniosły się w drwiącym uśmiešku. – Gratuluję dobrej roboty, panno...

– Jones – wychrypiała z trudem.

Nie dodał już ani słowa, gdyż urzędnicy samorządowi pośpiesznie wyprowadzili go na zewnątrz, zapewne chcąc się pochwalić całorocznym boiskiem do piłki nożnej, na które wyłożyli wyjątkowo niską dotację.

Psiakrew, bezwiednie wprowadziła go w błąd. Przeklęta koszulka! Emily miała ochotę dogonić Luisa, zatrzymać go i wyjaśnić, że wcale nie tańczy w klubie „Różowy Flaming”, że pracuje tam jako barmanka, ale już zniknął, pozostawiwszy po sobie ledwie wyczuwalny zapach męskiej wody toaletowej.

Wilk powrócił do lasu i była bezpieczna. Dlaczego zatem wcale nie czuła ulgi?

– Każ szoferowi stanąć.

Tomas ze zdumieniem skierował wzrok na księcia, który niecierpliwie stukał palcami w orzechową okładzinę na drzwiach limuzyny.

– Zaczekamy tutaj chwilę, a potem zawrócimy – dodał Luis.

– Zawrócimy? – powtórzył Tomas niespokojnie. – Ale dlaczego? Odniosłem wrażenie, że chciałby pan jak najszybciej stąd wyjechać.

– Nic się nie zmieniło – odparł Luis. – Najpierw jednak zabierzemy pannę Jones.

Tomas zrobił przerażoną minę.

– Ależ proszę pana... – bąknął niepewnie. – Za pozwoleniem, to raczej nie jest najlepszy pomysł. Biuro prasowe, gazety... Celem tego wyjazdu było utrwalenie pańskiego nowego wizerunku.

– Pamiętam o tym. Kiedy ostatni raz poderwałem dziewczynę?

– Opinia publiczna ma długą pamięć, proszę pana. Pańskie zdjęcia w towarzystwie roznegliżowanych kobiet nadal pojawiają się na łamach brukowców. Gdyby dziennikarze dowiedzieli się o tej pannie Jones...

– Chcesz powiedzieć, że mogłaby się ze mną zadać i rozpuścić język? – Luis uśmiechnął się domyślnie.

– W tym sęk, proszę pana – przyznał Tomas. – Niejedna dziewczyna zarobiła krocie na swoich intymnych wyznaniach.

– Tym razem to nie wchodzi w grę. – Luis pokręcił głową.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, ale tego nie da się przewidzieć.

Niektóre kobiety niezupełnie rozumieją pojęcie prywatności.

– Z całym szacunkiem, Tomas, mogę to przewidzieć, gdyż ta konkretna kobieta ma znacznie więcej do ukrycia niż ja. Nie zamierzam jej uwieść, po prostu chcę wiedzieć, co Emily Balfour robi w takim miejscu.

– Emily Balfour? – Tomas szeroko otworzył oczy. – Myślałem, że ta pani nazywa się...

– Jones? Nie. Tak się składa, że mamy do czynienia z najmłodszą córką Oscara. Inna sprawa, że niedawno objawiła się nowa kandydatka do tego zaszczytnego tytułu. – Luis pokiwał głową.

– Powiem ochronie, żeby ktoś wszedł do środka i ją przyprowadził, dobrze? – zaproponował Tomas, rozglądając się podejrzliwie. – Nie warto kręcić się po tej okolicy.

– Samochód jest w pełni opancerzony – przypomniał mu Luis. – Jesteśmy absolutnie bezpieczni, poza tym szczerze wątpię, aby Emily potulnie dała się wywlec ochroniarzowi. O ile pamiętam, w zeszłym roku niełatwo było ją nakłonić do czegoś, na co nie miała ochoty.

– O, właśnie idzie – zauważył Tomas z nieskrywaną ulgą. – Wyjdę po nią...

Nie zdążył jednak dokończyć, gdyż Luis już wysiadał z samochodu. Sekretarz siarczyście zaklął pod nosem, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer szefa ochrony jadącego w drugim samochodzie.

Książę najwyraźniej nie rozumiał, jak ważna jest sprawa bezpieczeństwa rodziny królewskiej, zwłaszcza po wstrząsającej śmierci jego brata i bratowej.

– Dobranoc, Kiki, do jutra! – zawołała Emily.

Nie czekając na odpowiedź, wymknęła się na zewnątrz i szczelnie otuliła kardiganem. Zwykle wychodziła razem z koleżanką, tego wieczoru jednak wolała być sama.

– Może cię podwieźć?

Emily aż podskoczyła, wystraszona widokiem potężnie zbudowanego mężczyzny, który wyłonił się z półmroku i stanął jej na drodze.

– Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć – powiedział chrapliwym głosem.

– Twoje zachowanie dowodzi jednak, że tu nie jest bezpiecznie. Na moim miejscu mógłby przecież znaleźć się nafaszerowany narkotykami przestępca z bronią w ręku.

– Wielkie dzięki, poradzę sobie – burknęła Emily, usiłując ominąć Luisa, on jednak błyskawicznie chwycił ją za rękę.

Z cienia za samochodem dobiegło ich kilka słów po portugalsku, ale Luis nawet nie spojrzał w tamtym kierunku.

– *Sim, obrigado*, Tomas – oświadczył. – To nie potrwa długo.

– Istotnie, bo nigdzie z tobą nie jadę – zgodziła się drżącym głosem Emily.
– Do widzenia...

– Cóż za rozczarowanie – westchnął z demonstracyjną przesadą. – Zauważyłem twoją koszulkę z reklamą „Różowego Flaminga” i uznałem, że trochę dorosłaś od naszego ostatniego spotkania.

– Rzeczywiście dorosłam i dlatego nie wsiądę z tobą do samochodu – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – A teraz pozwól mi iść. Miałam ciężki dzień i chcę wrócić do domu.

Ku jej zdziwieniu, puścił ją bez najmniejszego oporu.

– Ciekawe, bo właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać – oświadczył.

– Słucham? – Przystanęła, zaniepokojona jego lodowatym tonem.

– Chodzi o twój dom. Wczoraj wieczorem byłem w Balfour Manor.

Ktoś trzasnął drzwiami budynku i Emily obejrzała się nerwowo, modląc się w duchu, żeby Kiki nie słyszała słów Luisa.

– Proszę... – jęknęła.

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi limuzyny.

– Może wolałabyś dokończyć tę rozmowę w samochodzie, zanim zostaniesz zdekonspirowana? – Popatrzył na nią wymownie.

– Ale ja nie mam ci nic do powiedzenia... – Emily z rezygnacją zwiesiła głowę. Czowała się tak, jakby wewnątrz samochodu było paszczą wieloryba gotowego połknąć ją w całości.

– Nie szkodzi, wystarczy, że będziesz słuchać. – Położył dłoń na jej plecach i lekko popchnął ją ku autu.

Gdy wsiadła, zauważyła, że w środku jest ktoś jeszcze, ubrany w ciemny garnitur męczyzna po trzydziestce. Obdarzył ją życzliwym uśmiechem, a Emily poczuła się nieco pewniej. Przynajmniej nie musiała przebywać sama na sam z Luisem.

– To jest Tomas, mój osobisty sekretarz. – Luis uśmiechnął się półgębkiem. – Możesz mu usiąść na kolanach, jeśli chcesz. Świetnie radzi sobie z dziećmi.

Tomas pokiwał głową z miną człowieka, który nie pierwszy raz znosi dziwaczne żarty pracodawcy.

– Proszę nie zwracać uwagi na księcia, panno Balfour – powiedział z rezygnacją w głosie.

– Dziękuję, Tomas. – Emily odwróciła się do Luisa, który usiadł z drugiej strony. – Ani ja nie jestem twoim dzieckiem, ani ty moim ojcem, więc nie próbuj wydawać mi poleceń.

– Dzięki Bogu, że nie jesteś moją córką – zauważył Luis, gdy samochód włączył się do ruchu. – Wczoraj wszyscy mogli zauważyć, że Oscara coś gryzie.

– Jak to? – zaniepokoiła się.

– Z pewnością widziałaś dzisiejszą gazetę. – Wyciągnął egzemplarz z kieszeni na fotelu kierowcy.

– Owszem. – Spojrzała z obrzydzeniem na kolorową okładkę i nagle się zaniepokoiła. – Dokąd właściwie jedziemy? Przecież nie znasz mojego adresu.

– Nie jest mi do niczego potrzebny – oznajmił znużonym głosem. – Chyba że wolałabyś się przebrać w coś, co nie wygląda jak średniowieczny strój pasterza jaków. – Z niesmakiem popatrzył na jej sweter oraz tanie znoszone baleriny. – Muszę przyznać, że doskonale się maskujesz. Kto by pomyślał, że jedna z córek Balfoura będzie chodziła ubrana jak uciekinierka z komuny hipisów?

– Dlaczego miałabym się przebierać? – spytała, puszczając mimo uszu jego docinki. – Dokąd mnie wiesz? Chyba nie do domu, do Balfour, bo nie mogłabym...

– Bez obaw – przerwał jej, żeby nie zdążyła wpaść w panikę. – Nie masz się czym niepokoić, zabieram cię na kolację.

– Wypadałoby najpierw spytać mnie o zgodę – burknęła i skrzyżowała ręce na piersi.

– A przyjęłabyś moje zaproszenie? – Popatrzył na nią wymownie.

W odpowiedzi pokręciła głową.

– Otóż to. Załóżmy, że jestem okrutny, jednak pragnę okazać ci życzliwość.

– W okrucieństwo uwierzę – zaśmiała się niewesoło. – W życzliwość niespecjalnie.

– Kiedy ostatnio jadłaś normalny posiłek? – zapytał, jakby jej nie usłyszał.

Emily pomyślała o miseczce przeterminowanych płatków zbożowych, które zjadła na sucho przed wyjściem do pracy. W ramach czynszu miała prawo do korzystania z kuchni w domu pana Lukacsa, ale za każdym razem, gdy szła coś ugotować, zjawiał się także gospodarz i korzystał z byle pretekstu, żeby się obok niej przepychać w ciasnym pomieszczeniu. Kiedy zaś nie ocierał się o nią, przystawał parę centymetrów dalej i błyszczącymi oczkami wpatrywał się w jej biust. Wolała głodować niż znosić bliską obecność tego człowieka.

– Skąd ta ciekawość? – prychnęła z irytacją. – Moje sprawy nie powinny cię interesować.

– Wierz mi, mam mnóstwo innych problemów na głowie. Sęk w tym, że twój ojciec wygląda jak zombie, bo martwi się o ciebie, i nie ma pojęcia, gdzie jesteś. Gdyby wiedział, jak żyjesz... – Westchnął ciężko. – Dlatego zamierzam cię nakarmić, a potem opowiesz mi dokładnie, w czym problem.

Zamierzała się odgryźć, ale coś w jego tonie ją powstrzymało. Luis Cordoba, którego znała, był beztroskim wesółkiem, teraz jednak rozmawiała z twardym, zdecydowanym mężczyzną.

Wyjrzała przez okno i dopiero wtedy dotarło do niej, że wyjeżdżają z miasta. Czy ojciec naprawdę wyglądał jak zombie? Pragnęła spytać Luisa, co właściwie przez to rozumie, ale nie mogła się zmusić do rozmowy o ojcu w obecności Tomasa oraz szofera. Odnosiła wrażenie, że na jej piersi zacisnęła się żelazna obręcz. Co się teraz dzieje z Zoe, Olivią i Bellą?

Nagle ogarnęło ją przemożne zmęczenie, które nie wynikało wyłącznie z ciężkiego dnia. Od dwóch miesięcy z całych sił walczyła, żeby się utrzymać na powierzchni. Po opuszczeniu domu rozpoczęła batalię z samotnością, ponurym otoczeniem i niedostatkiem. Pierwszy raz w życiu z trudem wiązała koniec z końcem. Poza tym brakowało jej matki, ciągle opłakiwała jej śmierć oraz zdradę ojca.

Oparła głowę o miękki zagłówek i zamknęła oczy. Po chwili jej policzek spoczął na ramieniu Luisa, a do wnętrza samochodu przeniknął słodki zapach majowego głogu. Zapomniała, że powinna się obawiać tego mężczyzny, czuła się zbyt dobrze w jego towarzystwie.

Była przy nim bezpieczna.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Oscar? Mówi Luis.

Po drugiej stronie linii zapadła krótkotrwała cisza.

– Luis... Miło, że dzwonisz. – Oscar Balfour na próżno usiłował ukryć znużenie i rozczarowanie w głosie. – Jeśli chcesz mi podziękować za wczorajszy wieczór, to zapewniam cię, że nie ma takiej potrzeby.

– Obawiam się, że nie telefonuję z podziękowaniami. – Luis z uśmiechem skubał jedwabne frędzle puszystej poduszki. – Postanowiłem poinformować cię, że odnalazłem Emily.

– Emily? – Oscar momentalnie się ożywił. – Wielkie nieba, Luis... Gdzie? Nic jej się nie stało?

– Jest cała i zdrowa. – Luis zawahał się, przypomniawszy sobie jej podkrążone oczy, wystające kości policzkowe i kruchą sylwetkę. – Prowadzi lekcje baletu w jednym z centrów kultury, które dzisiaj odwiedziłem. – Postanowił nie wspominać o „Różowym Flamingu”.

– W Londynie? Gdzie dokładnie? Zaraz tam pojedę – gorączkował się Oscar.

– Nie ma potrzeby. – Luis wstał i nalał sobie szklaneczkę whisky. – Przywiozłem ją do mojego hotelu na kolację. Czytałem dzisiejszą prasę, więc wiem, że masz ważniejsze sprawy na głowie. Pozwól, że sam z nią porozmawiam, a jutro przekażę ci szczegóły.

Oscar milczał przez kilka sekund, a gdy odezwał się ponownie, jego głos zabrzmiał jak głos starego i niepewnego siebie człowieka. W niczym nie

przypominał dostojnego patriarchy słynnej angielskiej rodziny, potężnego biznesmena, stojącego na czele imperium o wartości miliarda dolarów.

– Zgoda – westchnął ciężko. – Faktycznie, mam tu kilka rzeczy do załatwienia, zresztą pewnie i tak lepiej sobie poradzisz ode mnie. Pokłóciliśmy się, kiedy przyjechała Mia, a potem w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać, wyobrażasz sobie? Nie naciskałem, Lillian była umierająca... Myślałem, że po jej śmierci znajdę czas na rozmowę z Emily. Zamierzałem opowiedzieć jej wszystko o Mii, ale nie dała mi szansy. Znikła następnego dnia po pogrzebie.

– Nie powiedziała, dokąd jedzie? – Luis napił się whisky.

– Skąd – westchnął Oscar. – Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie było wrzasków ani dramatycznych scen, po prostu zerwała z nami kontakt. Wzięła tylko stroje baletowe i ubranie, które miała na sobie. Zostawiła nawet komórkę, żebym wiedział, że nie życzy sobie dalszych kontaktów ze mną.

– Poważna sprawa. – Luis zmarszczył brwi.

– Emily taka już jest. Niczego nie robi na pół gwizdka, zawsze się angażuje całym sercem. Pewnie dlatego tak dobrze radziła sobie w balecie. Problem w tym, że takiego samego zaangażowania oczekuje od innych. Zawiodłem ją. Myślała, że jestem przyzwoity i honorowy, a ja nie stanąłem na wysokości zadania.

- Nikt nie jest doskonały – zauważył Luis sentencjonalnie.
 - Lillian była idealna – oświadczył bez wahania Oscar. – Emily przypomina ją pod wieloma względami. Jest dobra do szpiku kości, a przy tym silna. Mogłaby zrobić wszystko dla tych, których kocha.
 - Rozumiem. – Luis przypomniał sobie zrozpaczoną małą dziewczynkę na scenie.
 - Wybacz – westchnął Oscar. – Zanudzam cię na śmierć. Prosiłbym tylko, żebyś spróbował jej wytłumaczyć... Chciałbym, aby zrozumiała...
 - Zobaczę, co się da zrobić – powiedział Luis. – Zostaw to mnie.
 - Dziękuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.
 - Nie ma sprawy.
 - Czy będzie tu pani wygodnie, panno Balfour?
- Emily zamrugała powiekami, rozglądając się po eleganckim wnętrzu, po czym skierowała wzrok na Tomasa.
- Nie rozumiem... Czyj to pokój? – spytała z wahaniem.
 - Pani, naturalnie – zapewnił ją sekretarz kojącym głosem. – Ponieważ jest pani zmęczona, książe doszedł do wniosku, że zapewne zechce się pani odświeżyć. Może kąpiel i relaks dobrze by pani zrobiły przed posiłkiem?
 - Gdzie jest Lu... książe? – Emily chłonęła spojrzeniem gustowne antyki i wazony pełne kwiatów.

– Książę przebywa obecnie w apartamencie piętro wyżej, panno Balfour. O ile mi wiadomo, popija drinka i rozmawia przez telefon. Czy mam go poprosić, aby zszedł do pani, gdy skończy?

– Och, nie, nie ma takiej potrzeby – powstrzymała go Emily. Wcale nie było jej spieszno do spotkania z Luisem. – Chętnie się wykapię.

– Doskonale, panno Balfour. Czy zechciałaby pani zadzwonić do recepcji, gdy będzie pani gotowa? Ktoś z personelu będzie tam czekał na pani telefon.

Tomas wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, a Emily podeszła do lustra i westchnęła na widok swojej wychudzonej twarzy. Drżącymi rękami ściągnęła gumkę z warkocza i palcami rozczesała włosy. Nie powinna była zasypiać w samochodzie, ale przez moment czuła się po prostu dobrze. Nie musiała o niczym myśleć, niczym się przejmować, nareszcie ktoś o nią zadbał...

Szkoda tylko, że tym kimś był raczej niegodny zaufania podrywacz, którego zainteresowanie kobietami ograniczało się wyłącznie do sypialni.

Emily weszła do łazienki, odkręciła kurki i szybko zdjęła z siebie tanią, kupioną w lumpeksie odzież. Po chwili wskoczyła do pełnej piany wanny i zamknęła oczy, zachwycona wonią egzotycznego olejku. Dotąd nie uświadamiała sobie, jak bardzo brakuje jej takich przyjemności. Następnego dnia po pogrzebie Lillian, kiedy odchodziła z bolącym sercem i cierpiącą duszą, nawet nie podejrzewała, jak ciężkie okaże się dalsze życie. Gdyby

wiedziała, co ją czeka, być może nie zdecydowałaby się na tak drastyczny krok jak ucieczka. Nie zaplanowała zniknięcia, postąpiła spontanicznie w obliczu niemożliwej do zniesienia sytuacji. Potrzebowała czasu i przestrzeni, aby oswoić się z nową rzeczywistością. Naiwnie sądziła, że pojedzie do Londynu, szybko znajdzie zatrudnienie w jednej z wiodących grup baletowych i wynajmie przytulne, słoneczne mieszkanie w przyjemnej dzielnicy.

Była taka naiwna... Przez całe życie pozostawała w izolacji od prawdziwego świata i nawet nie wiedziała, ile kosztuje mleko czy płatki kukurydziane. Niewielkie oszczędności szybko stopniały i w końcu zabrakło jej pieniędzy. Bez trudu umówiła się na spotkania w sprawie pracy w trzech zespołach baletowych. Dopiero poniewczasie dotarło do niej, jak ucierpiały jej umiejętności przez kilka miesięcy bólu. Castingi zakończyły się kompletną katastrofą. Emily tańczyła nieporadnie i ciężko, poruszała rękami jak automat i gubiła rytm. Odnosiła wrażenie, że ktoś przywiązał jej ołowiane ciężarki do stóp.

Nic dziwnego, że w żadnym balecie nie znalazło się dla niej miejsce.

Potem było już tylko gorzej. Aby przetrwać, musiała znaleźć źródło dochodów. Z desperacją przeglądała ogłoszenia w prasie, aż w końcu natrafiła na ofertę „Różowego Flaminga”. Zwróciła na nią uwagę tylko dlatego, że w tekście pojawiła się wzmianka o tańcu.

Dopiero w klubie przekonała się, o jaki rodzaj tańca chodzi. Wstrząśnięta, wyjaśniła obleśnemu właścicielowi, że doszło do nieporozumienia, on jednak obrzucił ją badawczym spojrzeniem i zaproponował jej pracę za barem. Po krótkim namyśle Emily doszła do wniosku, że nie ma wyjścia, lepsza taka praca niż żadna.

Teraz jednak nie chciała wracać myślami do tamtych chwil. Ostatnie dwa miesiące przetrwała dzięki surowej samodyscyplinie, której się nauczyła podczas zajęć w szkole baletowej. Odetchnęła głęboko, uniosła nogi i oparła je na krawędzi wanny, po czym zamknęła oczy, rozleniwiona spokojem i gorącą wodą. Przeszło jej przez myśl, że powinna już wyjść, ale czuła się tak wspaniale... Nabrała powietrza, wypuściła je i zanurzyła się nieco głębiej. Nareszcie mogła się cieszyć bezpieczeństwem...

Ocknęła się w chwili, kiedy czubek jej nosa zniknął pod wodą. Odruchowo złapała powietrze ustami i natychmiast się zakrztusiła, gdyż woda dostała się do jej płuc. Gwałtownie zamachała rękami, nieporadnie usiłując się wyprostować, i wtedy poczuła, że ktoś ją trzyma i unosi ponad wannę. Czyżby anioły? Czekwała na moment, w którym będzie mogła zerknąć w dół na swoje martwe ciało, ale była zbyt racjonalna, żeby się uznać za wędrującą duszę. Ostrożnie dotknęła palcami szerokiego, męskiego torsu i otworzyła oczy. Po chwili spojrzała w złociste oczy dobrze znanego sobie człowieka.

Wszystko było jasne, nie umarła. Stało się coś znacznie gorszego. Znalazła się w ramionach Luisa Cordoby, naga, jak ją pan Bóg stworzył.

Żyła.

Luis na moment wpadł w panikę. Emily leżała w wannie, z włosami unoszącymi się na wodzie, nie oddychając, zupełnie jakby było już za późno na ratunek. Uspokoił się dopiero, gdy wyciągnął ją z kąpieli i bezceremonialnie rzucił na łóżko. Po chwili zastanowienia odwrócił się i wyjął z szafy gruby, miękki szlafrok hotelowy.

– Masz, ubierz się – mruknął niechętnie. – Nie po to cię ratowałem, żebyś teraz umarła na przeziębienie.

Nie przestając się krztusić, Emily usiadła na materacu i pośpiesznie owinęła się białym szlafrokiem.

– Nie patrz, proszę – wychrypiała.

Luis wzniósł oczy ku niebu i odwrócił się do okna.

– Jak na tancerkę egzotyczną jesteś wyjątkowo wstydliva – zauważył.

– Nie pracuję jako tancerka... Jestem barmanką... – Zaszczękała zębami. –

Przestałam tańczyć.

Luis nie rozumiał, dlaczego poczuł ulgę.

– Mogę się już odwrócić? – zapytał.

– Tak.

– Nie utopiłabym się. – Emily siedziała u wezglowia łóżka i patrzyła na niego niepewnie. – Z pewnością ocknęłabym się w odpowiednim momencie.

– Wybacz, że nie sprawdziłem twojej teorii. Następnym razem odczekam kilka minut i dopiero potem wyłowię cię spod wody.

W myślach dodał, że wtedy miałby jeszcze jedno ludzkie życie na sumieniu.

– Nie będzie następnego razu. – Szczelniej owinęła się ręcznikiem. – Dlaczego podglądałeś mnie w łazience?

– Pukałem, ale nie zareagowałaś, więc wszedłem – wyjaśnił. – Podejrzywałem, że uciekłaś przez balkon. Nie przyszło mi go głowy, że usiłujesz odebrać sobie życie.

– Wcale nie zamierzałam popełnić samobójstwa – obruszyła się i chciała dodać coś jeszcze, ale ktoś zapukał.

– To na pewno kolacja – uspokoił ją Luis.

– Kolacja? Przecież...

Zerwała się na równe nogi, kiedy dwie ładne kelnerki wprowadziły do pokoju wózki z talerzami przykrytymi srebrnymi pokrywkami.

– Wyglądałaś na zbyt zmęczoną, żeby iść do restauracji, więc zamówiłem posiłek do pokoju. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Emily zacisnęła usta i zaczęła, aż kelnerki wyjdą, po czym ze zgrozą popatrzyła na Luisa.

– Oczywiście, że mam coś przeciwko temu! Przecież te kobiety z pewnością pomyślały, że jesteśmy... – Na jej policzkach wykwitły purpurowe rumieńce.

– Kochankami? – dopowiedział i nalał wina do kieliszków. – Szczerze mówiąc, wątpię, *querida*. Gdybyśmy przed chwilą uprawiali seks, zdecydowanie nie byłabyś w takim podłym nastroju. A teraz chodź coś zjeść.

– Przecież nie jestem ubrana... – wyjąkała, patrząc z niepokojem, jak Luis rozpiera się na stercie poduszek.

– Wierz mi, w szlafroku wyglądasz nieporównanie lepiej niż w tym okropnym kardiganie.

– Wcale nie chciałam żadnej kolacji – upierała się. – Nie mam ochoty...

– Posłuchaj, amada, nie chodzi tylko o ciebie – przerwał jej ze zniecierpliwieniem. – Nie powinnaś zapominać o swojej rodzinie. O ojcu, który niedawno stracił żonę. Czy naprawdę sądzisz, że powinien dodatkowo borykać się ze stratą córki?

– Moim zdaniem to idealny moment. Przecież właśnie zyskał nową na moje miejsce. – Emily zaśmiała się z goryczą.

– Tak podejrzewałem. – Luis powoli skinął głową. – Chodziło o Mię, prawda?

– Nie – zaprzeczyła i usiadła na łóżku, jak najdalej od Luisa. Po sekundowym namyśle sięgnęła po kieliszek wina i pokrzepiła się potężnym

łykiem. – Osobiście nie mam nic przeciwko Mii. To nie wina tej miłej dziewczyny.

– Co nie jest jej winą?

– Wszystko przez mojego... przez naszego ojca. – Gula w gardle utrudniała jej przełknięcie kęsa kanapki z wędzonym łososiem. – Tylko słabeusz i głupiec mógłby w przeddzień ślubu sprawić sobie kochankę na jedną noc i zrobić jej dziecko.

– Zdarza się w najlepszych rodzinach – zauważył nonszalancko i również poczęstował się kanapką. – Nie możesz winić Mii za to, w jakich okolicznościach została poczęta. Zresztą, czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? Przecież Oscar ożenił się z twoją matką i przez dwadzieścia lat byli szczęśliwym małżeństwem.

– Ich związek opierał się na kłamstwie – podkreśliła Emily i ze złością zgmiotła palcami okruszek chleba. – W udanym małżeństwie ludzie powinni się darzyć zaufaniem i mówić sobie prawdę.

– Doprawdy? – skrzywił się pogardliwie, jakby uznał jej rozumowanie za wyjątkowo płytkie. – A jeśli są sprawy, o których druga osoba nie powinna wiedzieć dla własnego dobra?

– Pytanie, czy na pewno chodzi o dobro drugiej strony. – Spojrzała na niego z niechęcią. – Trzeba ufać partnerowi i wierzyć w jego wyrozumiałość.

– Jak rozumiem, twój ojciec tego nie zrobił – mruknął Luis. – Nie powiedział nic twojej matce, nawet wtedy, gdy zjawiała się Mia.

Emily pokręciła głową. Wolą nie przypominać sobie tych ponurych dni po przybyciu Mii.

– Ojciec poinformował nas stanowczo, że mama nie może niczego podejrzewać. – Uśmiechnęła się smutno. – Mia udawała nową gospodynię. Trudno to uznać za udany początek jej życia w Balfour, ale wtedy mama już umierała.

– Sama widzisz. – Luis wzruszył ramionami i sięgnął po butelkę wina. – Przynajmniej oszczędził jej bólu.

– Uważasz, że zachował się przyzwoicie? – Ze złością odsunęła kieliszek, który właśnie zamierzał napełnić.

Kilka kropli wina spłynęło po nagich nogach, ale postanowiła to zignorować.

– To nie zmienia faktu, że twoi rodzice byli szczęśliwi w małżeństwie – powiedział Luis.

– Och, teraz wiem, jak rozumiesz udane małżeństwo – zaśmiała się z goryczą. – Można bezkarnie puszczać się na lewo i prawo, dopóki druga osoba o niczym nie wie, tak? Przyszła księżna Santosy będzie naprawdę szczęśliwą małżonką.

– To co innego. – Wyciągnął rękę i kciukiem zebrał kroplę wina, która spływała jej po łydce. – Moje małżeństwo będzie czymś w rodzaju kontraktu handlowego. W tym wypadku miłość nie wchodzi w grę i oczekuję, że moja żona to zrozumie.

Emily zamarła. Kiedy jej dotykał, czuła się tak, jakby jej ciało trawił ogień.

– Mówisz o kontrakcie handlowym? – upewniła się nieco zdyszczonym głosem. – I zgodnie z jego ustaleniami będziesz mógł bezkarnie sypiać z kimkolwiek zechcesz? Wybrance dasz to samo prawo?

– Pod warunkiem, że zachowa dyskrecję – przytaknął i pogłaskał palcem jej kostkę. – Zazdrość to paskudna choroba, szczęśliwie, ja jestem na nią całkowicie odporny. Uważam się za realistę. Małżeństwo służy zaspokajaniu wielu potrzeb, w moim wypadku praktycznych, w wypadku twojego ojca emocjonalnych. Kochał Lillian i jego ostatni wybryk przed ślubem nie zmienił tego faktu. Tamta kochanka nic dla niego nie znaczyła.

– Właśnie tego nie rozumiem – wyjaśniła Emily, usiłując się skupić na rozmowie, a nie na pieszczocie. – Dlaczego ludzie decydują się na seks, jeśli nic on dla nich nie znaczy?

– Skoro zadajesz to pytanie, to zapewne nie ma szansy, byś zrozumiała odpowiedź. – Luis delikatnie pomasował kciukiem spód jej stopy. – Pociągu seksualnego nie da się racjonalnie uzasadnić, a czasami wręcz nie sposób

nad nim zapanować. Jesteśmy przecież tylko ludźmi. Oscar to twój ojciec, ale przede wszystkim jest człowiekiem.

– Wiem o tym. – Jej głos był drżący, z trudem chwytając powietrze.

– A mimo to wydaje mi się, że chcesz go za to ukarać. – Głaskał jej stopy. – Masz nadzwyczajne stopy.

Emily nie mogła dłużej wytrzymać napięcia. Gwałtownie wyszarpnęła nogę z jego uścisku, zerwała się z łóżka i podeszła do kominka.

– To nie tak – zaprzeczyła. – Wcale go nie karzę, po prostu czuję się zdradzona. Mam wrażenie, że wszystko wokół mnie się rozpada... Najpierw sprawa z moją mamą i Mią, a teraz Zoe i te okropieństwa w gazecie... Zupełnie jakby cała rodzina była przeklęta.

– Z wyjątkiem ciebie. – Luis podszedł do Emily i uśmiechnął się do jej odbicia w lustrze. – O ile pamiętam, w ubiegłym roku pilnie strzegłaś swojej czci.

– Owszem. – Uniosła dumnie głowę. – Chcę czegoś więcej.

– Niż co? – Wsunął dłoń pod jej włosy na karku.

– Niż szybki, pozbawiony uczuć seks... – Wstrzymała oddech.

– Nie odrzucaj czegoś, czego nie znasz. – Jego głos był zmysłowy i ciepły niczym miód rozgrzany promieniami słońca.

– Skąd wiesz, że nie znam takiego seksu?

Poczuła, jak Luis muska wargami jej ucho i przeszył ją dreszcz.

– Stąd. – Zaśmiał się cicho.

Emily odwróciła się do niego, oddychając tak ciężko, jakby przed chwilą ukończyła bieg maratoński.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków – uprzedziła go i buńczucznie uniosła brodę.

– Rozumiem. – W jego oczach zamigotały złowrogie ogniki. – Oczekujesz gry wstępnej, tak?

Rozchyliła usta, żeby zaprotestować, ale nim zdołała cokolwiek powiedzieć, pocałował ją, mocno i stanowczo. Odruchowo zamknęła oczy, oszołomiona natłokiem wrażeń: ciepłem i bliskością jego ciała, smakiem warg, zapachem skóry. Po chwili odsunął się od niej i zaśmiał.

– Tak podejrzewałem – oświadczył cicho. – Pod tym płaszczkiem skromności skrywasz w sobie namiętą kobietę, panno Balfour.

– Jak mogłeś? – syknęła, wrywając się z jego objęć. – Zrobiłeś to rozmyślnie! Wszystko przez ciebie...

– Przeze mnie? – Wymownie uniósł brwi. – Ależ skąd. Po prostu pokazałem ci, jak łatwo ulec pokusie. Pamiętaj o tym, gdy następnym razem będziesz kogoś krytykować.

Odwrócił się i podszedł do drzwi balkonowych, a Emily zwiesiła głowę, ukrywając łzy, które pojawiły się w jej oczach. Modliła się w duchu, żeby

poszedł sobie jak najszybciej i zostawił ją samą z jej upokorzeniem i pożądaniem...

– Nie przespałabym się z tobą – syknęła. – Nie pozwoliłabym ci posunąć się tak daleko.

Otworzył drzwi na taras, a gdy się odwrócił, w jego wzroku dostrzegła zwątpienie.

– Nawet bym nie próbował – rzekł zmęczonym głosem, po czym ruszył do drzwi na korytarz i wyszedł.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Luis siedział przy oknie w swoim apartamencie i obserwował, jak wstaje dzień. Gwiazdy na wschodzie powoli przygasały, niebo rozjaśniła różowa ciepła poświata. Już dawno temu dał za wygraną i zrezygnował z prób zaślęcia. Od paru godzin rozmyślał wyłącznie o tym, czy ma choćby cień szansy na zdobycie serca Emily.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do pomieszczenia wszedł Tomas z gazetami i kawą na tacy.

– Dzień dobry panu – przywitał się z nienaganną uprzejmością. – Jak mniemam, dobrze się spało?

– Doskonale, dziękuję. – Luis sięgnął po wczorajsze wydanie dziennika z Santosy. Nie miał zamiaru wtajemniczać sekretarza w sercowe rozterki, które spędzały mu sen z powiek. – Jakie mamy plany na dzisiaj?

– Ranek wolny, proszę pana. – Tomas zerknął do notatek. – Ale po południu jest pan umówiony na krótkie spotkanie z grupą matek z małymi dziećmi. W południowo-wschodniej części Londynu znajduje się siedziba organizacji dobroczynnej, która organizuje zajęcia sportowe dla maluchów oraz zapewnia opiekę dzienną seniorom.

– A więc czeka nas moc wrażeń – mruknął Luis. – Skoro o starcach mowa, jak się miewa mój ojciec?

– Właśnie do tego zmierzam, proszę pana. – Tomas popatrzył na niego z niepokojem w oczach. – Wczoraj późnym wieczorem rozmawiałem z sekretarzem pańskiego ojca i obawiam się, że nie mam najlepszych wieści. Ostatniej nocy jego królewska mość trafił do szpitala z powodu lekkich zaburzeń oddechowych. Lekarz oświadczył, że sytuacja jest pod kontrolą, niemniej chyba powinniśmy wrócić na Santosę nieco wcześniej, niż zakładał plan. Josefina z biura prasowego jest zachwycona, że podróż w znaczący sposób wpłynęła na poprawę pańskiego wizerunku w prasie, jednak nieobecność przy chorym ojcu może przynieść wręcz odwrotny skutek.

– Czy opinia publiczna wie, jak ciężko chory jest król? – Luis wypił łyk kawy i odstawił filiżankę na spodku.

– Nie, proszę pana. Gazety doniosły, że spędził trochę czasu w szpitalu, ale nasze biuro prasowe wydało tylko ogólnikowe oświadczenie o „standardowych badaniach kontrolnych”. Na razie wstrzymujemy się z oficjalnym zawiadomieniem, że król...

– Umiera.

– Tak jest, proszę pana. – Tomas wzdrygnął się na sam dźwięk tego słowa.

– Zdaniem Josefiny to nie jest odpowiedni moment na tego typu deklaracje. Od uroczystości srebrnego jubileuszu jego królewskiej mości dzieli nas zaledwie kilka tygodni, a sytuacja w rodzinie nadal pozostaje niejasna... – Sekretarz pochylił głowę i ostentacyjnie zaczął wertować notatnik.

– Bez obaw, Tomas. – Luis uśmiechnął się i rzucił okiem na dział sportowy w gazecie. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że król Marcos Fernando stoi nad grobem i zamierza przekazać koronę czarnej owcy w dynastii Cordobów, na ulicach Santosy wybuchłaby rewolucja, zgadza się?

– Ależ skąd, proszę pana – zaprzeczył Tomas zbyt pośpiesznie i zdecydowanie bez przekonania. – Po prostu musimy popracować nad pańskim wizerunkiem. Wkrótce opinia publiczna będzie gotowa zaakceptować pana jako następcę tronu. Jak pan wie, ludzie z całego serca kochają króla, który w trakcie dwudziestopięcioletnich rządów ustalił bardzo wysokie standardy, nawet jak na... – urwał raptownie.

– Nawet jak na Rica – powiedział Luis, a następnie odrzucił gazetę, wstał i podszedł do okna. – Zatem pojawił się problem. Skoro mój szlachetny brat miałby trudności z zadowoleniem mieszkańców Santosa, jakie ja mam szanse?

– Ogromne, proszę pana. – Tomas stanął u jego boku. – Ciężko pan pracuje nad tym, żeby się zmienić, i ludzie to widzą. Gdy przyjdzie czas, zostanie pan uznany za troskliwego i odpowiedzialnego monarchę.

– Świetnie. – Luis roześmiał się z ironią. – I jak zamierzasz osiągnąć ten mały cud?

Tomas chciał coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili obaj ujrzeli Emily Balfour. Powoli podeszła do balustrady, za którą rozpościerał się trawnik. Miała na sobie tę samą odzież, w której przyjechała poprzedniego wieczoru, lecz nie włożyła rajstop ani butów.

– Panna Balfour sprawia wrażenie niezwykle uroczej dziewczyny – zauważył Tomas przyciszonym głosem.

– To tylko ogólne spostrzeżenie czy jakaś aluzja? – Luis popatrzył badawczo na sekretarza.

– Nie chciałbym zostać posądzony o wścibstwo, ale czy łączy pana z nią relacja o charakterze romantycznym? – spytał Tomas, starannie dobierając słowa. – Ochrona poinformowała mnie, że wczoraj wieczorem odwiedził ją pan w jej pokoju...

– Do niczego między nami nie doszło – zapewnił go Luis obojętnym tonem i od razu pomyślał o jej kruchym ciele. Tak niewiele brakowało, żeby utopiła się w wannie... – Słusznie zauważyłeś, że to urocza dziewczyna. Z tego względu nie darzę jej szczególnym zainteresowaniem.

– To dobrze.

– Słucham? – Luis z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Potrzebujemy kogoś, kto skupi na sobie uwagę opinii publicznej – wyjaśnił sekretarz. – Chodzi o to, żeby media przestały się interesować wyłącznie panem. Na tle odpowiedniej osoby zyskałby pan jeszcze większą popularność. Dla uniknięcia niepotrzebnego zamieszania nie powinien pan pozostawać z nią w związku intymnym.

– Chodzi ci o to, żeby łatwo się było rozstać z Emily, gdy nie będzie już potrzebna? – spytał Luis kąśliwie.

– Zasadniczo i owszem – przyznał Tomas. – Stanie się to wtedy, gdy w końcu nadejdzie czas pańskiego ślubu i będziemy musieli przedstawić społeczeństwu przyszłą królową Santosy.

– Przypomnij mi, kto się ubiega o tę zaszczytną godność – westchnął Luis.

– Do niedawna w grę wchodziły dwie kandydatki: księżna de Mesa oraz lady Helena Maygrove-Carter. Cóż, zdjęcia lady Heleny tańczącej na stole w nocnym klubie dały nam do myślenia... Najwyraźniej ten wybór nie był najtrafniejszy.

– Ciekawe, bo na ich widok ja doszedłem do zupełnie przeciwnego wniosku. – Luis nie spuszczał wzroku z Emily Balfour, która oparła stopę na kamiennej balustradzie i ostrożnie zaczęła się rozciągać. – Sugerujesz, że póki co powinienem zabrać Emily na Santosę?

– To chyba niezła myśl.

– Dlaczego uważasz, że byłaby skłonna pojechać ze mną? – spytał. – Jaka miałaby z tego korzyść?

– Wygląda na to, że obecnie przeżywa ciężkie chwile – zauważył Tomas. – Raczej nie jest skłonna wracać do domu i do rodziny, a ponieważ lubi pomagać innym ludziom...

– Twoim zdaniem zechciałaby narazić na szwank reputację, żeby poprawić mój wizerunek? – Luis roześmiał się ponuro. – Chyba nieco przeceniasz jej ofiarność.

– Nie to miałem na myśli. – Tomas uśmiechnął się zdawkowo. – Zgadzam się, że panna Balfour czułaby się niekomfortowo w roli świadomej uczestniczki zaplanowanego oszustwa. Dzięki niewielkiej pomocy biura prasowego możemy jednak skłonić media do wyciągnięcia odpowiednich wniosków. Wystarczy, że dziennikarze kilka razy ujrzą pana w towarzystwie panny Balfour. – Tomas dołał Luisowi kawy. – Istotną rolę odegra przy tym księżniczka Luciana.

– Luciana?

– Niedawno straciła matkę, tak jak panna Balfour, która chętnie pomaga dzieciom. Podobnie jak wiele dziewcząt w jej wieku, Luciana przejawia żywe zainteresowanie baletem, sytuacja wydaje się zatem optymalna – podsumował sekretarz, dolewając śmietanki do kawy.

– Czy twoja żona nadal jest piastunką Luciany? – spytał Luis, nieco rozkojarzony widokiem gimnastykującej się Emily.

– Chwilowo nie. Wkrótce po śmierci księcia Rica i księżniczki Christiany wzięła urlop macierzyński. Valentina mówi, że zastępcza piastunka, seniora Costa, pracowała dla najlepszych rodzin w Brazylii i ma doskonałe referencje, ale jej podejście do dziecka jest dość rygorystyczne, przez co księżniczka Luciana zamyka się w sobie. Mniemam, że mogłaby się otworzyć przed kimś pokroju panny Balfour.

Tomas uniósł filiżankę, ale Luis machnął ręką ze zniecierpliwieniem. Czuł się tak paskudnie, że nawet kawa mogłaby mu stanąć w gardle.

– Starannie to sobie przemyślałeś, co?

– Wczoraj wieczorem odbyłem długą rozmowę z Josefiną z biura prasowego. – Tomas udał zakłopotanie. – Jej zdaniem panna Balfour może być niesłychanie wartościowa dla operacji „Przemiana”.

– Operacji „Przemiana”? – powtórzył Luis niebezpiecznie łagodnym głosem.

– Chodzi o proces zmiany pańskiego wizerunku w oczach opinii publicznej.

– Przemiana. Rozumiem. – Odnosił wrażenie, że uczestniczy w filmie science fiction, w którym ktoś porwał znaną osobistość i zastąpił ją klonem o wypranym umyśle. – Czyli nie widzisz problemu w tym, że panna Balfour stanie się pionkiem w rozgrywce santosańskich speców od PR?

– Wolę postrzegać tę sprawę z innej perspektywy. – Tomas uśmiechnął się z determinacją. – Przecież panna Balfour również skorzysta na naszej operacji. Należy tylko zapewnić jej bezpieczeństwo i dobre warunki.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Po pierwsze, nie może pan iść z nią do łóżka.

Luis zacisnął pięść, zupełnie jakby zamierzał roztrzaskać okno.

– Może jakoś zdołam się opanować – mruknął z ironią. Pomyślał, że przez ostatnie dziesięć miesięcy opierał się znacznie bardziej kuszącym ciałom. – A po drugie?

– W żadnym razie nie możemy angażować jej emocjonalnie. Dlatego musi pan postępować niebywale ostrożnie, żeby się w panu nie zakochała.

– O to nie musimy się martwić, zważywszy na jej stosunek do mnie. – Luis zaśmiał się głucho. – Najtrudniej będzie skłonić ją do wizyty na Santosie.

– Och, o to akurat jestem spokojny. Wystarczy, że będzie się pan zachowywał jak zawsze.

– Przecież uwiedzenie jej nie wchodzi w grę – zaprotestował Luis z rozbawieniem.

– Miałem na myśli pański urok osobisty. Ostatecznie jest pan przecież księciem.

– Brawo! Gdybym miał pod ręką róże, rzuciłbym ci je pod stopy.

Emily drgnęła przestraszona, puściła nogę, którą właśnie rozciągała w powietrzu i zadarła głowę. Jak się spodziewała, na balkonie piętro wyżej stał Luis i uśmiechał się z rozbawieniem.

– Robiłam codzienne ćwiczenia – wyjaśniła niepotrzebnie, opuszczając głowę, żeby ukryć rumieniec zakłopotania. – Nie wiedziałam, że ktoś mnie obserwuje.

– Nie przeszkadzaj sobie, Emily. Kontynuuj, bardzo proszę.

Jeszcze czego, pomyślała.

– Dziękuję, już skończyłam – odparła.

– Świetnie, wobec tego zjemy śniadanie. – Zatarł ręce. – Zamówiłem je do twojego pokoju.

Ponownie uniosła głowę i otworzyła usta, żeby kazać mu iść do diabła, ale tylko wstrzymała oddech z przerażenia. Luis niespodziewanie dał susa za balustradę, uwiesił się na kamiennym występie nad tarasem i sprawnie zeskoczył, lądując tuż obok Emily.

– Imponujące. – Wypuściła powietrze z płuc, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo ją wystraszył. – Nie mógłbyś następnym razem zejść po schodach, jak normalny człowiek?

– Mógłbym, ale przy okazji musiałbym poinformować Tomasa, że wychodzę, a on zawiadomiłby ochronę i przydzielił mi dwóch goryli. – Przysunął sobie krzesło i rozsiadł się na nim wygodnie. – Przyznasz, że w takich warunkach trudno o spontaniczność.

– Pewnie to konieczne ze względu na twoje bezpieczeństwo – zauważyła, wpatrując się w swoje paznokcie. Nie miała ochoty uzalać się nad Luisem.

– Tak uważasz? A ja myślę, że jeśli ktoś zechce mnie zabić, to i tak znajdzie sposób – odparł bezbarwnym głosem.

Emily ścisnęło się serce, gdyż uświadomiła sobie, że Luis myśli o bracie. Śmierć księcia Rica i księżniczki Christiany w katastrofie śmigłowca wywołała szok na całym świecie.

Przełknęła ślinę, usiłując zignorować ucisk w gardle.

– Dlatego tym bardziej powinieneś dbać o własne bezpieczeństwo, prawda? – zapytała.

– Nie. – Uśmiechnął się ze smutkiem. W tej samej chwili usłyszeli pukanie do drzwi. – Tym razem muszę się liczyć z atakiem wyszkolonego skrytobójcy – dodał i wstał.

– Ja otworzę.

Po chwili do sypialni Emily weszli kelnerzy z tacami, na których znajdowały się talerze z jedzeniem, pieczywo oraz imbryk. Gdy obsługa opuściła pokój, Emily ponownie spojrzała na Luisa.

– Przykro mi z powodu śmierci twojego brata i jego żony – szepnęła.

– Idę o zakład, że mnie było bardziej przykro – odparł Luis z kamienną miną i ugryzł rogalik.

Emily postanowiła nie dać po sobie poznać, jak bardzo wstrząsnęła nią jego nonszalancja.

– Brakuje ci ich, prawda? – spróbowała ponownie.

– Można tak to ująć. Oddałbym wszystko, żeby przywrócić ich do życia. Wtedy mógłbym żyć tak jak dawniej – dodał z gorzkim uśmiechem.

– Rozumiem. – Sięgnęła po rogalik. – Nie pomyślałam o tym, że teraz jesteś spadkobiercą i następcą tronu. Ile lat ma twoja bratanica?

– Pięć albo sześć lat. – Luis wzruszył ramionami.

– Nie wiesz? – zapytała z niedowierzaniem, mimowolnie przypominając sobie synka Annie. Trzyletni Oliver był ulubieńcem całego klanu Balfourów, a jego urodziny obchodzono wyjątkowo hucznie.

– Nie jestem najlepszy w opiece nad małymi dziewczynkami – przyznał.

– To oczywiste. Nie interesujesz się nimi, dopóki nie osiągną pełnoletności.

– Mówisz tak, jakby było w tym coś złego. – Spojrzał na nią ponuro. – Moim zdaniem to całkiem zdrowe i naturalne. Nie zrozum mnie źle, zależy mi na dobru bratanicy, po prostu nie wiem, od czego zacząć. Nie mamy wspólnych zainteresowań. Luciana lubi różowe kucyki i balet...

– Balet? – Emily znieruchomiała z rogalikiem przy ustach.

– Tak twierdzi Tomas. Jego żona, Valentina, była pracownicą w pałacu, dopóki nie odeszła na urlop macierzyński. Wygląda na to, że Luciana ma bzika na punkcie tańca.

– Bierze lekcje?

– Nie. Zawsze była wręcz chorobliwie nieśmiała, a od czasu wypadku prawie w ogóle nie mówi. Na regularne zajęcia brakuje jej pewności siebie.

– Balet dobrze by jej zrobił. – Oczy Emily zabłyśły, wyprostowała się z ożywieniem. – Niektóre dzieci z Larchfield naprawdę się otworzyły na moich lekcjach. Sam widziałeś, jak wczoraj Niomi się przełamała. Na początku nie chciała nawet unieść głowy, żeby spojrzeć komuś w twarz, a przecież już na pierwszych zajęciach baletu trzeba trzymać postawę. Powinieneś zachęcić Lucianę do nauki baletu.

– Muszę mieć na względzie jej bezpieczeństwo – zauważył i napił się kawy.

– Mogę ryzykować własne życie, ale nie wolno mi narażać małej dziewczynki. Jestem jej to winien.

Emily zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała tych rozterek.

– Dlaczego nie wynajmiesz osobistego nauczyciela? – spytała po chwili.

– To skomplikowana sprawa. – Spojrzał na nią uważnie. – Rekrutacja ludzi do nauczania w domu to długi i kłopotliwy proces. Musielibyśmy znaleźć kogoś wyjątkowego, kogoś, kogo Luciana polubi i z kim się zżyje. Ta osoba musiałaby rozumieć sytuację dziecka...

– Nie... – Emily zrobiła wielkie oczy i zerwała się na równe nogi. – Chcesz, żebym ja... Po tym co zrobiłeś wczoraj wieczorem, oczekujesz, że polecę na Santosę i będę dla ciebie pracować?

Luis wstał i wbił pogardliwy wzrok w nadruk na jej koszulce.

– To chyba lepsze niż praca w klubie ze striptizem?

– Nie sądzę – odparła drżącym głosem. – Mężczyźni, którzy tam przychodzą, przynajmniej nie ukrywają swoich oczekiwań. Przy nich czuję się o niebo bezpieczniej niż przy tobie!

Luis lekko odchylił głowę, zupełnie jakby się spodziewał ciosu. Gdy po chwili przemówił, w jego głosie wyraźnie słychać było chłodną ironię.

– Twoja uczciwość robi wrażenie. W takiej sytuacji najlepiej będzie, jeśli odwiozę cię do Londynu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy Emily drżącą dłonią wsunęła klucz do zamka, za plecami słyszała basowy pomruk silnika samochodu. Tylko się nie odwracaj, przykazała sobie

w myślach i zacisnęła zęby. Skup się na tym cholernym zamku, wejdź do środka i zapomnij o Luisie Cordobie oraz jego propozycji.

W końcu udało jej się otworzyć drzwi i chwiejnym krokiem weszła do obskurnego przedpokoju. Momentalnie otoczył ją smród zatęchłego, wilgotnego powietrza i rozgotowanych warzyw. Emily odruchowo wstrzymała oddech, mijając drzwi do mieszkania pana Lukacsa.

– To pani, panno Jones?

Zamarła na trzecim stopniu schodów, a po sekundzie wahania cicho wbiegła na górę.

Brzydził ją dom, w którym musiała mieszkać, ale przynajmniej nie była od nikogo zależna. Nie chciała rezygnować z samodzielności. Minęła brudny korytarz, przeskoczyła nad mokrą, ciemną plamą niewiadomego pochodzenia na poszarzałej wykładzinie, otworzyła drzwi do swojego pokoju i schroniła się w środku. Jak zwykle starała się ignorować wszechobecny zapach stęchlizny i podeszła do szafy.

Była już spóźniona do pracy, a zatem musiała się pospieszyć. Ściągnęła z wieszaka czarną sukienkę, zdjęła rajstopy i właśnie zdejmowała bluzkę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Panno Jones?

Emily zeszywniała i nerwowo zerknęła na drzwi. Dzięki Bogu, wchodząc, odruchowo obróciła pokrętło zamka. Nagle usłyszała ciężki oddech pana

Lukacsa, który najwyraźniej nasłuchiwał odgłosów z pokoju, i dopadły ją wyrzuty sumienia. Przecież to był tylko nieszkodliwy samotny mężczyzna w średnim wieku. Nie miał z kim rozmawiać i właściwie zasługiwał na współczucie. Nieważne, że tak często niepokoiło ją świdrujące spojrzenie jego małych oczu...

– Panno Jones, jest tam pani?

Emily w absolutnej ciszy zdjęła bluzkę z wieszaka. Miała nadzieję, że gospodarz zaraz sobie pójdzie. Na palcach podeszła do krzywej komody, zastanawiając się, jak bezszelestnie wyjąć bieliznę. Górna szuflada była wypaczona, więc przy wysuwaniu należało ją nieco unieść i mocno szarpnąć...

W tym samym momencie Emily zamarła. Szuflada z bielizną wydawała się lekko uchylona i wystawały z niej majtki i ramiączka od stanika. Dobrze pamiętała, że wychodząc, starannie uporządkowała swoje rzeczy.

Na dźwięk chrobotania klucza w zamku oblał ją zimny pot. Tylko jedna osoba miała dostęp do jej pokoju. Jak w zwolnionym tempie ujrzała, że drzwi się uchylają, a do pokoju wkrada się otyły, zwały mężczyzna.

– Panie Lukacs? – wychrypiała, chwytając bluzkę, którą sekundę wcześniej odłożyła. Przycisnęła do siebie skrawek materiału i cofnęła się o krok. – Co pan robi?

– Panno Jones... – W jego maleńkich rozbieganych oczkach dostrzegła niepokój. – Myślałem, że pani nie ma...

Jej serce waliło jak oszalałe, poziom adrenaliny błyskawicznie wzrósł.

– Jak to? – spytała drżącym głosem. – Skoro myślał pan, że mnie nie ma, jakim prawem wdarł się pan do mojego pokoju? – Mimowolnie zerknęła na szufladę z bielizną. – Nie wolno panu wchodzić tutaj i grzebać w moich rzeczach!

Gospodarz oderwał wzrok od twarzy Emily i skierował spojrzenie na jej piersi.

– Chyba nie muszę przypominać, jak bardzo zalega pani z czynszem – syknął i niepewnie przestąpił z nogi na nogę. – Co mi tu pani będzie mówić o swoich prawach...

W jego słowach pobrzmiwała ukryta groźba. W przepoconej koszuli, z łysiejącą czaszką porośniętą resztkami tłustych włosów prezentował się po prostu beznadziejnie i Emily mogłaby uzalić się nad nim, gdyby nie była do tego stopnia wytrącona z równowagi.

– Przepraszam za opóźnienie. Właśnie idę do pracy, żeby spłacić panu część długu...

– Tylko część? Mhm... – Wbił świdrujący wzrok w jej nagi brzuch. – Uważam się za rozsądnego człowieka. W świetle pani trudności finansowych

moglibyśmy dojść do porozumienia. Myślę, że oboje bylibyśmy usatysfakcjonowani...

Uniósł głowę i wtedy Emily dostrzegła w jego oczach pożądanie. Momentalnie zrobiło jej się niedobrze.

– Nie – sprzeciwiła się cicho, z wysiłkiem. Pan Lukacs zagradzał jej drogę do wyjścia, nie miała którędy uciec. Był zbyt masywny, żeby mogła z nim walczyć, więc postanowiła blefować. Wyprostowała się i przemówiła donośnym, stanowczym głosem dyrektorki szkoły baletowej. – Nie, to wykluczone. Dopilnuję, żeby jak najszybciej otrzymał pan pieniądze. Teraz proszę wyjść.

Pan Lukacs poruszył szczęką, jakby chciał zaprotestować, ale w końcu doszedł do wniosku, że nic nie wskóra i wycofał się jak niepyszny. Emily odczekała, aż zamkną się za nim drzwi i dopiero wtedy usiadła na łóżku. W lustrze na szafie widziała swoją twarz – poszarzały owal z dwiema ciemnymi plamami zamiast oczu.

– Niemożliwe... – Kiki zamarła, wytrzeszczając oczy. – Naprawdę wpakował się do twojego pokoju, kiedy byłaś rozebrana?

– Przecież ma własny klucz. – Emily pokiwała głową i wypiła łyk kawy. – Z pewnością już nieraz grzebał w mojej szufladzie z bielizną.

– Zboczeniec – mruknęła Kiki z obrzydzeniem. – Uch, okropieństwo. Wiem, że ten pokój jest tani, ale naprawdę powinnaś poszukać czegoś innego. – Zeskoczyła z blatu w kuchni w Larchfield i sięgnęła po słoik ze słodkim kremem.

– Masz rację – odparła przygnębiona Emily i zacisnęła dłonie na kubku. – Po prostu nie stać mnie na nic lepszego. Skąd mogłam wiedzieć, że właściciel ma takie upodobania? Poza tym w Londynie jest naprawdę strasznie drogo.

– Pewnie przyjechałaś tutaj w ciemno, co? – Kiki wpatrywała się w nią z uwagą. – Źle ci się układało w domu?

– Pokłóciłam się z tatą – wyznała Emily. Uważała Kiki za przyjaciółkę, ale nigdy nie rozmawiały na tematy osobiste. Gdyby zaczęły, Kiki wkrótce zorientowałaby się, że Emily nieustannie kłamie. – Mama zachorowała i umarła, a następnego dnia po pogrzebie... – umilkła. – Po prostu nie mogłam dłużej przebywać przy ojcu po tym, co zrobił.

– I teraz na pewno nie wrócisz właśnie przez to – dodała Kiki domyślnie. Emily spuściła wzrok. Ojciec zdradzał jej matkę, miał dziecko z nieprawego łoża i oszukiwał wszystkich wokół siebie. Na dodatek oczekiwał, że i ona będzie kłamała.

– Nie wrócę – oświadczyła z mocą. – To nie wchodzi w grę.

– Chciałabym ci jakoś pomóc, ale zwyczajnie brakuje nam pieniędzy, żeby płacić ci za lekcje. Strasznie mi przykro.

– Nie pracuję tu dla pieniędzy – zapewniła ją Emily. – Dzięki zajęciom baletu jeszcze nie oszalałam.

– Więc mamy jeszcze jeden ważny powód, żeby nie zamykać domu kultury – podsumowała Kiki ze smutnym uśmiechem. – I co teraz zrobisz? Nie możesz mieszkać pod jednym dachem ze zbrojeńcem. Jeśli nie zaczniesz godziwie zarabiać, ten człowiek...

– Mam ofertę lepiej płatnej pracy. – Emily popatrzyła przez okno na duży czarny samochód, który zaparkował za ogrodzeniem. – Mój szef w „Różowym Flamingu” zaproponował mi posadę tancerki.

– Tancerki? – Kiki wydawała się wstrząśnięta. – Jak rozumiem, nie masz na myśli baletu. Och, Emily, nie wolno ci tego zrobić! Chyba się nie zgodziłaś, prawda?

– Powiedziałam, że o tym pomyślę. – Emily nie mogła opanować drżenia rąk. – Wierz mi, wcale nie chcę zarabiać na życie tańcem na rurze, tylko jaki mam wybór? Dostawałabym dwa albo trzy razy tyle, ile dostaję za barem.

Głośne pukanie sprawiło, że obie podskoczyły.

– Co jest? – krzyknęła Kiki niepewnie.

Drzwi się otworzyły i Emily wstrzymała oddech z wrażenia. Na progu stanął Luis, wyraźnie odprężony i zadowolony z siebie. Wydawał się tu tak samo nie na miejscu, jak słonecznik na Syberii.

– Ja jestem – odparł w odpowiedzi na pytanie Kiki. Miał na sobie szare spodnie i blad różową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, jakby zaledwie przed sekundą zrzucił marynarkę i krawat. – Liczyłem na to, że zastanę tu pannę... Jones.

– Wasza książęca mość! – Zarumieniona z emocji Kiki dygnęła. – Przepraszam, ale nie wiedziałam...

Luis wpatrywał się jednak w Emily, nie zwracając uwagi na jej przyjaciółkę.

– Coś się stało? – spytał.

– Nie, nic – zaprzeczyła Emily i nerwowo dopiła kawę. – Wszystko w porządku.

– Może pani zechciałaby mi powiedzieć coś więcej? – Luis przeniósł wzrok na Kiki.

– Ma problemy ze swoim gospodarzem – wyznała Kiki, spoglądając ze skrucą na Emily. – Ten facet jest naprawdę obrzydliwy, a od pewnego czasu zakrada się do jej pokoju...

– Kiki! – syknęła Emily.

– I co? – Luis spojrział na Emily z zainteresowaniem.

– Mniejsza z tym – bąknęła. – Co ty... Co pan tutaj robi?

– Szukam pani. – Oparł się o framugę i uśmiechnął się.

– Kiki, czy mogłabyś... – poprosiła Emily przez zaciśnięte zęby.

– Nie, niech pani Odiah zostanie – przerwał jej Luis bez wahania – To, co mam do powiedzenia, dotyczy także jej. Wygląda na to, że powinna o czymś wiedzieć.

Emily poczuła się tak, jakby ziemia usuwała jej się spod stóp. Ten drań najwyraźniej gotów był ją zdemaskować. Czyżby się chciał w ten sposób zemścić za to, że go odrzuciła?

– Luis... Wasza książęca mość... – wyszeptała chrypliwie, posyłając mu błagalne spojrzenie.

– Chodzi o naszą poranną rozmowę. – Luis skierował wzrok na Kiki. – Pani Odiah, jestem pod wrażeniem pani pracy z dziećmi i młodzieżą. Wczorajszy występ był rewelacyjny i dzięki niemu przypomniałem sobie o mojej małej bratanicy na Santosie. Uwielbia balet, ale jest bardzo nieśmiała. W trakcie przedstawienia przyszło mi do głowy, że mogłaby ogromnie skorzystać na indywidualnych lekcjach u panny Jones.

Emily jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej przyjaciółce odebrało mowę.

– Zaraz, zaraz – wyjąkała po chwili oszołomiona Kiki. – Chce pan, żeby Emily pojechała z panem na Santosę i uczyła księżniczkę baletu?

– Tak jest – potwierdził Luis z uśmiechem.

– Ale przecież... – Kiki ponownie zabrakło słów.

– To nie wchodzi w grę – wtrąciła Emily. – Nie wyjadę stąd.

– Co takiego? – Kiki była pewna, że się przesłyszała. – Chyba żartujesz, Emily? Przecież nareszcie masz okazję rozwiązać wszystkie problemy! – Z radosnym uśmiechem położyła ręce na jej ramionach. – Wreszcie wyniesiesz się z tego parszywego pokoiku, w którym musisz mieszkać, i powiesz swojemu odrażającemu szefowi, żeby wsadził sobie w rurę taniec na rurze! – Zbyt późno ugryzła się w język. – Przepraszam, wasza książęca mość.

– Taniec na rurze? – Luis spojrział na Emily.

– Nie zgodziłam się przecież... – wyszeptała z zakłopotaniem.

– Ale zamierzałaś, bo nie masz wyboru. – Kiki wydawała się wniebowzięta.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy. – Popatrzyła na Luisa.

Emily czuła się jak łódeczka niesiona wartkim prądem prosto ku gigantycznemu wodospadowi.

– Ale co z dziećmi? – spytała rozpaczliwie. – Co z Larchfield?

– Przemyślałem tę sprawę. – Luis oderwał się od framugi i sięgnął do kieszeni. – Wiem, że utrata tak wartościowej nauczycielki będzie dla centrum kultury poważnym ciosem, pani Odiah, dlatego postanowiłem dofinansować ośrodek. Może dzięki temu uda się pani znaleźć kogoś na miejsce panny Jones?

Na widok wypisanej na czeku kwoty Kiki wytrzeszczyła oczy niczym postać z kreskówki. Emily westchnęła cicho. Musiała przyznać, że Luis zrobił ją w konia, całkowicie i bezapelacyjnie. Naturalnie, zauważyła, że zanim wypowiedział jej fałszywe nazwisko, na chwilę zamilkł. Groźba zdemaskowania wisiała w powietrzu, więc Emily musiała ulec szantażowi.

– Nie zapominacie o czymś? – prychnęła z irytacją. – Jeszcze na nic się nie zgodziłam.

– Mam nadzieję, że pani to zrobi. – Luis uśmiechnął się leniwie. – Pomyśli pani o tej sprawie w drodze do mieszkania. Musimy zabrać pani rzeczy i znaleźć inny lokal, im szybciej, tym lepiej. Zaczekam w samochodzie.

Wyszedł, a Emily odniosła wrażenie, że w pokoju pociemniało. Rozentuzjasmowana Kiki podeszła do niej i ją objęła.

– Emily, przecież to sytuacja jak z bajki! – oznajmiła z zachwytem w głosie. – Zjawił się bogaty książę, który chce cię uratować! W sekundę rozwiązał wszystkie twoje problemy! I w dodatku jest niesamowicie przystojny!

Niesamowicie przystojny, pomyślała Emily. No właśnie.

Niestety.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Santosa to atlantycki archipeląg złożony z dwunastu wysp rozsianych po oceanie w odległości pięćdziesięciu kilometrów od wybrzeża Brazylii. Krystalicznie czyste wody, śnieżnobiały piasek na plażach i doskonale zachowana portugalska architektura kolonialna sprawiają, że największa i jedyna zamieszкана wyspa należy do najpiękniejszych zakątków na ziemi”.

Emily zamknęła przewodnik, który Kiki kupiła jej na pożegnanie, i stłumiła ziewnięcie. Siedziała wygodnie, z nogami opartymi na skórzanym fotelu naprzeciwko, myśląc o tym, że latanie prywatnym odrzutowcem Oscara nie było tak komfortowe jak podróż na pokładzie luksusowego samolotu księcia Santosa. Wbrew sobie zamknęła oczy i zasnęła.

Siedzący naprzeciwko Luis popatrzył znad gazety na pogrążoną we śnie Emily i pomyślał, że w gustownym ubraniu, które kupił, nie zważając na jej protesty, wcale nie wygląda na dziewczynę, tylko na atrakcyjną młodą kobietę.

– Przed chwilą rozmawiałem z Josefina z biura prasowego. – Luis drgnął, słysząc tuż przy uchu przyciszony głos Tomasa. – Powiadomiła odpowiednio dobranych dziennikarzy o naszym przybyciu, więc możemy liczyć na życzliwe powitanie.

– Innymi słowy, jutro rano mieszkańcy Santosy dowiedzą się z pierwszych stron gazet, że przyleciałem z nowym „obiektem westchnień”? – mruknął półgłosem Luis, żeby nie obudzić Emily.

– Właśnie na to liczymy, proszę pana – wyszeptał Tomas. – Zaprezentujemy ludziom pogodną opowieść o miłości, żeby odciągnąć ich uwagę od choroby pańskiego ojca. Czy w związku z tym mógłby się pan zachowywać jak wrażliwy, honorowy i troskliwy następca tronu?

Luis oparł głowę o zagłówek i zaśmiał się z goryczą.

– Powiedz mi, Tomas, czy nie czujesz niesmaku? – spytał ze smutkiem.

– Niesmaku, proszę pana? – zdziwił się sekretarz. – Cóż w tym niesmacznego?

– Chodzi o to, że muszę kłamać, aby sprawiać wrażenie człowieka uczciwego. A żeby wyglądać na honorowego, muszę wykorzystywać ludzi. – Luis westchnął ciężko.

– Obawiam się, że to reguła wpisana w pańską pozycję. – Tomas wyjrzał przez okno. – Robi pan to dla monarchii. Dla Santosy. Hm, wygląda na to, że już podchodzimy do lądowania, więc pora budzić pannę Balfour.

Emily wyprostowała się w fotelu i zamrugła powiekami. Uświadomiła sobie, że ktoś dotyka jej ramienia.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Luis cicho i cofnął rękę. – Pora wstawać.

Pospiesznie potarła oczy dłońmi. Nic dziwnego, że przespała lądowanie, po dwóch niespokojnych nocach w hotelu w końcu w samochodzie zasnęła jak kamień.

– To jest Santosa? – upewniła się, nieporadnie rozpinając pas bezpieczeństwa.

– Tak. Pojedziemy samochodem do pałacu – wyjaśnił Luis i się odsunął.

Emily zerwała się z miejsca i ruszyła przodem do wyjścia. Uderzyło w nią parne powietrze i poczuła się tak, jakby weszła do sauny. Uderzenie gorąca w połączeniu z oszołomieniem po głębokim śnie sprawiły, że krew odpłynęła z jej głowy. Emily zachwiała się na wysokich obcasach, które włożyła, aby wyglądać dojrzałej i bardziej światowo. Nerwowo złapała za poręcz i w tej samej chwili Luis objął ją w talii.

– Wszystko w porządku?

– Zbyt gwałtownie zerwałam się z miejsca. – Odetchnęła głęboko. –
W dodatku ten skwar...

Ostrożnie zeszli na płytę lotniska. Luis przez cały czas podtrzymywał Emily, a u stóp schodków wolną ręką rozpiął jej guziki żakietu.

– Co ty wyprawiasz? – wykrzyknęła.

– Chłódzę cię – wyjaśnił zwięźle. – Jesteś zbyt rozgrzana.

Zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, przytulił ją do siebie i pocałował, jednocześnie wsuwając dłoń pod jej żakiet. Odruchowo zamknęła oczy i wbrew sobie z przyjemnością poddała się pieścizocie. Pocałunek był stanowczy, a ona nie miała siły, żeby się przeciwstawić. Wszystko to trwało raptem kilkadziesiąt sekund. Luis nagle drgnął, po czym odsunął się i wyprostował.

Za jego plecami rozległy się kroki Tomasa, który podszedł do nich z gniewną miną.

– Zapraszam państwa do samochodu – powiedział, nie ukrywając irytacji.

W samochodzie panował przyjemny chłód. Emily usiadła i natychmiast odwróciła się do okna, żeby nie patrzeć na Luisa, który zajął miejsce jak najdalej od niej. Jej najgorsze obawy potwierdziły się zaledwie kilka minut po wylądowaniu i teraz nie miała pojęcia, jak sobie poradzić w nowej sytuacji.

– Nie powinienem był tego robić – odezwał się Luis nieoczekiwanie. – Wybacz.

Spojrzała na niego zaskoczona. Spodziewała się, że Luis ponownie zademonstruje całkowity brak skruchy, tak jak w hotelu...

– Daj spokój – powiedziała ostrożnie. – To była także moja wina... – W ostatnim momencie ugryzła się w język. Chciała powiedzieć, że ona także

tego pragnęła, ale w ten sposób tylko przypieczętowałaby swój los. – Zaraz po przebudzeniu trudno mi trzeźwo myśleć.

Ponownie zapadła cisza. Emily nagle uświadomiła sobie, że nadal kurczowo ściska przewodnik, więc szybko rozluźniła zdrętwiałe palce i otworzyła książkę. Chciała skupić na czymś uwagę, żeby odpędzić upokarzające myśli. Luis pocałował ją przecież tylko dlatego, że akurat znalazła się pod ręką, a on się nudził i czuł się sfrustrowany. Studiowanie historii Santosy powinno skutecznie odwrócić jej uwagę od natrętnych rozważań o przystojnym księciu i jego poczynaniach.

„Portugalscy podróżnicy odkryli Santosę przypadkowo, kiedy usiłowali powrócić do domu z wyprawy po nowym świecie. Ich statki, obciążone ładunkiem drewna cezalpiniowego, rozbiły się o skaliste urwiska na południowo-zachodnim brzegu wyspy. W wyniku katastrofy wielu żeglarzy poniosło śmierć. Jednym z rozbitków był hrabia Henrique Cordoba, ekstrawagancki arystokrata, niepoprawny hulaka i królewski faworyt, który wyruszył na wyprawę, aby uciec wierzycielom i uchronić się przed skandalami, towarzyszącymi jego licznym romansom z żonami wysoko postawionych dworzan”.

Emily pomyślała, że skłonność do romansowania to najwyraźniej cecha rodzinna, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Przewróciła kartkę

w przewodniku i nagle wstrzymała oddech, spoglądając prosto w znajome, złociste oczy na zdjęciu.

„Królewska rodzina współcześnie – głosił podpis pod fotografią. – Król Marcos Fernando i jego synowie, następca tronu książę Henrique oraz książę Luis”.

Uświadomiła sobie, że zdjęcie pochodzi sprzed kilku lat. Luis wyglądał młodziej, a jego twarz wydawała się szczerą i wolną od cynizmu. Uśmiechał się szeroko, bez ironii, i prezentował się nieporównanie atrakcyjniej od brata.

Emily przyjrzała się Ricowi. Był bardziej śniady niż Luis i wydawał się od niego poważniejszy, wręcz surowy.

– Co czytasz?

– Nic takiego. – Usiłowała zamknąć książkę, ale Luis był szybszy.

Odebrał jej przewodnik, zerknął na okładkę, a następnie zajrzał na stronę, którą oglądała. Zacisnął usta na widok zdjęcia i po chwilowym wahaniu przeczytał na głos:

„Obecny monarcha, książę Marcos Fernando, cieszy się ogromną, wręcz niespotykaną popularnością wśród poddanych. Jego najstarszy syn Henrique, znany jako Rico, jest od urodzenia przygotowywany do objęcia tronu po ojcu, a obywatele Santosy bardzo go lubią i cenią”.

– Co za pech – mruknął uszczypliwie. – To chyba niezbyt aktualne wydanie, co?

– Dostałam tę książkę od Kiki.

– Bardzo rozsądny upominek. Najwyraźniej uznała, że marny będzie ze mnie przewodnik, ale i tak postaram się stanąć na wysokości zadania. Spójrz, zbliżamy się do bram pałacu, siedziby jednej z najpopularniejszych rodzin królewskich na świecie. Niegdyś – dodał z naciskiem.

Popatrzyła przez okno, ignorując jego zaczepny i drwiący ton. Samochód zwolnił przed bramą, a stojący pod nią, uzbrojeni po zęby strażnicy w hełmach służbiście zasalutowali. Emily zerknęła w górę i zauważyła ostre zęby opuszczanej kratownicy.

– Mieszkasz tutaj jak w więzieniu – zażartowała niepewnie.

– Witamy w królewskim pałacu – odparł Luis bez cienia uśmiechu na ustach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Josefina odłożyła gazetę na stół i zaśmiała się niewesoło.

– Raczej nie taki wizerunek chcemy utrwalić – powiedziała.

– Tomas wyszedł całkiem nieźle – zauważył Luis obojętnym tonem, spoglądając na wielkie zdjęcie na pierwszej stronie gazety, przedstawiające jego pocałunek z Emily Balfour przy schodkach do samolotu. Świadkiem

zdarzenia był Tomas, ponuro wpatrzony w księcia. – Moim zdaniem wygląda jak mąż stanu.

– Za pozwoleniem, o panu nie da się tego powiedzieć – westchnął Tomas i zrobił zbolaną minę. – A przecież rozmawialiśmy. Usiłujemy przedstawić pana w nowym świetle, jako człowieka odpowiedzialnego i...

– Troskliwego – dopowiedział Luis. – Wiem. Na tym zdjęciu daję dowód swojej opiekuńczości. Pannie Balfour było za gorąco, więc pomagałem jej nieco się ochłodzić.

– Rozbierając ją na płycie lotniska? – Tomas uniósł brwi.

– Ściągając z niej żakiet – sprecyzował Luis i ostentacyjnie odwrócił gazetę, żeby się zapoznać z wynikami ostatniej rundy meczów piłki nożnej.

– Ustaliliśmy, że nie będzie pan... – zaczął Tomas.

Luis powoli złożył gazetę. Czuł, że jeszcze chwila, a wybuchnie.

– Nie planowałem tego, Tomas – wycedził.

– Przykro mi, że muszę się wtrącać w pańskie prywatne sprawy... – Josefina złączyła dłonie, a Luis zapatrzył się na jej długie, szkarłatne paznokcie. Przypominały mu unurzane we krwi szpony drapieżnego ptaka.

– Doprawdy? – mruknął. – Byłem pewien, że to uwielbiasz, przecież dzięki temu zrobiłaś karierę. W gruncie rzeczy jesteś taka sama jak wielu dziennikarzy z brukowców i cały santosański rząd.

– Musi pan zrozumieć, że prowadzenie się następcy tronu ma znaczący wpływ na politykę. – Josefina uśmiechnęła się ze skruchą. – Trzeba przekonać mieszkańców Santosy, że odrzucił pan rozwiązły tryb życia, zrezygnował z kochanek, drogich samochodów i szalonych imprez. Jeśli tego nie zrobimy, pięćsetletnia historia królewskiego rodu Cordobów może się zakończyć na naszych oczach. Ludzie pragną króla, którego będą mogli podziwiać. Chcą monarchy z prawdziwego zdarzenia.

– Może powinniśmy poszukać takiego przez ogłoszenie w prasie – burknął Luis, kolorując flamastrem bikini tegorocznej Miss Santosy, która wpatrywała się w niego obojętnym wzrokiem z trzeciej strony gazety.

Josefina wstała i podeszła do księcia rozkołysanym krokiem.

– Nie mówimy o pracy na etat – upomniała go. – W grę wchodzi pańskie dziedzictwo, a także przyszłość.

Luis otworzył usta, żeby zaprotestować, ale po namyśle dał sobie spokój. I tak nic nie mogło zmienić faktu, że tron należał się Ricowi, Luis wcale nie chciał rządzić. Perspektywa przejęcia władzy przerażała go, czuł się niczym skazaniec.

Potarł twarz dłonią i posłał Josefinie lodowaty uśmiech.

– Oczywiście, dziękuję za przypomnienie. Co mam zrobić?

„Nadszedł czas, byś się ożenił – powiedziała królowa, a przystojny, młody książę słuchał jej w skupieniu. – Jutro wieczorem zjawią się na balu wszystkie najpiękniejsze panny z najlepszych rodów w królestwie. Będziesz musiał wybrać sobie żonę z ich grona”.

Emily umilkła i uniosła książkę, żeby dziewczynka zobaczyła rysunek. Luciana siedziała na drugim końcu ławki pod oknem, wpatrzona w twarz Emily. Ostrożnie wyciągnęła szyję, aby lepiej widzieć, i nieco się zbliżyła. Emily wskazała palcem ilustrację.

– To książę – wyjaśniła łagodnie. – Prześlicznie ubrany, w stroju na przyjęcie. Przystojny, prawda?

– Jak stryj Luis. – Luciana z powagą skinęła głową. – Stryj Luis jest księciem Santosy. I jest przystojny.

Emily wyprostowała się raptownie.

– Tak, tak, to prawda – przytaknęła i ponownie zajrzała do książki. – Ale wracajmy do Jeziora łabędziego. Na czym stanęliśmy? Już mam. „Książę Zygfryd był ponury i zły. Wcale nie miał ochoty żenić się z dziewczyną wskazaną przez królową, nawet jeśli była elegancka, dobrze ułożona i ze szlacheckiego rodu. Pragnął ożenić się z miłości. Królowa zrobiła jednak smutną minę.

– Jesteś księciem, mój synu, i możesz korzystać z licznych przywilejów, ale prawo wyboru małżonki do nich nie należy. Przykro mi, ale nie możesz też kierować się głosem serca. Musisz...”

– Przestać marudzić, dać sobie na wstrzymanie z szybkimi samochodami, odstawić szampana i robić, co ci każę, bo ja wiem lepiej – dokończył znajomy głos od progu pokoju.

Emily drgnęła i omal nie upuściła książki.

– Cześć, Luciano, co tam u ciebie? – spytał Luis. Ubrany był w jasnoniebieską koszulkę i spłowiałe džinsy. – Nie widziałem cię od niepamiętnych czasów.

Luciana grzecznie zeskoczyła na podłogę i dygnęła, ale widać było, że czuje się niepewnie. Emily zdążyła się zorientować, że dziecko jest zmuszane do ukrywania bólu i smutku za formalną etykietą.

– W takim razie z pewnością chciałbyś porozmawiać z bratanicą – zauważyła.

Luis zrobił wielkie oczy. Wydawał się nieco wytrącony z równowagi, jednak po chwili wziął się w garść. Emily pomyślała z satysfakcją, że trafiła w dziesiątkę.

– Co to za książka? – spytał uprzejmie.

– Opowieści ze słynnych baletów – szepnęła Luciana, wykręcając palce. – Dostałam od Emily.

– Tak naprawdę to prezent od stryjka Luisa – sprostowała Emily. – Tak jak inne rzeczy.

– Dziękuję, stryjku.

– Bardzo proszę. – Luis uniósł brwi i spojrzał na Emily. – Inne rzeczy?

– Akcesoria baletowe – wyjaśniła. – Trykoty, rajstopy i baletki.

– Prawdziwe, nie tylko do zabawy – dodała Luciana z dumą. – Dla tancerek, takich jak Emily.

– Rozumiem. – Obrzucił uważnym spojrzeniem Emily ubraną we fioletowy kardigan i krótką spódniczkę. – Więc zamiast przyzwoitej odzieży kupiłaś coś takiego, kiedy poszłaś na zakupy.

– Tak – przyznała z wahaniem. – Ale to chyba nie jest problem, skoro mam tu uczyć baletu. Chodź, Luciano, zejdziemy do sali gimnastycznej na pierwszą lekcję.

– Zaczekaj – powiedział Luis, kiedy były już w drzwiach.

– Tak?

– Czy ktoś już pokazał ci salę do ćwiczeń? – Podszedł bliżej. – Jak rozumiem, Tomas zlecił wyposażenie jej w poręczce dla Luciany?

– Tak, dziękuję. Są idealne.

– A twój pokój? Podoba ci się?

Roześmiała się na myśl o apartamencie ze słonecznym balkonem.

– Wiesz, w jakich warunkach mieszkałam wcześniej. Tak, bardzo mi się podoba. Mój wystawny apartament jest bez zarzutu. Jeśli to już wszystko...

– Nie, to jeszcze nie wszystko. – Zatrzymał się tuż przed nią i oparł o framugę. – Chciałem zaprosić cię na kolację dzisiaj wieczorem.

– Czy to naprawdę zaproszenie, czy raczej książęcy rozkaz? – Uniosła brodę.

– A czy moja odpowiedź miałaby wpływ na twoją decyzję? – Uśmiechnął się zdawkowo.

– Owszem.

Westchnął i przygarbił się, jakby nagle poczuł wielkie zmęczenie.

– W takim razie wszystko jedno, pod warunkiem że się zgodzisz.

– Dobrze, pójdę z tobą na kolację – powiedziała cicho. – Skoro zapraszasz mnie jako człowiek, a nie jako władca, chętnie pójdę. Razem z Lucianą, rzecz jasna. – Emily zauważyła zdumienie w oczach Luisa. Jeszcze bardziej zdziwiona była dziewczynka u jej boku. – Będzie fajnie – powiedziała i wzięła Lucianę za rękę. – Przebierzemy się w coś ładnego, a stryjek Luis zabierze nas na kolację.

Dziecko nieśmiało skinęło głową, a Emily ponownie spojrzała na Luisa.

– Będziemy gotowe o szóstej – oznajmiła.

- Excelente. – Uśmiechnął się, lecz w jego głosie wyraźnie usłyszała ironię.
- Wygląda na to, że mam randkę z dwiema pięknymi dziewczynami. To nie lada osiągnięcie, nawet jak na mnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kierownik restauracji „Fioletowa Papuga” omal nie dostał palpacji serca, gdy w jego lokalu pojawił się następca tronu. O tej porze w restauracji panował tłok, niemal przy każdym stoliku ustawiono podwyższone krzeselka dla dzieci, a maluchy zajadały palcami serwowane przez uśmiechnięte kelnerki smakołyki. Luis wzdrygnął się na widok plastikowych palm, wśród których wisiały pluszowe papugi, małpy i węże. Zazwyczaj wybierał na randki nieco inne lokale.

Z kwaśną miną przypomniał sobie, że przecież to nie randka, tylko kolejny obowiązek narzucony mu przez biuro prasowe.

Zerknął na Emily, która zasiadła naprzeciwko niego przy stoliku na werandzie. Włożyła na spotkanie krótką granatową sukienkę z bawełny, zapewne jedną z wielu zamówionych przez niego jeszcze w Londynie. Musiał przyznać, że Emily prezentowała się rewelacyjnie. Była młoda i śliczna, a koński ogon tylko dodawał jej uroku.

Emily popatrzyła na Lucianę i ostrożnie uśmiechnęła się do Luisa. Pomyślał, że gdyby wiedziała, co najchętniej zrobiłby z nią teraz, nie zachowywałaby się tak spokojnie.

– Dziękuję, że nas tutaj przywiozłeś – odezwała się uprzejmym tonem. – Panuje tu bardzo miła atmosfera.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

– Zdecydowałaś już, na co masz ochotę, słoneczko? – Emily opuściła wzrok na Lucianę, a dziewczynka wskazała zdjęcie w menu.

– Świetnie – pochwaliła ją Emily. – W takim razie proponuję, żebyśmy zamówili rodzinną porcję dla nas wszystkich. Nie masz nic przeciwko temu?

– Spojrzała pytająco na księcia.

– Skąd.

Ruchem ręki przywołał jedną z ładnych kelnerek, która natychmiast przybiegła na jego skinienie i dygnęła, uśmiechając się przymilnie. Emily z niesmakiem odwróciła głowę ku morzu. Dopiero teraz dostrzegła pływające nieopodal dwie szczupłe surferki w skąpych kostiumach i pomyślała z irytacją, że zapewne bardziej interesują one księcia niż własna bratanica. Aby nie wsłuchiwać się w jego aksamitny głos, kiedy składał zamówienie po portugalsku, Emily z uśmiechem skierowała wzrok na Lucianę. Dziewczynka była wyraźnie spięta, siedziała bardzo sztywno, z dłońmi na kolanach i opuszczonym wzrokiem. Niewątpliwie nauczono ją

nienaganych manier, zapomniano jednak wtajemniczyć ją w sztukę czerpania radości z życia.

– Nie patrz w tamtą stronę – szepnęła do niej Emily. – Na drzewie za strykiem siedzi jakieś stworzenie i patrzy na nas z góry.

Luciana natychmiast uniosła głowę i spojrzała niespokojnie na plastikową palmę. Na widok pluszowej małpy wyglądającej spomiędzy gałęzi, wyraźnie się odprężyła i uśmiechnęła.

– Gdybym miała być zwierzęciem, najchętniej zostałabym małpką – ciągnęła Emily. Postanowiła mówić, co jej ślina na język przyniesie, byle tylko nie słyszeć, jak Luis flirtuje z kelnerką. – Na pewno mają ubaw, całymi dniami huśtając się na drzewach. A ty? Jakim zwierzęciem chciałabyś zostać?

Luciana myślała przez chwilę.

– Leao. – Obnażyła drobne, białe ząbki i uniosła dłonie jak łapy z pazurami.

– Lew! – Emily z zachwytem klasnęła w dłonie. Nie spodziewała się, że nieśmiała i płochliwa jak kociak dziewczynka pragnie być potężnym drapieżnikiem. – Mogę sobie wyobrazić ciebie jako lwa – wyznała szczerze.

– Masz bardzo piękne i mocne zęby. Jak myślisz, kim mógłby być stryjek Luis?

Męską, szowinistyczną świnią, pomyślała ze złością, kiedy obie wpatrywały się w niego.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że rozmawiacie o mnie? – spytał, kiedy kelnerka dygnęła i odeszła.

– Zastanawiamy się, jakimi zwierzętami mogliby być ludzie. – Emily odchrząknęła. – Luciana chciałaby zostać lwem.

– Znakomity wybór – pochwalił, jednocześnie unosząc brwi ze zdziwienia.

– Zdecydowałaś się na króla zwierząt. A co z Emily? Kim pragnęłaby zostać?

Luciana nieśmiało wskazała małpkę.

– Och, Emily. – Luis zacmokał z dezaprobatą. – Obawiam się, że w żadnym razie nie mogłabyś być małpą. Małpy są niezdyscyplinowane i nieokrzesane. Przykro mi, ale powinnaś jeszcze raz przemyśleć swój wybór.

– W takim razie sama nie wiem. – Emily zaśmiała się nerwowo. – Luciano, jak myślisz?

Luciana zmarszczyła czoło, a po chwili spojrzała na Luisa i powiedziała coś po portugalsku. Jej stryj skinął głową i odpowiedział w tym samym języku. Po krótkiej wymianie uwag oboje wbili wzrok w Emily.

– Co się stało? – spytała z udawanym niepokojem.

– Zdecydowaliśmy, jakim powinnaś być zwierzęciem. – Leniwie odsunął menu. – Luciana zasugerowała gazelę, a ja zaproponowałem flaminga, bo podczas wykonywania ćwiczeń baletowych trochę przypominasz

długonogiego ptaka. Ostatecznie jednak uznaliśmy, że żadne z tych zwierząt nie pasuje do ciebie. Luciana, powiedz jej, co postanowiliśmy.

– *Cavalo! Cavalo!*

– *Cavalo?* – Emily niepewnie powiodła wzrokiem po ich twarzach. – Nie wiem, co to takiego, ale nie podoba mi się brzmienie tego słowa.

– Koń.

– Koń? – powtórzyła, udając oburzenie. Luciana przycisnęła dłonie do ust i chichotała z entuzjazmem. – Uważacie, że jestem podobna do konia?

Luis pochylił się nad stołem i pogłaskał jej koński ogon.

– Wyglądasz jak młody i piękny koń czystej krwi. Jesteś delikatna, wrażliwa, a przy tym silna, wspaniale zbudowana i tryskasz energią.

Dotknął jej policzka, ale zanim zdążyła zareagować, powróciła kelnerka z kolacją i Luis cofnął rękę.

– Emily? – zagadnęła ją Luciana po angielsku. – Nie wymyśliłyśmy zwierzęcia dla stryjka.

– Rzeczywiście. – Emily udała, że łapie się za głowę. – Skoro pochodzicie z tej samej rodziny, może i stryjek powinien być lwem?

Luis upił łyk piwa, po czym odstawił szklanekę i pokręcił głową.

– Luciana jest córką Rica – zauważył z powagą. – To ona zasługuje na tytuł króla zwierząt, nie ja.

Po tych słowach zapadła kłopotliwa cisza.

– No to tygrys – podsunęła Luciana po chwili. – Czy stryjek mógłby być tygrysem?

Emily objęła ją i lekko uścisnęła.

– Doskonały pomysł. Stryjek Luis może być wielkim dostojnym tygrysem.

Czujnym, drapieżnym i pięknym. Tak, to zwierzę do niego pasowało.

– Lepiej bierzmy się do jedzenia – zakończył dyskusję Luis. – Danie wygląda wspaniale.

Z entuzjazmem zajadali smażone królewskie krewetki, kurczaka w czosnku, warzywa w cieście i frytki. Na początku Luciana wręcz zeszywniała z przerażenia na myśl o tym, że mogłaby coś jeść palcami, ale, zachęcana przez Emily, stopniowo oswoiła się z tą myślą. Wkrótce wszyscy troje najedli się do syta i zapatrzyli na piękny zachód słońca nad oceanem.

– Było pyszne – westchnęła zadowolona Emily. – Muszę przyznać, że mieliście rację, przyrównując mnie do konia. Zjadłam tak dużo, jakbym ważyła kilkaset kilogramów.

– Faktycznie, kolacja była nad podziw udana – przytaknął Luis i pomyślał, że towarzystwo również.

Przez cały posiłek Emily wymyślała rozmaite zabawy ze zwierzętami w roli głównej, a potem zdecydowali, jakiego chcieliby być koloru, jaką rośliną

i marką samochodu. W krótkim czasie Luis dowiedział się o bratanicy więcej niż przez ostatnich pięć lat.

– Chyba powinniśmy położyć małą spać – powiedziała Emily, zauważywszy, że Lucianie kleją się oczy.

Luis doszedł do wniosku, że wcale nie ma ochoty kończyć tego miłego wieczoru.

– Może miałabyś ochotę na kawę? – spytał ostrożnie.

Emily spojrzała na niego z zaskoczeniem, po czym przeniosła wzrok na Lucianę. Dziewczynka właśnie zasypiała, z głową przytuloną do jej ręki. Emily delikatnie posadziła sobie małą na kolanach i mocno ją objęła.

– Sama nie wiem – zawahała się. – Luciana cudownie się bawiła, szkoda byłoby spieszyć się z powrotem. Poza tym z przyjemnością napiję się kawy.

– Nic jej nie jest? – Luis popatrzył na Lucianę.

– Nic a nic – odparła Emily półgłosem. – Spójrz, mocno zasnęła. Na pewno nic jej się nie stanie, choć jej opiekunka, seniora Costa, może mieć zastrzeżenia.

Luis prychnął ze zniecierpliwieniem.

– Nie obchodzi mnie opinia seniora Costy – oznajmił. – Poza tym mam na myśli ogólny stan Luciany...

– Chcesz wiedzieć, jak sobie radzi po stracie rodziców? – domyśliła się.

– Zasadniczo właśnie o to mi chodzi.

– Nie wiem – westchnęła Emily. – Jest bardzo nieśmiała, ale mam wrażenie, że to nie jedyny powód jej wycofania.

Luis ledwie zauważył, że kelnerka postawiła na stole szklany dzbanek z kawą.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pamiętaj, że dopiero ją poznałam i raczej nie jestem specjalistką od dzieci, nawet jeśli uważasz inaczej. – Uśmiechnęła się do niego.

Luis zmarszczył brwi. Był zbyt skupiony, żeby zwrócić uwagę na jej żart.

– Sądzisz, że ma zaburzenia?

– Nie większe niż każde inne dziecko, które tak wcześnie straciło rodziców.

– Umilkła, a Luis w milczeniu patrzył, jak delikatnie głaskała ciemny lok Luciany. – Ile miałeś lat, kiedy zmarła twoja matka?

Zamarł na wspomnienie hotelowego pokoju w Anglii. Doskonale pamiętał tamtą scenę. Stał nad wanną i patrzył, jak jego matka unosi się na wodzie, a włosy falują wokół jej bladej, nieruchomej twarzy.

Gwałtownie potrząsnął głową, żeby dojść do siebie.

– Znacznie więcej niż Luciana – mruknął zniecierpliwiony. – Czternaście.

– I jak sobie z tym poradziłeś?

Luis ostrożnie napełnił kawą dwie filiżanki.

– Uprawiałem sport i odkryłem dziewczyny. – Nie dodał, że wraz z dziewczynami odkrył znieczulające właściwości seksu, który na krótką

chwile tłumił inne emocje, takie jak smutek, samotność i żal. – Żadna z tych opcji nie wydaje się odpowiednia dla Luciany, więc nie wiem, co mają do rzeczy moje doświadczenia.

– Nie rozmawiałaś z nikim o swoich problemach? – nie ustępowała.

– *Deus*, skąd. – Wzdrygnął się z niedowierzaniem na samą myśl o tym.

– Uważasz to za absurd?

Luis westchnął w duchu. W restauracji było znacznie ciszej niż godzinę temu, większość rodzin z młodszymi dziećmi już wyszła. Teraz przy stolikach zasiedli surferzy, którzy pokrzepiali się piwem po całym dniu na słońcu.

– W naszej rodzinie byłoby to niedopuszczalne. – Wypił łyk gorącej kawy.

– Wszyscy o nazwisku Cordoba mogą mówić tylko to, co wypada. Wśród nas nie ma miejsca na uczciwość i ty tego nie zmienisz.

– Na pewno może być inaczej – zauważyła łagodnie. – Na wiele rzeczy nie masz wpływu, z pewnością nie przywrócisz życia rodzicom Luciany, ale jesteś w stanie jej pomóc w radzeniu sobie ze skutkami tragedii.

– W jaki sposób? – Luis miał wrażenie, że jego usta nagle napełniły się popiołem, więc szybko przełknął kolejny łyk kawy.

– Przede wszystkim możesz rozmawiać z nią o tym zdarzeniu i o jej rodzicach. Niech się otworzy. Luciana wie, że nie wolno jej mówić tego, co myśli, i dlatego zamknęła się w sobie.

Luis odwrócił się i wydał wargi. Emily Balfour prawie nic nie wiedziała o nim ani o jego bliskich, i najlepiej byłoby, gdyby nigdy nie poznała prawdy. Była na to zbyt dobra, zbyt uczciwa i szczerą. Nie zdołałaby pojąć, dlaczego rozmowa z Lucianą o tym, co się stało, nie wchodzi w grę.

– Nie rozumiesz – powiedział głuchym tonem.

Zamierzał wyjaśnić, o co mu chodzi, kiedy nagle jego uwagę przykuła sylwetka na plaży przed werandą. Luis nie miał wątpliwości, że to paparazzo. Momentalnie zerwał się z miejsca. Kompletnie zapomniał o Josefinie i jej kontaktach z prasą, dlatego przez moment był sobą, otworzył się. Popełnił niewybaczalny błąd. Może i dobrze, że pojawili się paparazzi, bo nie wiadomo, co by powiedział i co zrobił.

– Pora iść – oznajmił.

Wziął Lucianę na ręce i ruszył do wyjścia, nie zważając na wyraźnie poirytowaną Emily. Nie miał czasu na wyjaśnienia, a poza tym co mógłby jej powiedzieć? Że to wyjście do restauracji było pomysłem Josefiny, mistyfikacją na potrzeby dziennikarzy? Dobrze, że fotoreporterzy nie zdążyli zrobić ani jednego zdjęcia.

Czuwający przy drzwiach ochroniarze błyskawicznie ruszyli za całą trójką do samochodu, który już czekał przy chodniku. Emily z kamienną twarzą wsiadła do auta tuż za Luisem i Lucianą.

Gdy ruszyli, Luis uśmiechnął się z satysfakcją. Zdał się na intuicję i tym razem nie zrobił czegoś wyłącznie dla siebie.

Czuł się z tym zaskakująco dobrze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Narastają obawy o stan zdrowia króla...”

Nagłówek mówił sam za siebie, lecz na pierwszej stronie gazety widniało też wielkie zdjęcie bladego jak kreda króla Marcosa Fernanda. Monarcha pólleżał na kanapie samochodu, który odwoził go z prywatnej kliniki.

Luis długo wpatrywał się w fotografię, a widząc, że Josefina koniecznie chce coś powiedzieć, z rozmysłem zabrał się do powolnego czytania artykułu. Nie dotarł jednak do końca tekstu, gdyż Josefina nie wytrzymała.

– To naprawdę fatalne wieści, proszę pana.

– Nie da się ukryć – przyznał i odłożył gazetę. – Dziękuję za troskę. Oczywiście przekażę ojcu twoje życzenia rychłego powrotu do zdrowia.

Przynajmniej miała dość przyzwoitości, żeby się zarumienić.

– Dziękuję, to bardzo uprzejmie z pana strony. Rzecz jasna, zdrowie króla to sprawa najwyższej wagi – dodała nieszczerze. – Muszę jednak dbać o długoterminowy interes monarchii. Doprawdy, źle się stało, że choroba króla została nagłośniona na tym etapie naszej pracy. Liczyliśmy na to, że pańskie wczorajsze wyjście z panną Balfour...

– I z księżniczką Lucianą – dodał Luis. – Nasza wspólna kolacja nie była romantyczną randką.

– Tym lepiej! – Bransolety Josefiny zabrzęczały, gdy uniosła rękę. – Stworzyliśmy całkowicie nowy wizerunek następcy tronu. To doskonały sposób na odwrócenie uwagi opinii publicznej od kwestii królewskiego zdrowia. Trzeba ludziom pokazać, jak bardzo jest pan troskliwy! Fotoreporterzy otrzymali wytyczne dotyczące respektowania wieku księżniczki i jej wrażliwości. Ostatecznie jednak nie dał im pan szansy na zrobienie choćby jednego dobrego zdjęcia. I właśnie dlatego został pan wspomniany tylko w ostatnim akapicie artykułu o królu – dodała z przygnębieniem.

– Naprawdę? Nawet tego nie zauważyłem. – Pochylił się nad gazetą. – Faktycznie. „Jedyną osobą, która nie wydaje się przygnębiona stanem zdrowia króla, jest następca tronu, książę Luis. Zamiast spędzić wieczór przy boku cierpiącego ojca, wybrał się na radosną kolację z bratanicą, księżniczką Lucianą. Książę, znany playboy, po raz pierwszy pojawił się publicznie z córką zmarłego brata. Jego nagle zainteresowanie dzieckiem może mieć związek z panną Emily Balfour, nową nauczycielką tańca dziewczynki. To właśnie ją ścisnął czule na płycie lotniska, tuż po powrocie z Anglii”. – Luis odłożył gazetę. – Aż trudno uwierzyć, jak cyniczni bywają dziennikarze.

– Na tym polega ich praca. Każdy z nas ma obowiązki.

– Tyle tylko, że oni z własnej woli są bezlitosnymi pasożytami. Ty sama postanowiłaś zarabiać na życie manipulacjami i naginaniem prawdy, ja jednak... – Westchnął ciężko. – Tak czy owak, żałuję, że pokrzyżowałem twój genialny plan. Czy masz inne pomysły na poprawienie mojego katastrofального wizerunku?

Josefina odetchnęła z ulgą.

– Przede wszystkim musi się pan udać w odwiedziny do ojca...

– Już u niego byłem – przerwał jej. – Dzisiaj rano spędziłem z nim ponad godzinę.

Przez większość wizyty król Marcos Fernando spał, a Luis tylko siedział przy łóżku, wpatrzony w bladą jak pergamin twarz ojca.

– Niewiele nam przyjdzie z pańskiej prywatnej wizyty. – Josefina wydawała się zdumiona, że Luis nie rozumie tak oczywistej prawdy. – Przed odwiedzinami należy powiadomić prasę, postawić na nogi fotoreporterów, ściągnąć ekipy telewizyjne... Poza tym musi pan być przygotowany do krótkiej przemowy przed kamerami. Ludzi należy wesprzeć na duchu w trudnych chwilach. Uważam, że naszym istotnym atutem jest księżniczka Luciana. Uroczystości jubileuszowe to doskonała okazja do wykorzystania jej w naszej kampanii.

– Nie! – Luis zerwał się z miejsca, oburzony tą propozycją. – Luciana jest za mała i stanowczo zbyt wrażliwa. Nie zdołałaby sobie poradzić z dziennikarzami i nie powinniśmy jej narażać na kontakty z prasą.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, kiedyś musi to nastąpić – zaoponowała Josefina. – Nie może pan traktować jej jak bajkowej królowej. Wkrótce zmuszona będzie opuścić wieżę, w której pan ją zamknął. Księżę Rico zawsze pragnął, aby jego córka dorastała, rozumiejąc swoje obowiązki. Wiem, że to będzie trudne dla wszystkich, ale szczerze uważam, że Luciana tylko na tym skorzysta. Już teraz wydaje się blisko związana z panną Balfour, a ponieważ jest ona świetnie wyszkoloną baletnicą...

– Zaraz, zaraz... – Luis pokręcił głową. Do czego zmierzała Josefina? – Co właściwie sugerujesz?

– W ramach obchodów jubileuszu przewidujemy występy Brazylijskiego Baletu Narodowego. – Josefina popatrzyła na niego z przyganą. – Księżniczka Luciana i panna Balfour mogłyby również pojawić się na scenie.

Luis nie wierzył własnym uszom.

– A jeśli panna Balfour nie ma na to ochoty?

– Z pewnością zechce wystąpić – zapewniła go Josefina z przekonaniem. – Pozwoliłam sobie skontaktować się z dyrektorką jej szkoły baletowej w Londynie, żeby sprawdzić, jakie nadzieje z nią wiązano. Wygląda na to, że panna Balfour była niezwykle utalentowaną tancerką. Uznano ją za gwiazdę

roku. Po ostatnim roku nauki miała zagwarantowaną pracę jako primabalerina, lecz choroba matki stanęła na drodze jej kariery. Brazylijski balet prezentuje Giselle na kontynencie, udało mi się zdobyć dla pana bilety na sobotni spektakl. Może zaprosi pan pannę Balfour, a potem zaproponuje jej występ na jubileuszu?

– Och, rewelacyjnie! – zawołała Emily z zachwytem, kiedy wraz z Lucianą wykonała bardzo prosty układ. Opracowała go specjalnie dla niej, żeby pokazać uczennicy podstawowe figury. – Jesteś urodzoną baletnicą!

Luciana nieśmiało pochyliła głowę, lecz Emily dostrzegła w lustrze jej uśmiech.

– A teraz pora na odpoczynek – dodała. – Później spróbujemy popracować nad palcami u stóp. Chyba nie jesteś zbyt zmęczona po wczorajszym wieczorze?

– Nie, ani trochę nie jestem zmęczona. – Luciana energicznie pokręciła głową i złapała Emily za rękę.

Obie usiadły na ławce pod ścianą i napiły się wody z plastikowych butelek.

– Baletnice muszą pić dużo wody podczas ćwiczeń – wyjaśniła Emily. – I powinny się zdrowo odżywiać, żeby mieć dużo siły.

– Wczoraj w restauracji odżywialiśmy się zdrowo? – spytała zaciekawiona Luciana.

– Niezupełnie, ale wczoraj była wyjątkowa okazja – odparła Emily szczerze.

– Tak, wiem. – Luciana pokiwała głową. – To nie były moje urodziny ani Gwiazdka, ani urodziny dziadka króla, ale i tak czułam, że to wyjątkowa okazja.

– To prawda – zgodziła się Emily.

Ona również odniosła wrażenie, że okazja była wyjątkowa. Przypomniała sobie, z jaką uwagą Luis wpatrywał się w jej oczy...

Zerwała się z ławki, aby o tym nie myśleć, i podeszła do odtwarzacza płyt CD.

– Chyba pora wrócić do tańca – postanowiła. – Skoro opanowałaś już niektóre figury, możemy przejść do bardziej złożonych układów.

Uniosła rękę, żeby nacisnąć guzik, kiedy otworzyły się drzwi do sali gimnastycznej i na progu stanęła kobieta o surowej twarzy, w sztywnym od krochmalu stroju niani. Była to seniora Costa.

– Nadszedł czas, aby jej wysokość udała się na obiad i popołudniową drzemkę – oświadczyła wyniośle, a następnie podeszła, wzięła Lucianę za rękę i pomaszerowała z nią do wyjścia. – W przyszłości, seniora Balfour, proszę o odprowadzanie księżniczki do jej pokoju punktualnie o pierwszej. W żadnym razie nie wolno naruszać ustalonego porządku dnia.

– Przykro mi... – powiedziała Emily, choć tak naprawdę ani trochę nie żałowała zlekceważenia narzuconego przez nianię grafiku. W gruncie rzeczy było jej przykro wyłącznie z powodu Luciany.

Wyłączyła odtwarzacz i usiadła na podłodze, żeby zmienić obuwie. Z torby wyciągnęła zniszczone, stare baletki, które zabrała ze sobą jeszcze z Balfour Manor. Przypomniała sobie, że na ostatnim roku nauki tańczyła w nich w balecie Śpiąca Królewna. Zawsze uważała, że przynoszą jej szczęście. Wsunęła stopę w lewy pantofel i mocno dopchnęła palce do końca. Poczowała ból, ale nie przejęła się nim. Nigdy nie bała się bólu, w końcu cierpienie w naturalny sposób wiązało się z baletem, tak samo jak bąble, krwawiące rany i nagniotki.

Usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Odwróciła się, choć i bez tego wiedziała, kto przyszedł.

– Niestety, minąłeś się z Lucianą – powiedziała do Luisa i ponownie skupiła uwagę na pantoflu. – Seniora Costa zabrała ją na obiad i drzemkę.

– Przyszedłem do ciebie.

Jego głos brzmiał całkowicie neutralnie, więc dlaczego poczuła się tak, jakby jej serce było gumową piłką, która gwałtownie obija się o zębra?

– Po co? – Mocno zawiązała tasiemki.

Rozległy się kroki i już po chwili Luis stanął za jej plecami.

– Żeby cię spytać, czy zechcesz się wybrać...

– Nie sądzę – przerwała mu pośpiesznie.
– Jeszcze nie usłyszałaś, co zamierzam powiedzieć.
– To bez znaczenia. – Pieczołowicie ukryła węzeł, żeby nie rzucał się w oczy. – Lepiej, jeśli będziemy się kontaktować wyłącznie na gruncie zawodowym. Możesz mi podać drugą baletkę?

Pochylił się i podniósł z podłogi baletkę, ale nie od razu wręczył ją Emily.

– To obuwie profesjonalnej baletnicy – zauważył, obracając but w dłoniach. – Chciałem zaprosić cię na spektakl baletowy.

Emily podniosła wzrok.

– Baletowy? – powtórzyła zaintrygowana.

– Tak, w wykonaniu Brazylijskiego Baletu Narodowego. – Zmarszczył brwi, ciągle wpatrzony w baletkę. – Myślałem, że baletki są miękkie, a ta jest twarda jak kamień. Taniec w czymś takim musi być bolesny.

– Owszem, ale można przywyknąć. Po jakimś czasie tancerki przestają zwracać uwagę na ból. Co to za balet?

Luis uśmiechnął się półgębkiem i wręczył jej baletkę.

– Wydaje mi się, że w tytule jest imię dziewczyny – oświadczył obojętnie.
– Zaczyna się na G.

– Giselle? – podpowiedziała z ożywieniem i włożyła drugi but.

– Tak, chyba tak – potwierdził. – Mam rozumieć, że jednak się zgadzasz?

Opuściła wzrok, koncentrując się na tasiemkach.

– Tak – mruknęła cicho, a potem wstała i ostrożnie wspięła się na palce. –
Chętnie z tobą pójdę.

Odsunął się od poręczy i ruszył do drzwi.

– To dobrze – powiedział rzeczowo. – Przedstawienie odbędzie się
w przyszłą sobotę. Wcześniej przyślę tu kogoś, żeby zaopatrzył cię
w odpowiedni strój. Do zobaczenia przed wylotem.

W przyszłą sobotę? – pomyślała i chwyciła się poręczy, nagle ogarnięta
atakami irracjonalnej paniki.

– Nie zobaczymy się wcześniej? – Z trudem zapanowała nad drżeniem
głosu. – Wyjeżdżasz?

Zatrzymał się na progu i odwrócił.

– Nie, będę na miejscu, ale uważam, że masz słuszość. Powinniśmy
utrzymywać wyłącznie zawodowe relacje. W przyszłą sobotę chętnie się
dowiem, jakie postępy robi Luciana.

Wyszedł, nie czekając na jej odpowiedź.

Luis odszedł szybkim krokiem. Ile dni dzieliło go od przyszłej soboty?

Miał siedem dni na to, żeby pozbierać myśli. Powinien rzucić się w wir
pracy, pamiętając, dlaczego złożył Ricowi tę nieludzką obietnicę. Musiał też
za wszelką cenę przestać rozmyślać o nadzwyczajnych stopach Emily.

Doszedł do wniosku, że jeśli nie zdoła, pozostanie mu jedynie upić się do nieprzytomności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dotyk pędzla na jej twarzy był lekki niczym muśnięcie skrzydła motyla, ale Emily i tak poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach.

Od siedmiu dni z coraz większym entuzjazmem rozmyślała o wyprawie do teatru. W końcu nadeszła sobota i Emily cieszyła się tak bardzo, że z trudem mogła usiedzieć na fotelu, poddając się zabiegom wizażystki.

Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatni raz była w Covent Garden. Wybrała się tam w ostatnich dniach grudnia przed śmiercią mamy, kiedy pojechały do Londynu na zakupy i przedstawienie Dziadka do orzechów, na które chodziły co roku od wczesnego dzieciństwa Emily.

Otworzyła oczy i zatrzepotała rzęsami ze zdumienia. Twarz w lustrze była prawie nie do poznania. Na powiekach Emily pojawiły się atrakcyjne, przydymione barwy, które Eloisa, specjalistka od makijażu, wyczarowała kredką i cieniami.

– Wspaniale! – zachwyciła się Emily. – Wyglądam...

– Sexy. – Eloisa ledwie mówiła po angielsku, ale to jedno słowo wypowiedziała z ogromnym przekonaniem.

– Chciałam powiedzieć, że dorośle... – sprostowała Emily, a Eloisa tylko wzruszyła ramionami i sięgnęła po szminkę.

Wkrótce Emily wstała i popatrzyła na swoje odbicie w dużym lustrze. Z przyjemnością poprawiła ciemnoczerwoną, jedwabną sukienkę i ostrożnie dotknęła wysadzanego brylantami grzebyka, który podtrzymywał jej włosy. Nie przypominała już anorektyczki, dzięki staraniom pałacowego szefa kuchni odzyskała atrakcyjne kształty.

– Pani idzie do balet? – Eloisa zaczęła energicznie zbierać przybory. – *Fabuloso...* – westchnęła z zazdrością. – *Qual bale?*

Jaki balet? – powtórzyła w myślach Emily i otworzyła usta, żeby odpowiedzieć. W tej samej sekundzie uświadomiła sobie, że zupełnie nie pamięta.

Po godzinie spędzonej w teatralnej łoży Luis pomyślał, że zaraz umrze z nudów. Emily robiła, co mogła, żeby zainteresować go przedstawieniem i dyskretnie wyjaśniała, co się dzieje na scenie, lecz żadną miarą nie był w stanie połączyć się w akcji. Po prostu nie widział związku pomiędzy historią o zakochanej wieśniaczce a niedorzecznymi podskokami i wygibasami tancerzy.

Zapadł się w fotelu i ze znużeniem potarł oczy. Może gdyby zwracał większą uwagę na słowa Emily niż na aksamitne brzmienie jej głosu, lepiej

rozumiałby spektakl. W jej towarzystwie nie był jednak w stanie na niczym się skupić i ten fakt zaczynał go wprawiać w poważne zakłopotanie.

Odkąd wysiedli z samochodu, który przywiózł ich tu z lądowiska dla helikopterów, Luis wyraźnie czuł, że Emily jest spięta. Gdy wchodzili po marmurowych schodach do gmachu opery, wziął ją pod rękę, lecz miał wrażenie, że Emily jest zdystansowana, zupełnie jakby otoczyła się niewidzialnym polem siłowym. Dobrze, że przynajmniej fotoreporterzy nie byli tego świadomi, kiedy z entuzjazmem pstrykali jedno zdjęcie po drugim. Josefina w końcu miała dostać to, na czym jej tak bardzo zależało.

Dyskretnie zerknął na Emily lekko pochyloną w fotelu. Wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Miał ochotę unieść rękę i dotknąć jej włosów, starannie ułożonych specjalnie z okazji wyjścia do teatru.

Żeby oderwać myśli od Emily, Luis dyskretnie wyjął z kieszeni telefon komórkowy i spojrzał na ekran. Do zakończenia spektaklu pozostała jeszcze godzina. Westchnął cicho i pomyślał, że w takiej sytuacji może równie dobrze zająć się przeglądaniem skrzynki mejlowej.

Scena tonęła w łagodnej poświacie imitującej światło księżyca w pełni. Zamyślona Emily nawet nie drgnęła, gdy publiczność na parterze wstawiała z obitych czerwonym aksamitem foteli. Spektakl był rewelacyjny i wzruszający, nic dziwnego, że tancerzy nagrodzono hucznymi owacjami.

Teraz ponownie kłaniali się zauroczonej publiczności, a białe sukienki balerin kołysały się niczym chmury. Emily od wczesnego dzieciństwa pragnęła występować w balecie, chciała być nieskazitelna niczym lalka przebrana w biały tiul i aksamitne pointy. Całymi latami intensywnie ćwiczyła panowanie na ciałem, dyscyplinowała je surowo, żeby osiągnąć perfekcję. W końcu jej się to udało, lecz ponieważ nie pojęła, że podczas nauki zapominała o tym, co najważniejsze. Praca tancerki nie polegała wyłącznie na precyzji, doskonałości ani na noszeniu przynoszących szczęście baletek. Baletnicy muszą się kierować ludzkimi emocjami, a tymczasem kiedy u jej matki rozpoznano nowotwór złośliwy, ona celowo bezlitośnie stłumiła w sobie uczucia. Dzięki temu Emily przetrwała przyjazd Mii oraz wiadomość o zdradzie i zakłamaniu ojca. Tylko blokada emocji pozwoliła jej spokojnie i cicho opuścić Balfour Manor dzień po pogrzebie matki. Z tego samego powodu Emily pogrzebała swoje szanse.

Podniosła się z fotela i kątem oka zauważyła, że Luis również nie klaskał, gdyż pochłonięty był stukaniem w klawisze na klawiaturze telefonu komórkowego. Wydawał się bezbrzeżnie znudzony.

Po chwili popatrzył na nią. Podczas przedstawienia ukradkowo rozpiął kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli i poluzował czarny jedwabny krawat. Emily pomyślała, że wygląda wyjątkowo atrakcyjnie.

– Nareszcie. – Uśmiechnął się krzywo. – Już myślałem, że spędzę tu resztę życia. Ty też chyba nie umierałaś z zachwytu, co?

– Przeciwnie, moim zdaniem spektakl był niepowtarzalny – odparła z przekonaniem.

– Doprawdy? – Uniósł brwi. – To się doskonale składa, bo mam dla ciebie propozycję.

Pochylił się i zabrał z fotela szal, a następnie wprawnym ruchem zarzucił go na ramiona Emily. Poczowała, jak palce Luisa muskają jej skórę i przeszył ją dreszcz. Gdy opuszczali królewską lożę, Emily wpadła w panikę, gdyż Luis położył dłoń na jej plecach.

– Co robisz? – spytała niepewnie, a on natychmiast opuścił rękę.

– Bez obaw, nie zamierzam cię zgwałcić – mruknął znużonym tonem. – Może tego nie zauważyłaś, ale publiczność przestała zwracać uwagę na scenę i część ludzi patrzy teraz tylko na nas.

Emily obejrzała się przez ramię i głęboko odetchnęła. W teatrze paliły się wszystkie światła, ludzie odkładali lornetki, zbierając się do wyjścia, ale część zgromadzonych nie odrywała wzroku od królewskiej loży. Emily zmarszczyła brwi i ponownie spojrzała na Luisa.

– Czy możemy już iść? – poprosiła cicho.

– Zaczekaj. – Twarz Luisa skryta była w cieniu kotary, ale Emily widziała, że jego oczy rozbłysły. – Najpierw muszę cię o coś zapytać. W tym roku

obchodzimy srebrny jubileusz mojego ojca i z tej okazji odbędą się specjalne uroczystości. Przewidziany jest między innymi przyjazd Brazylijskiego Baletu Narodowego i chcielibyśmy, żebyście obie, ty i Luciana, wystąpiły razem z tancerzami.

Emily rozchyliła wargi, żeby się zaśmiać z gorzką ironią, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. W jej gardle nagle urosła wielka gęź.

– Wykluczone – wyszeptała po chwili. – Obawiam się, że nie mogę. A teraz naprawdę chciałabym już iść.

W drzwiach pojawiło się dwóch mężczyzn w garniturach i ze słuchawkami na uszach, co oznaczało, że byli to pracownicy ochrony. Luis zawahał się, ale skinął głową i oboje ruszyli za obstawą w kierunku głównego holu.

Na dole schodów dla VIP-ów ochroniarze otworzyli drzwi i Emily zamrugała oślepiona mocnym światłem. Samochód czekał zaledwie kilka metrów dalej, lecz poczuła się zagubiona i zdezorientowana. Dookoła roilo się od ludzi, panował nieprzyjemny zgiełk.

Luis od razu dostrzegł jej niepokój i zareagował w ułamku sekundy. Objął ją ramieniem i przytulił, a następnie poprowadził. Jednocześnie uniósł wolną rękę, żeby pomachać gapiom, ale Emily zorientowała się, że Luis pragnie jednocześnie osłonić ją przed fleszami aparatów fotograficznych i ciekawskimi spojrzeniami natrętów.

Kiedy zbliżali się do limuzyny, odruchowo uniosła głowę i w tej samej chwili Luis spojrzał jej w oczy.

Potem nie wiedziała, jak to się stało ani kto wykonał pierwszy ruch. W jednej chwili wyciągała rękę do otwartych drzwi auta, w następnej Luis trzymał jej twarz w swoich dłoniach, a ich usta stykały się w mocnym, namiętym pocałunku.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Moment później oboje siedzieli już na tylnej kanapie samochodu i odjeżdżali, ścigani entuzjastycznym wrzaskiem zachwyconego tłumu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wieczór był oszałamiająco piękny. Wracali na Santosę pilotowanym przez Luisa helikopterem i oboje z zachwytem patrzyli na zachód słońca nad czystym turkusowym oceanem.

Luis mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy tuż przed śmiercią Rico również podziwiał krajobraz. Jeśli tak, miał przedsmak raju, do którego z pewnością trafił.

Emily siedziała obok niego, spięta i milcząca. Po opuszczeniu budynku opery prawie się do siebie nie odzywali. Luis zerknął na nią z ukosa i poczuł, że dłużej nie wytrzyma tej okrutnej pokusy przypominającej mu o przyjemnościach, których się wyrzekł.

– Przepraszam.

Jej cichy głos zabrzmiał wyraźnie i czysto w słuchawkach Luisa.

– To ja powinienem cię przeprosić – zauważył z ciężkim sercem. –

Z jakiego powodu czujesz się winna?

– Zachowałam się niewdzięcznie. – Pochyliła głowę. – Odrzuciłam twoją wspaniałomyślną propozycję.

Zrozumiał, że chodziło jej o występ.

– Właściwie dlaczego nie chcesz zatańczyć na scenie? – zainteresował się.

– Sądziłem, że sprawię ci przyjemność.

– To nie wchodzi w grę. – Emily wzruszyła ramionami. – Po prostu nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz? Co oczywiste, nie wziąłem tej propozycji z sufitu, musiałem cię przeświecić. Zdaniem dyrektorki twojej szkoły, byłaś najbardziej utalentowaną tancerką na roku.

– Byłam – powtórzyła. – Czas przeszły jest jak najbardziej uzasadniony.

Lecieli nad białą piaszczystą plażą, na której znaleziono wrak helikoptera Rica, obmywany oceanicznymi falami u podnóża stromej skarpy. Gdy zbliżali się do miejsca katastrofy, Luis z trudem opanował drżenie głosu.

– I co się zmieniło?

– Ja się zmieniłam. – Zaśmiała się. – Tak naprawdę byłam wtedy jeszcze dzieckiem, niemądrym i naiwnym. Potem dorosłam i cała magia baletu

prysła. To tak jak wtedy, gdy przestaje się wierzyć w bajki. – Odwróciła głowę, ale Luis widział, że mocno zacisnęła dłonie na kolanach. – Znam kroki, układy, a niekiedy tańczę tak doskonale, jakbym nadal była baletnicą. Dzisiaj jednak uświadomiłam sobie, że to nie ma nic wspólnego z prawdą. W moim tańcu brakuje pasji, nie czuję tego, co robię.

Luis przypomniał sobie, co Oscar powiedział mu przez telefon. Podkreślił, że Emily niczego nie robi na pół gwizdka, zawsze się angażuje sercem i duszą.

Urwisko wyrosło tuż przed nimi, więc Luis gwałtownie skierował helikopter w górę i dopiero po chwili wyrównał lot.

– Nie wmawiaj mi, że brakuje ci uczuć – odezwał się. – Jesteś pełna namiętności, wiem o tym doskonale...

– Boję się! – krzyknęła.

Luis wzdrygnął się i skulił, zupełnie jakby ktoś uderzył go w brzuch.

– Boisz się mnie? – spytał z rozpaczą. – Deus, Emily...

– Nie. Nie! – Emily zacisnęła dłonie na kolanach. – Nie boję się ciebie, tylko samej siebie. Właśnie dlatego nie mogę. Przeraża mnie świadomość, że mogłabym uwolnić wszystkie uczucia, które kłębią się we mnie, bo wtedy nie poradziłabym sobie z nimi, przytłoczyłyby mnie...

Wielkie nieba, dlaczego tak się otworzyła przed Luisem?

Była pewna, że za moment spotka się z jego drwinami i pogardą.

Helikopter leciał coraz niżej, a to znaczyło, że zbliżają się do pałacu i za moment ponownie otoczą ją chłodni i obojętni mężczyźni w garniturach. Będzie musiała wrócić do wytwornego apartamentu, aby w samotności rozmyślać o Luisie.

Zamknęła oczy jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy sądziła, że wystarczy bardzo chcieć, aby życzenie się spełniło. Szybko zniżali lot i czekała na łagodny wstrząs towarzyszący lądowaniu.

Gdy płozy zetknęły się z trawą, otworzyła oczy i zatrzepotała rzęsami. Sądziła, że ujrzy rozległy, wypielegnowany trawnik przed pałacem, a tymczasem znajdowali się na leśnej polanie.

– Gdzie jesteśmy? – zdumiała się.

Luis ściągnął słuchawki i przyczesał włosy dłonią.

– Wybacz – szepnął. – Nie mogę latać. Nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa. Wkrótce zjawią się ochroniarze, polecisz z nimi.

– Nie – zaprotestowała szeptem. – Nie chcę bezpieczeństwa.

Drżała ze strachu i z emocji, kiedy spoglądali sobie w oczy.

– Czy wiesz, co mówisz? – Musiał się upewnić.

– Tak. – Odetchnęła głęboko. – Wiem doskonale.

Las był gęsty i mroczny, a kiedy Luis prowadził ją między drzewami, wśród koron rozbrzmiewały wieczorne śpiewy ptaków. Emily zawahała się, gdy

spod jej stóp uciekło w gęstwinę jakieś drobne zwierzę. Luis odwrócił się z niepewną miną.

– Wolalabyś wrócić? – zapytał.

– Nie.

Bez zastanowienia dotknął dłońmi jej policzków i pocałował ją w usta. Emily poczuła, że uginają się pod nią kolana, więc oparła się plecami o pień strzelistego drzewa.

Nagle Luis się cofnął.

– Nie przerywaj... – poprosiła łamiącym się głosem. – Luis... jeszcze...

– *Christo*, muszę... – Zacisnął zęby. – Jeszcze trochę i nie będziemy mogli stąd odejść. Za kilka minut na niebie zaroi się od helikopterów, które będą nas szukać, a ja nie chciałbym narażać moich ochroniarzy na nieprzyzwoite widoki. Byliby wstrząśnięci, widząc, jak się kochamy na leśnym runie.

Emily zachichotała, a on ponownie ujął jej twarz w dłonie.

– Czy na pewno właśnie tego pragniesz?

Oszołomiona Emily tylko skinęła głową, ale Luis nie potrzebował dodatkowej zachęty. Wziął ją za rękę i ponownie ruszyli przed siebie. W leśnej gęstwinie czuła się jak Czerwony Kapturek, tyle tylko, że była dorosła i już się nie bała wilka.

Wkrótce na ich drodze wyrósł wysoki mur. Luis podszedł do stalowej furtki i na moment puścił dłoń Emily, aby wystukać numer identyfikacyjny na małej, ukrytej klawiaturze. Furtka powoli się otworzyła.

– To dom, który widzieliśmy z helikoptera – zauważyła Emily.

Po chwili dotarli do niskiego, kamiennego budynku ze spadzistym dachem. Przed drzwiami Luis ponownie nacisnął kilka przycisków, a potem wprowadził Emily do środka.

Drgnęła, gdy drzwi samoczynnie zamknęły się za ich plecami, i powiodła wzrokiem po dużym ciemnym pokoju. W powietrzu unosił się zapach dymu z kominka.

– Boję się – wyszeptała, nim zdążyła ugryźć się w język.

Natychmiast zacisnęła zęby, ale nie mogła już cofnąć tego, co powiedziała. Luis powoli podszedł bliżej, wpatrując jej się w oczy.

– Nie masz się czego obawiać. – Kiedy przed nią stał, wydawał się niezwykle wysoki i potężny. Mocno zacisnął długie palce na jej drobnych dłoniach. – Możesz to przerwać w każdej chwili... kiedy tylko zechcesz.

– Nie. – Spojrzała mu w twarz. – Chcę tego, bardzo, ale boję się, bo nie wiem, co robić. A jeśli sobie nie poradzę? Jeśli nie jestem dostatecznie dobra?

Puścił jej dłonie i cofnął się o krok.

– *Deus, Emily!* – jęknął. – Czy nie widzisz, że ledwie nad sobą panuję?
Jesteś wyjątkowa i myślę tylko o tobie.

– Ale miałaś tyle pięknych kobiet, które świetnie potrafią zadowolić
mężczyznę. Wiedziały, co robić, żeby cię zaspokoić.

– Mówisz o tym, co było kiedyś – podkreślił z powagą. – Teraz wszystko
się zmieniło, liczymy się wyłącznie my dwoje. Wierz mi, nie musisz nic
robić. Jesteś fascynująca, uwielbiam wszystko, co jest z tobą związane.
Cudownie się poruszasz, oddychasz, mówisz...

Bardzo delikatnie chwycił ją za nadgarstki i skierował ku schodom.

– Bądź sobą – dodał. – To wystarczy. Nie przejmuj się techniką,
najważniejsza jesteś ty.

Schody zaprowadziły ich do przestronnego pomieszczenia na poddaszu.
Z okna roztaczał się widok na las i niebo, na którym wisiał sierp księżyca.

– Zamknij oczy – wyszeptał za jej plecami Luis, kiedy podeszła do szyby.

Posłusznie opuściła powieki, a wtedy oparł dłonie na jej biodrach i zaczął
ją bardzo delikatnie głaskać. Jego palce centymetr po centymetrze
wędrowały po ramionach i szyi dziewczyny, aż wreszcie dotarły do zamka
błyskawicznego sukienki. Luis rozsunął go bez pośpiechu, a Emily
przygryzła wargę, żeby stłumić jęk.

– Wszystko w porządku – wyszeptał. – Jesteś doskonała, nie masz się
czego obawiać...

– Nie mogę...

– Możesz, *querida*, możesz zrobić, co tylko zechcesz i kiedy przyjdzie ci na to ochota.

Rozpiął zamek na całej długości, aż do talii, a Emily wciągnęła brzuch, gdy duże wprawne dłonie Luisa głaskały ją po nagich plecach i wsuwały się pod delikatny atłas. Przytrzymała sukienkę na nagich piersiach, jednocześnie opuszczając głowę.

– Chcę cię widzieć.

Zamierzała zaprotestować, ale jej sprzeciw i tak niewiele by dał. Luis stanowczo odwrócił ją twarzą do siebie. Sądziła, że chwyci ją za ręce, żeby sukienka opadła na podłogę, lecz on opuszkami palców pogłaskał jej wargi.

– Jesteś wyjątkowa – powiedział krótko i złożył na jej ustach głęboki pocałunek.

Czuła, że traci panowanie nad sobą, kiedy drżącymi palcami rozpięła guziki jego koszuli, pragnąc jak najszybciej przytulić się do śniadej skóry.

Gdy wysunął grzebyk z włosów Emily, rozluźniła ręce i materiał osunął się z jej ramion, odsłaniając fragment piersi.

– Chyba pora się tego pozbyć. – Luis stanowczym ruchem ściągnął z niej sukienkę, która z cichym szelestem osunęła się na dywan.

Emily usłyszała, jak cicho syknął, i popatrzyła na niego niespokojnie. Było oczywiste, że bezskutecznie usiłował zapanować nad pożądaniem. Po chwili wahania chwycił Emily na ręce i przeniósł na łóżko.

Chłodna pościel przyjemnie studziła jej rozpalone ciało. Luis pochylił się i ponownie ją pocałował. Nie miała pojęcia, kiedy zdążył zrzucić ubranie, jednak był nagi, o czym się przekonała, gdy przywarł do niej całym ciałem. Odsunął się od niej tylko na chwilę, żeby się zabezpieczyć, a gdy był już gotowy, Emily otoczyła go nogami i stopili się w idealnie dopasowaną całość.

Spodziewała się bólu i na moment zamarła, jednak poczuła wyłącznie ulgę, która po kilku sekundach ustąpiła miejsca cudownej, wszechogarniającej słodyczy. Popatrzyła w szeroko otwarte z pożądania oczy Luisa. Wiedziała, że przekroczyli niewidzialną granicę i nie ma już odwrotu. Kochali się długo, niespiesznie, aż napięcie stało się nie do zniesienia. Nagle Luis znieruchomiał i oboje dali się ponieść ekstazie.

Gdy po dłuższej chwili opadli na zmiętą pościel, usiłując uspokoić oddechy, Emily wiedziała, że odtąd nic już nie będzie takie samo jak dawniej.

Na zewnątrz rozległ się warkot silnika śmigłowca. Było jasne, że muszą się ubierać. Luis zerwał się z łóżka i zaklął pod nosem, sięgając po rzeczy, które wcześniej rzucił na podłogę.

– Musimy się pospieszyć – mruknął z niezadowoleniem.

– Luis...

– Nie ma czasu do stracenia, lada moment wpadną tutaj królewskie siły bezpieczeństwa, żeby sprawdzić, czy nie porwali nas terroryści. Dlatego proszę cię...

Podniósł jej sukienkę i pochylił się z nią nad łóżkiem. Usiłował nie wdychać zapachu, którym przeniknął czerwony jedwab, gdyż wiedział, że w rezultacie mógłby stracić resztki silnej woli.

Emily usiadła na łóżku, przyciskając do ciała kołdrę, i wzięła sukienkę z jego rąk.

– Mam rozumieć, że nie będzie następnego razu, tak? – spytała z bólem. – Na tym koniec?

– Emily, wcale tego nie chcę. – Odruchowo zacisnął pięści. – Po prostu zasługujesz na znacznie więcej, niż mogę ci ofiarować.

– Nie jestem dzieckiem, Luis. – Wstała, ściskając w rękach zmiętą sukienkę. Na tle szkarłatnego jedwabiu twarz Emily wydawała się blada jak kreda. – Już nie. Nie oczekuję szczęśliwego zakończenia z bajki. Chcę tego, co mi przed chwilą dałeś. – Podeszła do niego zdecydowanym krokiem. –

Podoba mi się wszystko, czego dotąd nie rozumiałam. Po latach samokontroli i dyscypliny wiem wreszcie, do czego tak naprawdę służy ciało.

– Dotknęła dłonią jego nagiego torsu.

– Chodzi ci o seks bez zobowiązań? – Chciał, aby te słowa zabrzmiały ironicznie, lecz w jego głosie pobrzmiewała gorycz.

– Jeśli tak wolisz to ująć, bardzo proszę – odparła cicho. – Owszem, chcę seksu bez zobowiązań.

Ryk silników za oknem stawał się coraz donośniejszy. Luis wyjrzał, z trudem powstrzymując panikę i rozpacz. Wybacz mi, Rico, pomyślał przygnębiony. Wybacz i spróbuj zrozumieć... Nie złamałem obietnicy...

Przed pogrzebem podszedł do trumny brata i przysiągł uroczyście, że zrezygnuje z przypadkowego, pozbawionego głębszej treści seksu z kobietami, których praktycznie nie znał. Dotrzymał słowa.

Teraz przerażało go jednak, że spotkał kobietę całkowicie odmienną od całej reszty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Emily napisała list do ojca. Z przyzwyczajenia zaczęła od słów „Kochany Tatusiu”, gdyż ona i jej siostry zawsze tak się zwracały do Oscara, teraz jednak te słowa wydały jej się dziecinne i nienaturalne. Mimo to odrzuciła obawy i brnęła dalej:

„Zapewne nie zdziwi Cię mój obecny adres. Wiem od Luisa, że kontaktowaliście się kilkakrotnie, odkąd przypadkiem spotkałam go w Londynie. Jestem mu wdzięczna za pomoc. Wcześniej wydawało mi się, że doskonale panuję nad sytuacją, choć w rzeczywistości nie docierało do mnie sporo ważnych spraw. Nieustannie czułam jednak, że martwisz się o mnie”.

Znieruchomiała z długopisem uniesionym nad kartką pałacowego papieru korespondencyjnego. Nie napisała całej prawdy. Miała świadomość, że ojciec się niepokoi, ale w gruncie rzeczy nie przejmowała się tym, była zbyt wściekła. Teraz doszła do wniosku, że zachowywała się samolubnie i dziecinnie.

Po chwili namysłu ponownie pochyliła się nad kartką.

„Luis zrobił dla mnie bardzo wiele. Dzięki niemu uświadomiłam sobie, jak źle odnosiłam się do Ciebie po przyjeździe Mii. Gdy teraz rozmyślam o tamtych chwilach, wstyd mi za siebie. Zachowywałam się niedojrzale i naiwnie. Mam nadzieję, że oboje mi wybaczą, Ty i Mia. Napisałam do niej osobny list, ale nie wiem, czy nadal mieszka z Tobą w Balfour Manor”.

Emily nagle uświadomiła sobie, jak dużo czasu spędziła poza domem. Wyjechała zimą, a gdyby teraz powróciła, zapewne nie wyczuwałaby już cichej obecności Lillian...

Osuszyła łzę, która skapnęła jej z policzka na papier.

„Jak z pewnością wiesz, pracuję tutaj jako nauczycielka baletu. Uczę Lucianę, bratanicę Luisa, której rodzice zginęli w katastrofie helikoptera. Z pewnością pamiętasz to tragiczne zdarzenie. Luciana początkowo prawie się nie odzywała, ale poznałyśmy się bliżej i teraz jest znacznie bardziej otwarta. Z biegiem czasu dostrzegłam, na czym polega jej największy dramat. To smutne, ale Luciana nigdy nie czuła się specjalnie blisko związana z rodzicami i nie miała świadomości, że jest kochana. Gdy to do mnie dotarło, zdałam sobie sprawę, jakie mam szczęście. Ty i mama zawsze okazywaliście mi miłość i otaczaliście mnie opieką. Zapewnialiście mi tak daleko idące poczucie bezpieczeństwa, że w pewnym sensie nie byłam przygotowana na życie w zwykłym świecie. Byłam niczym księżniczka z bajki, zamknięta w wysokiej wieży. Chyba nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co mnie czeka, kiedy zejść na ziemię. Życie okazało się trudniejsze i bardziej bolesne, niż to sobie wyobrażałam. Ale przy tym wszystkim było mi także...”

Ponownie przestała pisać, bo nie wiedziała, jak przelać na papier wrażenia z ostatnich tygodni. Luis uwolnił ją od lęków związanych z utratą panowania nad sobą i nad zakazanymi pragnieniami. Udowodnił jej, że niepotrzebnie się bała i wstydziła. Pochyliła się nad listem.

„...wspaniale. Poza tym wróciłam do regularnych ćwiczeń. Znowu tańczę, i to dzięki Luisowi. Wezmę udział w uroczystościach jubileuszowych na

część króla Marcosa Fernanda i wystąpię jako solistka z Brazylijskim Baletem Narodowym. Wykonam pas de deux z Giselle, a Luciana przedstawi krótki taniec z Dziadka do orzechów. Zastanawiałam się, czy nie chciałbyś może przylecieć na występ? Wiem, że Ty i król jesteście dobrymi przyjaciółmi, a ponieważ jego wysokość nie cieszy się już dobrym zdrowiem, raczej nie powinieneś zwlekać z odwiedzinami”.

Zerknęła na zegarek. Powinna się popieszyć, z pewnością czekał już na nią samochód, żeby ją zabrać do Grande Teatro w Santosie. Postanowiła szybko dokończyć list i nie zastanawiać się zbyt długo nad jego treścią, żeby nie stracić zimnej krwi.

„Tak naprawdę ogromnie pragnę się z Tobą spotkać. Od dawna strasznie tęsknię...”

Podpisała się, tak samo jak w każdy niedzielny wieczór przez wszystkie lata nauki w szkole baletowej. Na koniec wsunęła kartkę do grubej kremowej koperty, którą zaadresowała i wrzuciła do torby razem z butelką wody i ręcznikiem. Przed opuszczeniem pałacu pozostawiła list na stoliku pocztowym w holu. Wolą nie nosić go ze sobą, bo mogłaby się rozmyślić.

– Martwię się o ciebie.

Luis zmrużył oczy.

– To brzmi niepokojąco, biorąc pod uwagę, że to ty stoisz nad grobem – mruknął z ironią w głosie.

Król Marcos Fernando zaniósł się śmiechem i momentalnie zakrztusił. Niewiele brakowało, a zerwałby przewód doprowadzający tlen bezpośrednio do nosa.

– To rozumiem – wyrzucił, gdy po chwili przestał kaszeć. – Takiego Luisa pamiętam. Gdzie on się podziewał przez ostatnie miesiące?

– Raczej nie wypadało mi siedzieć przy tobie i dowcipkować, kiedy...

– Kiedy umieram? – dopowiedział król. – Czemu nie? Twoje żarty pomogłyby mi się nieco odprężyć. Mam za dużo czasu na leżenie i rozmyślania. Głównie o tobie, rzecz jasna.

– Tomas i Josefina łykają środki uspokajające jak landrynki, tak bardzo przeraża ich świadomość, że jestem następcą tronu. – Luis popatrzył przez okno na starannie utrzymany ogród tonący w barwnych kwiatach.

– Ten obowiązek nigdy nie miał spaść na twoje barki. Rico był idealnym spadkobiercą korony. Ciebie raczej nie brałem pod uwagę.

– Wielkie dzięki.

– Nie krytykuję cię, tylko stwierdzam fakt. – Król zignorował sarkazm w głosie syna. – Na razie zachowujesz się jednak nienagannie. Interesują cię organizacje dobroczynne, przejmujesz się losem starego zniedołężniałego

ojca, dbasz o dyskrecję w sprawach damsko-męskich... – Wbił w Luisa przenikliwy wzrok. – Na czym polega podstęp?

– Co masz na myśli? – spytał Luis pozornie obojętnie.

– Wiem, kiedy coś kombinujesz. – Król poruszył się na łóżku. – Kiedy chodziłeś do szkoły, zawsze najbardziej niepokoiłem się wtedy, gdy przynosiłeś do domu dobre stopnie. To oznaczało, że coś knujesz i starasz się za wszelką cenę to zamaskować. Jak wtedy, gdy uwiodłeś córkę dyrektora. Kiedy mi powiedział, że co wieczór przychodzisz na korepetycje z łaciny, od razu wiedziałem, co o tym myśleć.

– To nie była jego córka, tylko żona. – Luis uśmiechnął się obojętnie. – Tym razem nie masz powodów do obaw, zachowuję się nienagannie.

– I to mnie martwi. – Król Marcos Fernando sięgnął po gazetę i rozpostarł ją drżącymi dłońmi. Luis wzdrygnął się, widząc zdjęcie, na którym całował Emily przed operą. – Oto twój najnowszy wybryk, do którego doszło trzy tygodnie temu. Jak na twoje standardy, to prawie całe życie. Zadałeś się z najmłodszą córką Oscara Balfoura, tak?

– Ma na imię Emily. – Luis z wysiłkiem oderwał wzrok od fotografii. – Przyjechała tutaj, żeby uczyć Lucianę baletu.

– I dobrze. – Ojciec wpatrywał się w niego podejrzliwie. – Zabierz ją jeszcze raz na kolację. Wyglądało na to, że się dobrze bawisz i dziennikarze byli zachwyceni. Musisz tylko uważać, żeby nie przesadzić z nowym

wizerunkiem. Jeśli będziesz za często chodził do domów dziecka i szpitali, ludzie uznają cię za nudziarza.

Luis wstał i wepchnął ręce do kieszeni.

– Czy przestaniesz kiedyś myśleć o tym, jak cię widzą inni i co o tobie myślą? – burknął.

– Nie. Takie jest nasze życie. W królewskiej rodzinie liczy się przede wszystkim wizerunek. – Król popatrzył synowi w oczy. – Co do tej Emily... Chyba się w niej nie zakochałeś, co?

– Skąd. Oczywiście, że nie.

Luis odpowiedział machinalnie, ale gdy spojrział na swoje odbicie w okiennej szybie, poczuł do siebie obrzydzenie.

– Dzięki Bogu. – Król Marcos odetchnął z ulgą, zupełnie jakby wcześniej podejrzewał syna o upodobanie do seryjnych morderstw. – Miłość nie jest dla nas, synu. Musisz się ożenić, to oczywiste, i masz obowiązek spłodzić następcę, ale traktuj to jak transakcję handlową albo fuzję, jeśli wolisz. Nie zakochuj się, bo będziesz nieszczęśliwy.

– Jakie to romantyczne.

– Romantyczność? – Król prychnął z niesmakiem. – Nie myl romantyczności z romansami. Jako król będziesz musiał wieść podwójne życie. Nauczysz się oddzielać biznes od dyskretnych przyjemności. Nikomu włos z głowy nie spadnie, jeśli tylko postarasz się przestrzegać reguł.

W słonecznym pokoju nagle zrobiło się nieznośnie gorąco. Luis powoli odwrócił się do ojca.

– To nie takie proste. – Oparł się o parapet. – Mama bardzo cierpiała.

Odetchnął z ulgą, gdy tylko to powiedział. Wkroczył na zakazane terytorium, lecz nie wątpił, że należało to zrobić. Przez czternaście lat usiłował nie myśleć o tym, co się stało, ale dzięki Emily dostrzegł, że przeszłość ma ogromny wpływ na jego życie. Byłby zupełnie innym człowiekiem, gdyby Cassia Cordoba nie zasnęła w wannie i nigdy się nie obudziła.

– Tak, ale nie przeze mnie – wycedził ostro król. – Złamała zasady.

– W jaki sposób?

– Zakochała się – wyjaśnił Marcos po chwili milczenia.

Luis przycisnął palce do skroni, jakby w ten sposób chciał powstrzymać gwałtowne dudnienie w głowie.

– W kimś innym?

– Tak. – Król westchnął i spojrzał na syna z żalem. – Nie nadawała się na królową, była na to zbyt emocjonalna i wrażliwa. Ale pochodziła z dobrej rodziny i słynęła z urody... – Wzruszył nieznacznie ramionami. – Przez pewien czas wszystko jakoś się układało, ale potem zakochała się w kierowcy rajdowym. Ich romans ciągnął się latami, aż w końcu jej kochanek zginął podczas wyścigu, a ona...

– Zabiła się? – Głos Luisa wydawał się dziwnie chrapliwy.

– Myślę, że tak. – Król poprawił przewód tlenowy. – Choć, jak wiesz, zgodnie z oficjalną wersją, przypadkowo uderzyła się w głowę podczas kąpieli.

Rzeczywiście, Luis wiedział o tym doskonale, ale czuł także, że śmierć jego matki była związana z pigułkami, które często zażywała. Tak właśnie zapamiętał matkę. W jego wspomnieniach była osobą rozkojarzoną, nieszczęśliwą, zamyśloną. Ciągle zdawała się błądzić gdzieś myślami. Opis emocjonalnej, wrażliwej dziewczyny pasował do kogoś zupełnie innego.

Do Emily.

– W czym rzecz? Czy to coś związanego z Lucianą?

Emily spoglądała z niepokojem na Luisa, który zaprosił ją do małej kawiarenki, twierdząc, że chodzi o sprawę niecierpiącą zwłoki. Lokal nie przypominał wykwintnych restauracji, w których z reguły bywał następca tronu, za to właściciel wiedział, jak trzymać natrętnych paparazzi na dystans. Przy stole obok drzwi wejściowych siedziało dwóch ochroniarzy, którzy na próżno usiłowali nie rzucać się w oczy.

– Nie, z Lucianą wszystko w porządku. – Przesunął dłonią po nieogolonej szczęce. – Właśnie wracam z wizyty u ojca.

– Czy... jego stan się pogorszył?

– Przeciwnie, odniosłem wrażenie, że czuje się całkiem nieźle. Dawno nie był taki gadatliwy.

– To chyba dobry znak, prawda? – spytała ze współczuciem.

– Może i tak. – Sięgnął po kostkę cukru i zmiażdżył ją w palcach. – Ale czułem się dość dziwnie. Już ci kiedyś mówiłem, że w naszej rodzinie nie ma zwyczaju prowadzenia długich rozmów. – Cieszyło go, że w końcu zrozumiał, dlaczego jego dzieciństwo było tak skomplikowane, ale nadal czuł niepokój. Właśnie dlatego postanowił porozmawiać z Emily. Potrzebował jej wsparcia w trudnej chwili. – Jak się udała próba?

– Reżyser utrzymuje, że mam w sobie mnóstwo namiętności, ale muszę popracować nad techniką. – Wzruszyła ramionami.

– Ma rację, przynajmniej jeśli chodzi o namiętność. – Spojrzał na nią krzywo. – Co zrobicie na bis? Będziecie uprawiali seks na środku sceny?

– Póki co mam dosyć seksu, dziękuję bardzo – odparła. Ich spojrzenia się skrzyżowały, a wtedy Luis nabrał ochoty, żeby natychmiast zaciągnąć Emily do łóżka. Zarumieniła się, jakby czytała mu w myślach. – Mniejsza z tym, chciałam porozmawiać z tobą o Lucianie. W przyszłym tygodniu są jej urodziny.

– Oczywiście. – Luis nie krył zadowolenia ze zmiany tematu.

– Jak dobrze wiesz, nie ma żadnych koleżanek w swoim wieku, więc może powinniśmy zrezygnować z oficjalnej imprezy i przygotować coś innego. – Zerknęła na niego spod rzęs. – Coś normalnego.

– Masz jakiś konkretny pomysł?

– Mam, ale nie wiem, czy ci się spodoba. – Uśmiechnęła się przepraszająco i poruszyła niespokojnie, wsuwając dłoń pod stół. – Wybacz, okropnie bolą mnie stopy.

Luis zmarszczył brwi i pochylił głowę. Dopiero teraz zauważył, że Emily zrzuciła buty, aby rozmasować palce u stóp.

– Mów dalej – szepnął, ogarnięty nagłą żądzą.

– Więc przyszło mi do głowy... – Rozprostowała nogi, ocierając się bosą stopą o jego kolano. Momentalnie skorzystał z okazji i chwycił ją za kostkę, a wtedy uśmiechnęła się do niego. – Pomyślałam... – Nawet nie próbowała ukrywać pożądania w głosie, kiedy jego palce delikatnie masowały jej śródstopie.

– Tak... – Uniósł brwi, zachwycony jej reakcją.

– Nie chcę, żebyś odmówił – wyszeptała z wahaniem, lekko przesunęła się na krześle i zwinnie wyrwała nogę z jego uścisku, aby w następnej sekundzie wsunąć mu ją między uda. – Obiecuj, że nie odmówisz... – Odetchnęła głęboko.

– Atrevido. – Zerknął na niczego nieświadomych ochroniarzy, którzy obojętnym tonem gawędzili przy stoliku. Następnie przeniósł wzrok z powrotem na Emily. Jej idealnie piękna twarz w kształcie serca wydawała się całkiem spokojna i tylko szafirowe oczy lśniły entuzjastycznie. – W tej chwili nie wyobrażam sobie, że mógłbym ci odmówić, więc proś.

Uśmiechnęła się chytrze, a on z trudem przełknął ślinę, gdyż poczuł, że Emily wsuwa mu między uda także drugą stopę.

– Pojedziemy na camping. Chcę zabrać Lucianę pod namiot. Na plaży.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– A teraz obie zamknijcie oczy.

Emily i Luciana popatrzyły po sobie z entuzjazmem.

– Ty pierwsza. – Emily uśmiechnęła się szeroko. – A ja potem.

Luciana z całych sił zacisnęła powieki, jakby w obawie, że przypadkiem się rozchyla. Emily popatrzyła na Luisa.

– Panna Balfour również – oznajmił surowo. – I nie wolno podglądać.

Wziął je obie za ręce i poprowadził po ciepłym piasku na szczyt ostatniej wydmy. Wkrótce Emily poczuła wiatr we włosach i usłyszała szum morskich fal.

– Można patrzeć – powiedział cicho Luis.

Na plaży wyrosła osada złożona z okrągłych płóciennych namiotów rodem z baśni tysiąca i jednej nocy albo z legendarnego arturiańskiego zamku Camelot. Nad każdym namiotem powiewała różowa chorągiewka, a pomiędzy masztami rozpięto sznury z flagami i balonami. Luciana zamarła, przyciskając dłonie do ust.

Emily świetnie wiedziała, co dziewczynka czuje.

– To jest naprawdę? – wyszeptała Luciana. – Naprawdę będę tutaj spała?

– Pewnie – potwierdził Luis, wbrew sobie wzruszony. – Przecież masz urodziny. Biegnij obejrzeć sypialnię, może znajdziesz tam kilka znajomych osób.

Luciany nie trzeba było dwa razy zachęcać. Gdy pobiegła na dół, Emily roześmiała się i otarła łzy.

– To doskonały pomysł – pochwaliła Luisa. – Dziękuję ci.

– Drobiazg – zbagatelizował sprawę.

Emily wspięła się na palce, żeby pocałować go w usta, ale ku jej rozczarowaniu odsunął się o krok.

– Uważaj. – Ruchem głowy wskazał plażę – Mamy publiczność.

Z jednego z namiotów wychylił się Tomas, niemal nierozpoznawalny bez garnituru i krawata. Towarzyszyła mu ładna pulchna blondynka z pyzaty miemowlęciem na rękę. Emily pomyślała, że to zapewne Valentina z dzieckiem. Oprócz nich wśród namiotów kręciły się jeszcze Elena

i Paloma, dwie dodatkowe piastunki z pałacu. Szczęśliwie nigdzie w pobliżu nie było widać seniory Costy, nie brakowało za to obstawy w osobach kilku młodych mężczyzn w szortach i koszulkach.

– Gdybym się nie zgodził na obecność połowy ochrony, Tomas i szef służb bezpieczeństwa nie zaaprobowałiby wyjazdu – wytłumaczył Luis.

– Miałeś trudności z przeforsowaniem tego pomysłu? – domyśliła się.

– Do pewnego stopnia – przyznał. – Podejrzewam, że równie łatwo poszłaby mi próba nawiązania stosunków dyplomatycznych z jakimś afrykańskim dyktatorem. – Uśmiechnął się krzywo. – Chodź, pokażę ci twój buduar. Pora rozpocząć przyjęcie.

Po wielu grach i zabawach plażowych, którym nieustannie towarzyszyły salwy śmiechu wszystkich uczestników przyjęcia, Tomas rozpalił ognisko, a Luciana zajęła się zabawą z jego małą córką Gracią. Jeden z namiotów przeznaczono na bar i kuchnię, z której docierały smakowite zapachy.

Emily instynktownie trzymała się z dala od Luisa, który w pewnej chwili zjawiał się tuż przed nią i wręczył jej smukły kieliszek z szampanem.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję. – Uśmiechnął się. – Przecież to ty wpadłaś na ten pomysł.

– Nawet nie marzyłam o takim rozmachu... – Wskazała kieliszkiem namioty, pustą plażę i różowe słońce tuż nad linią horyzontu. – Sprawileś, że moja wizja stała się magiczna. Luciana nigdy się tak dobrze nie bawiła.

– Na to liczyłem – przyznał.

Za ich plecami rozległa się muzyka, a po chwili usłyszeli radosny krzyk Luciany.

– Emily, posłuchaj! – pisnęła. – Matheus ma muzykę do naszego tańca! Zatańczmy teraz, koniecznie!

Rzeczywiście, z odtwarzacza płynęły dźwięki *Walca kwiatów* z baletu *Dziadek do orzechów*. Emily uśmiechnęła się, dopiła szampana, po czym związała kraciastą koszulę pod biustem i ruszyła do Luciany, aby zatańczyć z nią na białym piasku tropikalnej wyspy. Gdy skończyły, nagrodzono je entuzjastyczną owacją. Luciana promieniała z dumy.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy zasiedli przy ognisku, aby odpocząć po wyczerpującym dniu, a Emily poszła położyć Lucianę, Luis wziął butelkę piwa i ruszył w kierunku urwiska na przeciwległym brzegu malowniczej zatoki. Odkąd przybyli nad morze, usiłował nie zwracać uwagi na groźny zarys klifu, teraz jednak czuł, że musi się zmierzyć z samym sobą, właśnie dzisiaj, w urodziny Luciany. Gdy zbliżał się do skały, powietrze stało się

wyczuwalnie chłodniejsze, zupełnie jakby gdzieś w pobliżu czaił się niespokojny duch Rica.

Luis wypił łyk piwa, odwrócił się plecami do morza i skierował w głąb plaży. Od pewnego czasu traktował to urwisko jak pomnik wzniesiony przez naturę na cześć jego brata. Gdy dotarł do podnóża skały, ciężko usiadł na piasku i oparł się o nią nagimi plecami.

Kamień okazał się zaskakująco ciepły. Luis zapatrzył się na poświęcę ogniska w oddali i na ledwie widoczne sylwetki zgromadzonych wokół niego ludzi, gdy nagle jego uwagę przykuł szmer piasku. Czyżby ktoś chciał go zaskoczyć? Z niechęcią skierował wzrok w stronę niewidocznego jeszcze intruza. Pewnie Tomas lub jeden z ochroniarzy postanowił go odszukać i ocalić przed bandą nafaszerowanych narkotykami terrorystów, wściekłych republikanów albo chorych z nienawiści fanatyków.

– Luis?

Od razu rozpoznał głos Emily, zarazem niepewny i niewiarygodnie seksowny. Zatrzymała się zaledwie kilka metrów dalej i na tle poświęcy ogniska wyraźnie widział jej długie nogi w dzinsowych szortach.

– Jestem tutaj – odezwał się.

– Wolisz zostać sam? Zastanawiałam się, gdzie jesteś, ale jeśli chcesz, to sobie pójdę...

– Nie. – Uśmiechnął się krzywo. – Prawdę mówiąc, przyszedłem tutaj, żeby spędzić trochę czasu z Rikiem. Prawie rok temu właśnie tu się rozbił jego helikopter, więc pomyślałem, że powinienem wypić z bratem drinka.

Uniósł w połowie opróżnioną butelkę. Sekundę potem stuknęła w nią inna i w półmroku uświadomił sobie, że Emily również przyniosła piwo.

– Mogę się do was przyłączyć? – spytała cicho.

– Pewnie.

Usiadła na piasku obok niego i przez chwilę oboje milczeli, zasłuchani w szum fal.

– Opowiedz mi o nim – poprosiła nagle. – Jaki był Rico?

– Jaki był? – powtórzył Luis i mocniej zacisnął dłoń na butelce. – Zupełnie inny niż ja. Zawsze był sobą, bez względu na to, gdzie się znajdował i z kim rozmawiał. Postępował tak samo zarówno w życiu prywatnym, jak i w publicznym, był szczery, obowiązkowy i naturalny. – Zwiesił głowę. – W przeciwieństwie do mnie. Chętnie korzystałem z przysługujących mi przywilejów, ale uchylałem się od odpowiedzialności. Obnosiłem się ze swoim tytułem, choć wcale na niego nie zasłużyłem.

– Teraz zachowujesz się odpowiedzialnie – podkreśliła z przekonaniem.

– Tylko pozornie. W głębi duszy buntuję się przeciwko temu, co mnie czeka. Nigdy nie będę królem z prawdziwego zdarzenia. – Ponownie

ogarnęła go fala pożądania, kiedy patrzył, jak Emily unosi butelkę i upija łyk piwa.

– Czy naprawdę musisz robić to wszystko? – spytała łagodnie. – Nie możesz tak po prostu...

– Zrezygnować? – odpowiedział i zaśmiał się niewesoło. – To nie wchodzi w grę. Muszę się pogodzić z manipulacjami i kłamstwami obmyślanymi przez biuro prasowe pałacu w imię poprawy mojego wizerunku.

– Ale dlaczego? – Obróciła się ku niemu. – Dlaczego nie możesz być sobą?

– Bo moja prawdziwa osobowość nie pasuje do obrazu następcy tronu. – Mimowolnie przeniósł wzrok na jej dekolt. – Jako książę jestem kimś w rodzaju postaci z bajki. Istnieję tylko wtedy, kiedy ludzie we mnie wierzą. Dlatego trzeba dbać o to, aby nie zapomnieli o mojej obecności. W epoce Internetu i telefonów komórkowych każdy może się przekonać, że jestem tylko człowiekiem. – Pociągnął solidny łyk piwa i spróbował uśmiechnąć się ironicznie. – Bądźmy szczerzy, nawet ty przestałaś wierzyć w bajki.

– Och, ale teraz wierzę w nie ponownie – zapewniła go z przekonaniem. – Dzięki tobie. – Usiadła na kolanach Luisa i popatrzyła mu w oczy. – Może nie będziesz takim samym królem, jak twój ojciec, ale jeśli pozostaniesz sobą, ludzie dostrzegą w tobie znakomitego władcę. Na pewno w ciebie uwierzą, podobnie jak ja.

Luis zeszywniał, na próżno usiłując zapanować nad żądzą, która go ogarnęła.

– Nie mogę się przespać ze wszystkimi – zażartował ponuro.

Emily pogłaskała go po nagim torsie.

– Kiedy cię poznałam, byłeś gotów powiedzieć co innego.

– Nie jestem już taki, jak kiedyś.

– Dlatego, że przejmujesz pełną odpowiedzialność za...

– Nie – przerwał jej gwałtownie. Posadził Emily na piasku i wstał. – Bo to była moja wina – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To się zdarzyło przeze mnie i będę musiał żyć z tą świadomością do samego końca.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Ona również wstała. Położyła dłonie na ramionach Luisa, ale odsunął się gniewnie.

– Miałem polecieć na uroczystość rozdania nagród, na którą ostatecznie udali się Rico i Christiana. To był mój obowiązek, nie ich. Ale wcześniej tego samego dnia sędziowałem w wyborach Miss Santosy. – Wzdrygnął się i popatrzył na Emily, żeby obserwować jej reakcję. – Zwycięzczyni konkursu piękności była wyjątkowo ładna i pełna wdzięczności za to, że na nią głosowałem. Zatelefonowałem do Rica z apartamentu dla nowożeńców w hotelu Jacuzzi i poprosiłem, żeby mnie zastąpił na ceremonii.

– Och, Luis... – szepnęła niemal bezgłośnie.

– Proszę cię, nic nie mów, wszystko jest jasne jak słońce. Teraz już wiesz. Zabiłem brata i jego żonę, a w rezultacie zniszczyłem życie Lucianie. Właściwie schrzaniłem życie także sobie, ale nie ma o czym mówić, bo to mi się należało.

– Nie zabiłeś ich.

– Przyczyniłem się do ich śmierci – warknął. – Na jedno wychodzi. Jestem pewien, że Luciana sama dojdzie do tego wniosku, kiedy podrośnie. Właśnie dlatego wolę trzymać się od niej z daleka. Kiedy się dowie, co zrobiłem jej rodzicom, poczuje się zdradzona i mnie znienawidzi.

– Nie zdradziłeś jej – oznajmiła zdecydowanie. – A w ostatnich tygodniach zapewniłeś jej mnóstwo ciepła i życzliwości. Ona cię kocha.

– Nie. – Odwrócił się do Emily. – Nie mów tak. Nie zasługuję na to.

– Przeciwnie, z całą pewnością na to zasługujesz. To, co się stało, było dziełem przypadku, na który nikt z was nie miał wpływu. Jedyne, co nam pozostaje w takich sytuacjach, to zapanować nad własną reakcją. Po tragedii stałeś się lepszym, odważniejszym, bardziej honorowym człowiekiem. W taki sposób zapracowałeś na miłość Luciany... i moją.

– Emily, nie... – powiedział, ale ona tylko uniosła dłonie, jakby chciała pokazać, że się poddaje.

– Wiem, że mówiąc to, łamię wszelkie zasady, ale nie umiem udawać ani manipulować. Kocham cię i już.

– Nie możesz – jęknął, chwytając ją za rękę. – Jeśli mnie pokochasz, także twoje życie legnie w gruzach, a ja... nie mógłbym tego znieść.

Kiedy dotknął dłońmi jej gładkiej skóry, zupełnie zapomniał o rozsądku. Wbrew sobie otoczył Emily ramionami i przytulił z desperacją tonącego człowieka, który chwycił się tratwy ratunkowej. Ich usta zetknęły się momentalnie, ciała przywarły do siebie.

Nieoczekiwanie Luis odsunął się z wysiłkiem od Emily.

– Kochanie... – wyszeptała niespokojnie.

– Nie. – Zachwiał się i cofnął, przyciskając zaciśnięte pięści do skroni. – *Christo*, nie powinienem był tego robić. Dobrze wiesz, że nasz związek nie ma szans.

Serce Emily waliło tak mocno, że w całym ciele czuła głuche dudnienie.

– Oczywiście – powiedziała drżącym głosem. – Chodzi tylko o seks. Wierz mi, w tej chwili nie zależy mi na niczym innym.

Przez chwilę stał nieruchomo, a następnie wziął ją za rękę i poprowadził w głąb ciemnej plaży. Kiedy kładł ją na kocach w swoim namiocie i rozbierał, czuła się tak, jakby tańczyła z aniołami.

Spała niespokojnie, a gdy się ocknęła o świcie, od razu sobie uświadomiła, że Luis tuli się do jej pleców. Uśmiechnęła się, zaspokojona i usatysfakcjonowana, ale w następnej sekundzie zmarszczyła brwi, gdy na

zewnątrz rozległy się męskie głosy. Dotarło do niej, że to one ją obudziły. Po chwili ktoś uchylił płachtę u wejścia do namiotu i zajrzał do środka.

Był to Tomas.

Na widok Emily zbladł. W tej samej chwili Luis obudził się i usiadł, mrugając powiekami.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale obawiam się, że chodzi o pańskiego ojca – powiedział Tomas.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Urządzenie podtrzymujące króla przy życiu powoli i systematycznie doprowadzało Luisa do obłądu. Z głośnika wydobywało się wyjątkowo nieprzyjemne dla ucha piszczenie, towarzyszące każdemu oddechowi chorego. W pokoju panował nieznośny upał. Luis sztywno wstał z krzesła, podszedł do okna i wyjrzał. Słońce było już wysoko na mglistym niebie. Ile godzin spędził przy łóżku ojca? Już dawno temu stracił rachubę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rozległ się głos Tomasa w progu. – Chyba najwyższy czas, żeby zrobił pan sobie przerwę na kawę. Poza tym przyniosłem panu ubranie na zmianę.

Luis z pewnym zaskoczeniem zorientował się, że nadal ma na sobie szorty i koszulkę z krótkim rękawem.

– Czy to naprawdę ma znaczenie, jak jestem ubrany? – spytał ze znużeniem i popatrzył z niechęcią na garnitur przyniesiony przez sekretarza.

– Przynajmniej jest mi wygodnie.

– Musimy pamiętać o prasie, proszę pana. Dziennikarze są na zewnątrz, a w zaistniałej sytuacji trzeba myśleć o odpowiednim wrażeniu.

Luis zacisnął wargi w bezsilnej złości. Odpowiednie wrażenie. Oczywiście, przecież tylko to się liczy. Z irytacją poszedł za Tomaszem do małego salonu po drugiej stronie holu.

– Właśnie wracam ze spotkania z Josefina i prywatnym sekretarzem króla – oznajmił Tomasz, zaparzając kawę. – Uznaliśmy, że nie mamy wyboru. Należy odwołać jutrzejsze uroczystości jubileuszowe.

Luis pokiwał głową i ściągnął koszulkę przez głowę.

– Rozmawiałem też z księżną de Mesą – dodał sekretarz. – Powiedziała, że niezwłocznie przyleci.

– Po co?

Tomasz ostrożnie postawił na stoliku kubek z gorącą kawą.

– Josefina uważa, że czekają nas trudne dni i dlatego dobrze będzie mieć ją w pobliżu. Powinna pozostawać w tle jako pańska...

– Jako moja przyszła żona? – dopowiedział Luis ze złością. – Chodzi o to, żeby zaraz po pogrzebie mojego ojca urządzić mój ślub?

– Te plany istnieją już od bardzo dawna, proszę pana – zauważył Tomas cicho. – Doskonale pan o tym wie. To specyfika życia w rodzinie królewskiej.

Wzdrygnął się, kiedy Luis trzasnął pięścią w ścianę.

– A jeśli nie chcę tej roli?

Tomas zbladł.

– W takim razie będzie pan musiał abdykować, a na tronie zasiądzie księżniczka Luciana.

Pokonany Luis oparł się o ścianę. Czy ta biedna dziewczynka miałaby szansę na normalność, gdyby zrobiono z niej królową?

W królewskim apartamencie rozległo się jednostajne, głośniejsze niż dotąd piszczenie, a po chwili Luis usłyszał w holu tupot biegnących ludzi i odgłosy zamieszania. Bez zastanowienia pognął do pokoju ojca. Wokół łóżka stali już lekarze, którzy w milczeniu poprawiali przewody tlenowe.

Luis oparł się o framugę, obserwując medyków w kitlach, i nagle przypomniał sobie ranek, kiedy znaleziono zwłoki jego matki. Stanął wtedy na progu jej sypialni i zajrzał do łazienki w głębi apartamentu. Ratownicy wyciągnęli ciało z wody, sprawdzili tętno, podjęli próbę reanimacji. Jego ojciec słusznie zauważył, że nie nadawała się na królową, gdyż była zbyt emocjonalna i wrażliwa. Została wciągnięta w życie pełne obowiązków i pozorów i to ją zabiło.

Emily nie zasługiwała na taki los.

Odwrócił się i odszedł, a hałasy za jego plecami nagle się urwały i zapadła grobowa cisza. Kilka sekund później u jego boku stanął Tomas, poblądły, ale opanowany.

– Król nie żyje. – Z powagą pochylił głowę. – Ogromnie współczuję... wasza królewska mość.

– Czy ma pani ochotę na herbatę i ciastka, seniora Balfour?

Emily zamrugła i oderwała wzrok od skrawka nieba za oknem. Za biurkiem w biurze prasowym pałacu stała mocno umalowana kobieta.

– Och... tak – wydukała oszołomiona. – Bardzo chętnie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest głodna, gdyż od powrotu z plaży w ogóle nie myślała o jedzeniu.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjść, seniora. – Josefina uśmiechnęła się, prezentując usta pokryte szminką w kolorze dojrzałej morwy.

Emily nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dotąd uważała, że zjawienie się na zaproszenie biura prasowego jest jej obowiązkiem.

– Drobiazg – mruknęła i nagle uświadomiła sobie, że jest ubrana w dzinsowe, wystrzępione szorty i koszulę w kratę. – Dlaczego chciała się pani ze mną widzieć?

Josefina usiadła i spojrzała na Emily z nieskrywanym współczuciem.

– Przykro mi, ale muszę panią powiadomić o śmierci króla.

Emily dopiero po kilku sekundach pojęła sens słów Josefiny.

– Luis... – wyszeptała przez ściśnięte gardło. – Muszę się z nim zobaczyć.

– Obawiam się, że to wykluczone. – Josefina złowrogo zmrużyła oczy, wyraźnie próbując ukryć zniecierpliwienie. – Zechce pani usiąść. Książę Luis jest już królem, co oznacza, że czeka go wiele nowych obowiązków. To dla niego trudny okres, więc należy postępować delikatnie i ostrożnie.

– Nie rozumiem... – Emily ciężko usiadła na krześle.

– Już wyjaśniam – westchnęła Josefina i złożyła dłonie. – Król Marcos Fernando cieszył się niebywałą popularnością wśród poddanych, jego odejście będzie szczerze opłakiwane. Należy pamiętać, że nie tak dawno temu zegnaliśmy księcia Rica. Przez ostatni rok intensywnie pracowaliśmy nad poprawą wizerunku następcy tronu, gdyż król od dłuższego czasu niedomagał i jego odejście nie jest dla nikogo zaskoczeniem. Badania opinii społecznej dowodzą, że nasze postępy graniczą z cudem. Ludzie darzą księcia Luisa niemal taką samą sympatią, jaką niegdyś czuli do księcia Rica.

– Chyba nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

Josefina uśmiechnęła się z wyższością.

– W pewnym sensie to pani zasługa. – Odwróciła ku niej monitor komputera. – Wciągnięcie pani do kampanii wizerunkowej było ryzykowne, jednak książę niewątpliwie na tym skorzystał.

– Kampanii wizerunkowej? – powtórzyła Emily szeptem, wpatrzona w swoje zdjęcia z Luisem opublikowane na pierwszych stronach gazet: pocałunek przy schodach do samolotu, oboje razem na tylnej kanapie samochodu, z Lucianą, przed operą w dniu wyjazdu na spektakl baletowy...

– Bardzo potrzebowaliśmy kogoś, kto będzie kontrastował z dotychczasowym stylem życia księcia. Pani okazała się idealna. – Josefina przypominała dyrektorkę szkoły nagradzającą uczennicę za sumienną pracę.

– Ponieważ jednak księżę właśnie stał się królem, musimy zacząć myśleć o jego małżeństwie.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła dziewczyna z tacą z ciastkami i herbatą.

– *Obrigado*, Ana. – Josefina odprawiła sekretarkę i ponownie skupiła uwagę na Emily. – Nadszedł czas, żeby przedstawić opinii publicznej kobietę, która w stosownym czasie zostanie królową Santosy. Chcielibyśmy, żeby dyskretnie wspierała nowego króla w tych trudnych dniach.

– Kim ona jest? – spytała Emily zmienionym głosem.

– Księżna de Mesa pochodzi ze starej i bardzo poważanej rodziny portugalskiej. – Josefina spokojnie naląła herbatę do filiżanek. – Od wielu lat sposobiono ją do roli królowej, więc jest idealną kandydatką.

– A co ze mną? – szepnęła Emily, nerwowo skubiąc postrzępione szorty. – Co z uroczystościami jubileuszowymi?

– Niestety, musieliśmy je odwołać. Może pani zostać w Santosie, jeśli pani sobie życzy, ale byłoby to nieco... niezręczne, gdyby nadal mieszkała pani w pałacu po przyjeździe księżnej.

– Rozumiem... – Emily wstała i chwiejnym krokiem podeszła do drzwi.

– Dziękuję, że nie komplikuje pani życia królowi – powiedziała Josefina z nieskrywaną ulgą, gdy Emily nacisnęła klamkę. – Sądziłam, że będzie pani sprawiała trudności, ale najwyraźniej źle panią oceniłam. Jeszcze raz dziękuję.

Po raz pierwszy jej słowa zabrzmiały całkiem szczerze. Kiedy jednak Emily się odwróciła, Josefina zapisywała już coś na kartce papieru, jednocześnie sięgając do telefonu.

Na korytarzu Emily odetchnęła głęboko i oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Pochyliła głowę, ale kątem oka zauważyła zbliżającą się wysoką męską sylwetkę. Godność nie pozwalała jej okazywać rozpacz w obecności personelu pałacowego.

Dyskretnie spojrzała na nadchodzącego mężczyznę i pomimo załzawionych oczu dostrzegła w nim coś znajomego. Jej serce zamarło.

– Emily? Wielkie nieba... kochanie...

Z cichym okrzykiem, kompletnie straciwszy resztki panowania nad sobą, rzuciła się prosto w ramiona Oscara Balfoura.

– Tatusiu... – chlipnęła, wdychając znajomy zapach wody kolońskiej i eleganckiego mydła do golenia. – Jesteś tu... Och, dzięki Bogu, że tu jesteś. Tatusiu, proszę cię, zabierz mnie do domu...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Luis wstał od łóżka ojca. Uścisnął jego zimną, sztywną rękę i wyszedł z pokoju, nie odwracając się za siebie. Już wiedział, co powinien zrobić.

Na jego widok strażnicy wyprężyli się jak struny i spojrzeli po sobie niepewnie, gdy ruszył prosto do windy. Wszedł szybko do kabiny i nacisnął przycisk parteru, lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi naprzeciwko pokoju ojca i stanął w nich wyraźnie zaniepokojony Tomas.

– Wasza królewska mość! Dokąd...

Winda zaczęła się zamykać, więc Tomas rzucił się prosto ku niej i w ostatniej sekundzie wpadł do środka.

– Co wasza królewska mość wyprawia? – wydyszał.

– Wracam do pałacu – odparł Luis ze stoickim spokojem.

– Ale przecież... dziennikarze czekają. Chcą wysłuchać oświadczenia, zrobić zdjęcia, a garnitur, który przyniosłem waszej królewskiej mości, ciągle jeszcze...

– Muszę porozmawiać z Emily – przerwał mu Luis bezlitośnie.

Tomas wyprostował się, najwyraźniej gotów przekazać złe wieści.

– Obawiam się, że panna Balfour wraca do Anglii. Przed chwilą rozmawiałem z Josefina. Dzisiaj rano odbyły spotkanie, po którym zjawił się ojciec panny Balfour, absolutnie przypadkowo. Wygląda na to, że panna Balfour podjęła decyzję o powrocie do domu.

Winda się zatrzymała, a Luis pogardliwie wykrzywił usta.

– Czy na pewno zadecydowała o tym Emily, czy może raczej Josefina? – zapytał.

– Proszę poczekać. – Tomas z nietypową gwałtownością wcisnął guzik zamykający drzwi. – Jest już za późno. Helikopter lada moment będzie odlatywał, wasza królewska mość nie ma szansy zdążyć. Teraz trzeba się przebrać w stosowny garnitur...

Nie dokończył, gdyż Luis błyskawicznie chwycił go za kołnierz i mocno przycisnął do ściany.

– Nie – warknął groźnie. – Nie będę się w nic przebierał. Skoro mam odgrywać tę rolę do końca życia, sam będę dyktował warunki. Będę sobą, a nie swoim ojcem czy bratem. Jeśli ludziom to się nie spodoba, to ich sprawa. Poza tym nie obejmę tronu, jeśli nie będzie przy mnie Emily, rozumiesz?

Puścił Tomasa i odwrócił się z irytacją.

– Tak – powiedział cicho sekretarz. – Chyba rozumiem.

Luis popatrzył mu w oczy, lecz w tej samej chwili drzwi się otworzyły, więc ruszył w kierunku licznie zgromadzonych dziennikarzy. Mijając ich, skinął zdawkowo głową, ale po zastanowieniu przystanął, żeby przemówić do tłumu.

– Ze szczerym bólem informuję państwa o śmierci mojego ojca, króla Marcosa Fernanda – oświadczył głośno. – We wczesnych godzinach rannych doznał rozległego udaru. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Zgon nastąpił tuż po godzinie czternastej.

Na moment zapadła cisza, po czym dziennikarze zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie. Nie zwracając na nich uwagi, Luis skierował się do grupy paparazzi na motocyklach, którzy najwyraźniej zamierzali ścigać jego samochód. Bez wahania zbliżył się do fotoreportera na najpotężniejszej maszynie.

– Chciałby pan być pierwszym paparazzo w historii, który zostanie nagrodzony za służbę królowi? – zapytał.

Tomas, który z trudem przecisnął się przez tłum, zobaczył tylko, jak Luis podaje rękę fotoreporterowi, po czym wskakuje na motocykl i odjeżdża z piskiem opon, bez kasku, za to z determinacją wypisaną na twarzy.

Oscar pomógł córce usiąść na tylnej kanapie helikoptera i przytrzymał ją za rękę, kiedy wirnik zaczął obracać się nad ich głowami. Wkrótce wzbili się

w powietrze i Emily musiała wyrwać dłoń z uścisku ojca, żeby zasłonić usta i stłumić niekontrolowany szloch.

– Moja kochana, nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem – wyznał Oscar ze smutkiem. – Nie chciałem jednak, żebyś wracała ze złamanym sercem. Opowiedz mi, co się stało.

– Zakochałam się w nim – wyszeptała ze zwieszoną głową. Po jej policzkach spływały łzy. – Wiedziałam, że to niebezpieczne, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– Czy on też cię kocha?

– Nie. – Popatrzyła przez okno na wierzchołki drzew. – Jemu chodziło tylko o zyskanie popularności w społeczeństwie. Chcę wierzyć, że w pewnym momencie zaczęło mu na mnie zależeć, ale to nie była miłość.

W oddali, za drzewami, dostrzegła połyskujące w słońcu morze. Wiedziała, że za chwilę miną białą plażę, na której tańczyła poprzedniego wieczoru, na której obudziła się rankiem w ramionach Luisa.

– Czy jesteś tego pewna? – spytał Oscar łagodnie.

– Tak, całkowicie – wyszeptała. – Poza tym, czy mogłabym żyć z kimś, kto nie umie powiedzieć mi wprost, co czuje?

– Nie, kochanie, nie mogłabyś – westchnął Oscar i wyjrzał przez okno. – Potrzebujesz...

Urwał w pół zdania, a Emily otworzyła oczy.

– Tato, co się stało? – spytała niespokojnie i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

W dole ujrzała szeroką, rozległą plażę podczas odpływu, na której widoczny był samotny mężczyzna w szortach. Emily pomyślała, że to pewnie jakiś surfer. Tylko po co pochylał się nad piaskiem? Czyżby czegoś szukał?

Nagle uświadomiła sobie, że mężczyzna kreślił na piasku wielkie litery, które układały się w wiadomość... dla niej!

EMILY, KOCHAM CIĘ.

Wstrzymała oddech z niedowierzaniem. Nagle opalony pólnagi mężczyzna usłyszał śmigłowiec i podniósł głowę.

To był Luis.

– Potrzebujesz kogoś, kto będzie umiał ci powiedzieć, że cię kocha – dokończył Oscar głosem łamiącym się z emocji. – Ale myślę, że takie wyznanie miłości jest jeszcze lepsze.

Wzruszenie odebrało jej mowę, lecz nie musiała się odzywać, gdyż Oscar natychmiast polecił pilotowi wylądować na plaży. Po chwili helikopter osiadł miękko na piasku. Nie czekając, aż wirnik znieruchomieje, Emily wyskoczyła z kabiny i powoli, jak lunatyczka, ruszyła prosto do Luisa.

– Och, Luis... – westchnęła cicho, zatrzymawszy się metr od niego. Dopiero z takiej odległości zauważyła, że jego twarz jest mokra od łez. – Twój ojciec... Tak mi przykro...

– Wziąłem sobie do serca twoje słowa – wyszeptał łamiącym się głosem. – I postanowiłem żyć zgodnie z własnym sumieniem. Będę uczciwy i nie zamierzam niczego ukrywać. – Wskazał dłonią metrowej wysokości litery na piasku. – Na dobry początek chciałem ci wyznać, że cię kocham.

Nie czekając dłużej, rozpostarła ręce i rzuciła mu się w ramiona, a on pocałował ją gorąco i żarliwie.

– Nie żądam od ciebie, żebyś została – wydyszał oszołomiony, zanurzając twarz w jej włosach. – Nie mogę ci tego zrobić. Ale zanim odleczysz, musisz wiedzieć, jak bardzo cię kocham. – Popatrzył jej głęboko w oczy. – Nie obchodzi mnie opinia publiczna ani gazety. Będę cię kochał zawsze, cokolwiek zrobisz i dokądkolwiek pojedziesz.

– Wcale nie chcę odlatywać – wyszeptała przez ściśnięte gardło. – Nie chcę cię opuszczać, ale to nie jest takie proste, prawda? Teraz jesteś królem, a to oznacza, że masz obowiązki w stosunku do Santosy...

Przerwał jej jeszcze jednym namiętym pocałunkiem.

– Chcę, żebyś ty była moim obowiązkiem, ty i nasze dzieci. Wszystko inne jest mniej ważne. Ponieważ jednak bardzo nie chcę być samolubny, nie wiem, czy mogę cię o coś prosić...

– Spróbuj – zachęciła go z przekonaniem. – Nie wahaj się, Luis, proszę cię...

– Och, Emily... – Puścił jej rękę i cofnął się o krok, spoglądając na patyk, który cisnął w piasek. – Zamknij oczy i poczekaj, aż dokończę to pisać. – Posłusznie zacisnęła powieki. – Emily, jeśli obiecuję, że codziennie będę okazywał ci miłość i zawsze będziesz dla mnie ważniejsza od protokołu, obowiązków i innych dyrdymałów, które stoją na drodze szczęściu, to czy zechcesz odpowiedzieć twierdząco?

Urwał, a Emily otworzyła oczy. Luis stał kilka metrów dalej, na piasku zaś widniały słowa: WYJDZIESZ ZA MNIE?

Jej serce wypełniły radość, ulga i gorąca miłość. Nie mogła wykrztusić ani słowa, więc bosą stopą napisała na piasku tylko jedno słowo: TAK.

Luis uniósł ją, a ona otoczyła jego biodra nogami. Nie przestawali się całować, zupełnie nie zwracając najmniejszej uwagi na wiatr, który rozwiewał włosy Emily i smagał Luisa po nagich ramionach, ani na fale rozbijające się z hukiem o brzeg. Oscar stał przy helikopterze i wilgotnymi oczami wpatrywał się w zakochanych, podczas gdy na szczytach wydm zaczęli się gromadzić paparazzi i ekipy telewizyjne.

Tym razem nie trzeba było wygłaszać oświadczeń prasowych. Emily i Luis, spleceni na plaży w miłosnym uścisku, a także napis na piasku – to wszystko mówiło samo za siebie.